1956



KAMENA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII LUBLIN NR 7–8 (113–114)

T R E Ś Ć

KAMENA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII LUBLIN, 1956 Nr 7—8 (113—114)

Anna Jakubiszyn

O NOWOCZESNOŚCI

Głos w dyskusji

Motto: Jeśli materia owego sonetu tajemniczą się pokazuje, tym lepiej, mój przyjacielu! Sonety, ody i inne ku wzniosłości zmierzające dzieła nie godzą się z naturalnością i prostotą. Ciemność jest ich głównym przymiotem. Starczy, aby poeta imaginował sobie, że swój płód rozumie.

Z „Przypadków Idziego Blasa" (1724)

Dyskusja o nowoczesności, rozpoczęta przed pół rokiem prowokacyjnym nieco artykułem Z. Kałużyńskiego („Nowa Kultura", nr 299—300), zagubiła się w gąszczu problemów, ujawnionych po XX Zjeździe. Jedynie Przyboś, wierny orędownik nowoczesności, raz jeszcze powrócił do tych spraw („Przegląd Kulturalny", nr 24), które dotychczas (to jest do chwili, w której piszemy), zostały na łamach prasy literackiej i społeczno-kulturalnej raczej zasygnalizowane niż dokładniej omówione. A przecież w środowiskach twórczych, a zwłaszcza w środowiskach młodzieży, na oficjalnych zebraniach, a bardziej jeszcze — poza oficjalnymi zebraniami, dyskusja owa toczy się nadal, przynosząc nawet pewne wyniki w postaci konkretnych poczynań, ale zarazem — jak mi się zdaje — świadcząc o nie byle jakiej dezorientacji i zamęcie, które nastąpiły po okresie komenderowania twórczością i monopolizmu „socrealistycznego".

Nie pretendując bynajmniej do rozstrzygania problemów, z natury swej bardzo skomplikowanych i wymagających rozległej, głębokiej i wszechstronnej znajomości rozlicznych dziedzin kultury, chciałabym jednak zwrócić uwagę na pewne sprawy, które wydają mi się dość istotne, a dotychczas bodajże nie były w dyskusji poruszone.

Opinia środowisk twórczych jest raczej jednomyślna, jeśli idzie o dezaprobatę wobec tego, co działo się w kulturze na przestrzeni ostatnich 11 lat. W każdym bądź razie nikt prawie, nawet spośród tych, którzy byli bezpośrednimi sprawcami dotychczasowej polityki kulturalnej, nie występuje jawnie w jej obronie. Realizm socjalistyczny (który — jak się to nieco za późno okazało — z prawdziwym realizmem i socjalizmem miał niewiele wspólnego) w lansowanej do niedawna postaci był pomyłką, pomyłką smutną o tyle, że przez dłuższy okres czasu oficjalnie przyjęta doktryna artystyczna powstrzymywała rozwój rozmaitych dziedzin naszej twórczości, a w każdym razie utrudniała go, opóźniała i na pewno zubożyła. Ale zerwanie z praktyką fałszywą nie jest jeszcze równoznaczne z odpowiedzią, jaka powinna być praktyka słuszna, którą z wielu dróg, otwierających się obecnie przed naszymi twórcami, powinni oni pójść, by naprawdę sprostać swej epoce i tworzyć dzieła, które wyrażałyby w pełni nasze czasy, pomagały w kształtowaniu dnia dzisiejszego, a zarazem niosły wartości, rokujące im trwałość ponadczasową.

Niektórzy twórcy starszego i młodego pokolenia rozstrzygają w praktyce to pytanie, nawiązując po prostu bądź do osiągnięć rodzimej awangardy z okresu międzywojennego (jak chce tego Przyboś) bądź też do osiągnięć twórców zachodnich. Jeśli idzie o polską awangardę, sprawa jest o tyle ułatwiona, że dorobek jej jest w dużej mierze dostępny, wielu jej przedstawicieli żyje, jest w pełni sił, działało dotychczas w warunkach mniej lub bardziej „konspiracyjnych", a w tej

chwili działa jawnie i z oficjalną aprobatą. Symbolem może tu być wznowienie krakowskiego „Cricot", który kontynuuje bezpośrednio swe założenie programowe sprzed II wojny światowej. Gorzej — jak na razie — jest z Zachodem, którego osiągnięcia znamy głównie z „Podróży na Zachód" Kałużyńskiego oraz z relacji nielicznych, a zawsze tych samych wybrańców, odbywających doroczne pielgrzymki do paryskiej Mekki. Ale niezależnie od materialnej strony kontaktów z Zachodem, wydaje mi się, że nawiązywanie zarówno do dorobku współczesnej kultury zachodnioeuropejskiej i amerykańskiej, jak do osiągnięć polskiej awangardy międzywojennej, nasuwa jednak pewne wątpliwości.

Na wstępie powiedzmy sobie szczerze, że awangarda polska w jakiejkolwiek dziedzinie — na przekór wszystkiemu, co by się tu mówiło, była awangardą na skalę krajową, nie była nią natomiast nigdy na skalę międzynarodową. Podejmowała ona, kontynuowała, a w najlepszym razie wzbogacała tendencje, już istniejące i prosperujące na Zachodzie, nie wychodząc z swym dorobkiem na szerszą, międzynarodową arenę. Ale nie to jest najważniejsze, ostatecznie romantyzm także nie urodził się w Polsce, a nasza literatura romantyczna, jakkolwiek w praktyce na Zachodzie prawie nieznana, posiada arcydzieła, które nie ustępują niczym najwybitniejszym dziełom literatury powszechnej tego okresu.

Ważne wydaje mi się to, że zarówno nasza rodzima twórczość awangardowa, jak analogiczny dorobek twórców zachodnich, powstawały w pewnych określonych warunkach społecznych, wyrastały — i wyrastają dziś jeszcze — z pewnych potrzeb i pewnego klimatu psychiczno-intelektualnego, który niezupełnie chyba odpowiada tendencjom rozwojowym i stanowi psychicznemu naszego społeczeństwa, a przynajmniej znacznej jego części. Bo przecież nie można zapominać, że nasze społeczeństwo nie jest pojęciem jednorodnym, i że istnieje ogromna rozbieżność nawet w łonie samej inteligencji, chociażby np. między „dorabiającym się" intelektualnie inteligentem z pierwszego pokolenia, a przesyconym bez mała od kolebki płodami kultury potomkiem całego łańcucha inteligenckich pokoleń.

Nie wdając się w szczegółową analizę licznych czynników, które zaważyły na takiej a nie innej postaci nowoczesnej literatury i sztuki Zachodu, stwierdzić można jako fakt bezsporny, iż twórczość artystyczna naszych czasów wiąże się dość bezpośrednio z poglądami filozoficznymi, panującymi w ciągu ostatniego pół wieku. Szczególnie silny wpływ na środowisko twórcze Europy wywarł bergsonizm, a następnie freudyzm wraz z szkołą Junga i Adlera. Z freudyzmu w prostej linii wywodzi się nadrealizm, który zaważył tak silnie na wszelkich dziedzinach aktywności artystycznej, ów kierunek, który programowo odwracał się od rozumu i spraw jego, sięgnął w dziedzinę podświadomości, logikę racjonalistyczną zastąpił logiką sennych skojarzeń, zwidów, halucynacji.

Ale antyracjonalistyczna postawa, sygnalizowana i zwalczana przez kontynuatorów tradycji racjonalistycznej, jak np. przez Juliana Benda w jego „France byzantine" — to jeszcze nie wszystko.

Mniej więcej od stu lat, od chwili, gdy u schyłku romantyzmu padło hasło „sztuka dla sztuki", zarysowuje się coraz silniej rozejście się twórców z odbiorcami, rozbrat między sztuką a społeczeństwem, wśród którego sztuka powstaje, ale z którym się nie liczy. Sztuka awangardowa staje się coraz bardziej sztuką dla elity, nie docierającą do szerszych kręgów, albo przynajmniej docierającą do nich z opóźnieniem i drogą bardzo okólną. Wiem już, jaki tu padnie argument. Że wielka, twórcza sztuka zawsze była niedostępna dla współczesnych, że Rembrandt, że ten, że ów. Rzeczywiście w historii kultury znamy wypadki niezrozumienia, z jakim współcześni odnosili się do wielkich artystów, ale w wiekach minionych były to raczej wypadki sporadyczne. Można by tu przytoczyć mnóstwo przykładów uznania, jakim współczesność darzyła swych geniuszy, od Homera do Goethego, od Giotta po Goyę. Rozdźwięk między twórcami a konsumentami sztuki jako zjawisko nagminne występuje dopiero w najnowszych czasach i musi mieć jakieś swoje głębsze podłoże.

Czy sztuka, analogicznie do nauki, która sięga na coraz bardziej zawrotne wyżyny, niedostępna dla laików, tak dalece wzbogaciła się w walory poznawcze i estetyczne, tak głęboko sięga w istotę rzeczy, iż percepowanie jej wymaga i będzie wymagało od nas coraz żmudniejszego przygotowania?

Czy też może przeżywamy obecnie jakiś okres przełomowy, analogiczny do schyłku średniowiecza lub baroku, kiedy także przejawiały się w sztuce tendencje swoistego hermetyzmu i elitaryzmu, jak świadczą o tym chociażby zacytowane przez nas słowa Lesage'a, ojca powieści nowoczesnej, który polemizował z nowatorami schyłkowego baroku hiszpańskiego? Czy wyobcowanie się sztuki z życia społecznego nie jest przejawem jakiejś dekadencji form wypracowanych w wyniku wiekowego rozwoju, a może nawet nie dekadencji, ale jakiegoś przewartościowania wartości, występującego zazwyczaj w czasach przełomowych, do jakich trudno chyba nie zaliczyć naszej epoki, jakkolwiekby się ją oceniało? Pytania tego nie podobna rozstrzygnąć, ale trudno się przed nim opędzić, patrząc na dzieła zamknięte dla laika potrójną pieczęcią irracjonalizmu, subiektywizmu i bezprzedmiotowości. Stajemy wobec utworów, o których z pewnością powiedzieć możemy jedno tylko — iż przeciwstawiają się programowo wszelkim dotychczasowym tradycjom i celom sztuki. Tu przypomnę, co Vercors powiedział o Picassie, tym najgłośniejszym przedstawicielu nowoczesności w plastyce: „Nie wiemy na

razie, czy Picasso odkrył podstawy, położył fundamenty pod nową sztukę przyszłości? Wiemy jednak, że obalił stare palisady, odemknął wszystkie bramy". Nie wiemy zatem, czy mamy jedynie do czynienia z ostateczną zagładą form starych, czy też już z tym Nowym?

Sztuka nowoczesna ostatniego półwiecza powstawała biorąc najogólniej (bo znajdą się oczywiście wyjątki) jako wyraz negacji i buntu istniejącej rzeczywistości społecznej, ale buntu bez wiary w możliwość zmiany, buntu bez nadziei, buntu rozpaczy. Nie jest przypadkiem, że nadrealiści francuscy rozpisywali ankietę: „Czy samobójstwo jest wyjściem z sytuacji" i że odpowiadali na nią: „Prawdopodobnie jest to najsłuszniejsze i radykalne wyjście z sytuacji"... Podobną postawę odnajdujemy w najnowszych, docierających do nas dziełach Zachodu, jak np. w słynnej sztuce „Czekając na Godota", której fragmenty przyniósł 1 nr „Dialogu", a która tchnie absolutną beznadziejnością.

Związki nowoczesnej awangardy twórczej z filozofią antyracjonalistyczną, jej elitaryzm, jej pesymizm nie pozostały oczywiście bez wpływu na wypracowane przez nią środki wyrazu. I tu staje przed nami problem, czy można ową formę, powstałą pod naciskiem pewnych określonych treści, stosować bezkrytycznie do wyrażania treści zupełnie odmiennych? Wydaje mi się, że to jest owo istotne pytanie, które powinniśmy sobie zadać, mówiąc o nowoczesności i o wykorzystaniu zdobyczy awangardy naszej czy zachodniej, pytanie, którego nie zadają sobie oczywiście zwolennicy awangardy, a przed którym jakoś uchyla się nasza — pozostająca wyraźnie w defensywie — myśl racjonalistyczna.

Tu nie chciałabym być fałszywie rozumiana. Pytając, „czy można", nie mam absolutnie na myśli jakiegoś ograniczenia swobody twórczej; w ciągu ostatnich lat przekonaliśmy się dobitnie, że wszelkie nakazy w dziedzinie sztuki nie prowadzą do niczego dobrego, że prawdziwym dziełem sztuki może być tylko dzieło bezwzględnie szczere i spontaniczne, wypływające z najgłębszej potrzeby i przekonania twórcy. Chodzi mi jedynie o uświadomienie pewnych spraw. Rozpatrzmy zagadnienie na konkretnym przykładzie. Czy marksista, a nawet ogólniej — czy zwolennik jakiejkolwiek postawy racjonalistycznej może jako artysta opowiadać się za nadrealizmem lub pokrewnymi mu kierunkami? W moim przekonaniu, jeśli nie chce popaść w wewnętrzną sprzeczność z samym sobą — n i e m o ż e. Nie może, chociaż wiemy, że historia zna podobne wypadki, zwłaszcza w epokach przełomowych, gdy twórcy na przekór całokształtowi swych poglądów bronili programów estetycznych, sprzecznych w istocie z ich postawą (przychodzą mi tu na myśl np. początki romantyzmu we Francji, gdy liczni liberałowie wbrew swej postępowej, a niekiedy wręcz rewolucyjnej postawie — byli rzecznikami skostniałego klasycyzmu).

Zastrzeżenia, jakie może budzić bezkrytyczne nawiązanie do kierunków awangardowych, nie powinny przesłaniać faktu, że sztuka nowoczesna wypracowała pewne walory, które nie wiążą się chyba w sposób konieczny z jej hermetyzmem, irracjonalizmem i pesymizmem. Walory te wynikłe z przeciwstawienia się gustom drobnomieszczańskim, kultowi banału, patosu i fałszywego sentymentalizmu — to przede wszystkim skrótowość, lapidarność, niechęć do pustych gestów, celne operowanie ironią i metaforą, cechy wspólne różnych dziedzin sztuki, a w każdej znajdujące właściwy jej wyraz. To wszystko, co wkracza przecież zwycięsko do codziennych stosunków międzyludzkich.

Wydaje mi się, że nie lekceważąc tych walorów, epoka nasza, jeśli jest rzeczywiście epoką przełomową, stworzy jednak sztukę zupełnie nową, potrafi znaleźć własny język dla wyrażenia swych własnych, odrębnych treści. Jaka to sztuka będzie? w jakim kierunku pójdzie? — przewidzieć ją może wielki teoretyk, wytyczyć jej kierunek — genialny twórca, ale sądzę, że jednego należałoby się po niej spodziewać: będzie to sztuka potrzebna jak powszedni chleb, tak, jak współczesnym potrzebny był Szekspir i Molier, jak potrzebni byli malarze włoskiego Odrodzenia czy poeci polskiego romantyzmu.

Co do mnie — tak już całkiem osobiście — mimo wszystko wierzę w neorealizm...

Anna Jakubiszyn



Maria Bechczyc-Rudnicka

SPÓR O ROLANDA

Kto sprawił i dlaczego czyn nasz się nie liczy?
J. A. Tchórzewski

Z początku mrok. Dźwięk rogu myśliwskiego powtarzany przez echo. Przed kurtyną pośrodku, w świetle mgławym, ukazuje się Poeta. Ma on na sobie długi płaszcz z peleryną, w ręku — książkę: „Pieśń o Rolandzie".

Poeta
(tworzy)

Lubię o zmroku róg dźwięczący w gęstwie [leśnej,
Gdy rozpaczliwy pęd ściganej łani wieści
Czy łowcy pozdrowienie, chwycone [przez echo,
Które roznosi wiatr po drzew zielonych [strzechach.

Tam nieraz pozostając nocą, w samotności,
Witałem róg uśmiechem, a częściej z żałością,
Bo mi się uroiło, że słyszę w nim jeszcze
Głos, co zwiastował zgubę rycerzy [walecznych *).

Za późno zadzwoni w róg, za późno...

Otwiera książkę. Czyta głośno, dla siebie. Po chwili mówi już z pamięci, jak Cyrano **) czytający Roksanie o zmierzchu swój dawny list:

Powiada Oliwier do Rolanda: „Rolandzie, mój druhu, widziałem wrogów. Nigdy niczyje oko nie widziało ich więcej. Rolandzie, towarzyszu mój, zadmijże w swój róg. Wojsko usłyszy i wróci".

Roland odpowie: „Nie daj Bóg, aby ktoś mógł powiedzieć kiedy, że przez słabość serca zadzwoniłem w róg. Wnet zacznę walić co sił mieczem moim. Zdrajcy przyszli w ten wąwóz na swoją zgubę. Przysięgam ci, wszyscy naznaczeni są przez śmierć".

Mówi Oliwier: „Rolandzie, mój towarzyszu, zadmij w róg. Wojsko usłyszy, zawróci, wspomoże nas swoją bronią".

— Nie daj Bóg, aby przeze mnie hańbiono mój ród i aby słodka Ojczyzna miała iść w pogardę. Raczej będę walił dobrym mieczem, który noszę przy boku. Zdrajcy nie ujdą śmierci.

Powiada Oliwier: „Rolandzie, mój towarzyszu, zadmij w róg. Wojsko usłyszy, ciągnie teraz przez wąwozy. Przysięgam ci, że wróci z odsieczą".

— Oliwierze, przyjacielu mój, nie mów tak. Hańba sercu, które stchórzy. Zostało z nami wielu towarzyszy. Nie ma wśród nich ani jednego tchórza. Uderzaj włócznią, a ja zacznę ciąć moim dobrym mieczem. Jeśli padnę, ten, kto go dostanie, będzie mógł powiedzieć: „To był miecz szlachetnego rycerza" ***).

Światło zanika. Odgłosy trąb, szczęk broni. Potem w ciszy — trzykrotny dźwięk rogu. Za trzecim razem odpowiada mu kilka rogów z oddali. Wówczas rozjarzający się reflektor ukazuje Poetę.

Poeta
(tworzy dalej)

O, dusze bohaterów, czyście powróciły?
Waszże głos dźwiękiem rogu zabrzmiał [z nową siłą?
Ronceval! Ronceval! W twym wąwozie [podstępnym
Czy błądzi wielki Roland, rycerz nieulękły?

W paru susach znajduje się na scenie Widz. Wydobył go już z widowni drugi reflektor punktowy.

Widz
Poeto, dlaczego sławisz imię Rolanda?

Poeta
Roland jest bohaterem.

Widz
Jest przestarzałym modelem bohatera!

Poeta
Bohaterem się jest po wszystkie czasy albo się nim nie jest wcale.

Widz
Twój wzór bohatera nie pokrywa się z moim.

Poeta
Czyżbyś miał patent na bohatera?... Zresztą co zarzucasz Rolandowi?

Widz
Nie chciał wezwać posiłków...

Poeta
Chciał osiągnąć szczytową miarę bohaterstwa o własnych siłach.

Widz
To była pycha!

Poeta
To był romantyczny punkt honoru.

Widz
W zasadzie nie potępiam romantyzmu. Powiedział sławny teoretyk...

Poeta
Mów swoimi słowami, chcę wiedzieć, co myślisz naprawdę.

---

*) *Z poematu Alfreda de Vigny „Róg". Przekład m. b.-r.*

**) *Vide „Cyrano de Bergerac" Rostanda.*

***) *Wolna cytata z „Pieśni o Rolandzie" w przekładzie T. Boya-Żeleńskiego.*

Widz

A więc naprawdę wybujały indywidualizm dyskwalifikuje Rolanda. Wyniósł ten swój honor — sprawę osobistą — nad bezpieczeństwo towarzyszy. To wielki błąd.

Poeta

Błądzi się tak lub inaczej — człowiek jest osaczony przez sprawy osobiste.

Widz

Bohater musi być bez skazy.

Poeta

Gdyby był bez skazy, nie byłby człowiekiem. Bohater musi być człowiekiem.

Widz

(uparcie)

Skaza stanowi o człowieczeństwie, ale bohater musi być bez skazy.

Poeta

Skaza wywołuje konflikty, które są próbą człowieczeństwa. Roland okupił błąd męką niewczesnego zrozumienia i dzielnością bezgraniczną.

Widz

Dzielność a szaleństwo to są dwie różne rzeczy.

Poeta

Szaleństwu mężnych śpiewam tę pieśń...

Widz

Słyszałem już te słowa... Ale powiedział je ktoś zwiastując burzę rewolucji.

Poeta

Roland był burzą idei jego czasu.

Widz

Ach, te czasy dawno przeminęły! Jego idea jest dla mnie fikcją.

Poeta

Nierówny jest czas ludzi. Walka człowieka, który wierzy w swoją ideę, zasługuje na szacunek.

Widz

Szacunek dla błądzącego?!

Poeta

Człowiek jest godzien szacunku, dopóki nie kłamie sobie.

(Pauza)

Widz

(podnosząc głowę)

Któż wreszcie jest bohaterem?

Poeta

Człowiek... gdy walczy o ideał humanitarny.

Widz

Tego wymagamy od każdego.

Poeta

I każdy, kto spełnia ten warunek, jest bohaterem — ofiarna droga przez mękę jest bohaterstwem.

Widz

Jeśli każdy, kto przez mękę... po co więc sławisz imię Rolanda?

Poeta

Roland to imię zbiorowe tych, co giną walcząc w wąwozach.

Widz

Cóż światu po tej zagładzie?

Poeta

Pamięć ich wierności i szczytowej odwagi płonie przez wieki ogniem oczyszczającym.

Widz

(wolno)

Proporcja odwagi i rozwagi — to problem do wielkiej dyskusji.

Poeta

Bez ryzyka nie ma bohatera. Powiedziałem, co myślę. Przyszłość sprostuje błędy, lecz ślad dobrej woli nie zaginie. Nowe pokolenia będą szanować sztukę, która nie kłamie, bo taka sztuka jest drogą przez mękę.

Reflektor oświetlający postać Poety zaczyna wygasać.

Widz

Poczekaj!

Poeta

Czekałem...

Widz

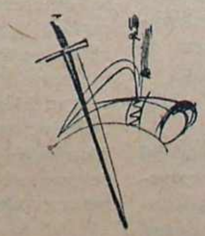
(wyciąga rękę, by zatrzymać Poetę).

Poeta

i czekam...

Trzykrotny dźwięk rogu w ciemności. Po jakimś czasie odpowiadają mu rogi i trąby, łączące się coraz bardziej i coraz bliższe.

Maria Bechczyc-Rudnicka



Wojciech Górny

EKSPERYMENTY TEATRALNE

— A więc teatr eksperymentalny w Lublinie? Wkraczamy chyba w epokę masowego ekseprymentatorstwa. Powstanie teatr eksperymentalny w Chełmie, awangardowa scena w Rejowcu. A potem festiwal wojewódzkich eksperymentalnych zespołów świetlicowych — podobnych, jak dwie krople wody.

Roześmialiśmy się z tego razem.

— Kto wie jednak, czy nie powinno tak być. Oczywiście, z wyjątkiem zakończenia — trudno o coś banalniejszego niż nowość powielona, dziecko stare od urodzenia. Właśnie z tym eksperymentem to przecież nic osobliwego. Sztuka zawsze polega na szukaniu. Raczej w przeciwnym wypadku trzeba dodawać przymiotnik: teatr zrutynizowany, bez ambicji. Bo nawet pielęgnowanie tradycji, dobrze, to także eksperyment. Wiedzieć, czego się chce i próbować realizacji. A propos twoich przykładów — istnieje teatr eksperymentalny w Chełmie. Podobno wystawia teraz „Klub Kawalerów" Bałuckiego. Powiesz, że to właśnie starzyzna. Otóż eksperyment polega na tym, że w Chełmie wciąż się gra i nienajgorzej. Eksperyment — co może zrobić człowiek zapalony do teatru. A nawet i zespół świetlicowy — znamy przecież taki w Lublinie. Ludzie z pewnego zakładu pracy przygotowują widowiska — rewie. Robotnicy zapalają się do występów. Naprawdę jeżdżą na wieś i do hoteli robotniczych. A więc, eksperyment. Co może znaczy k.o. — kulturalno-oświatowy, nie knock-out.

— Można i tak szeroko rozumieć eksperyment. W takim wypadku naprawdę nie trzeba tego zaznaczać. Chyba tu jednak idzie o eksperyment artystyczny. Eksperymentalny to awangardowy. Coś jak gdański Bim-Bom czy warszawski teatr na Tarczyńskiej.

Nie widziałem teatru Bim-Bom. Na pewno wymagałby specjalnego omówienia, zresztą satyra to osobne zagadnienie. Na Tarczyńskiej byliśmy jeszcze chyba w kwietniu, przed serią wzmianek i artykułów w prasie. Skromna uliczka, której nie zna wielu warszawiaków. Do salki na czwartym piętrze wprowadzał wtedy znajomy, teraz trzeba się już naprzód zapisywać, nawet w parne czerwcowe wieczory, kiedy po półgodzinnej jednoaktówce trzeba tyleż czasu chłodzić publiczność, by mogła przetrzymać drugą sztukę.

Mały pokój ze sceną — wnęką w ścianie, zdobił piec z aforyzmem Cocteau (od razu skojarzenie z awangardowym teatrem Pitojewa) i plakaty — „Wyprawy krzyżowe" ze śrubami od maszynki do mięsa ubranymi w druciane zmywaki. Po siódmej „posiadacze teatru" — Stefański i Białoszewski znikają za kurtyną. Za chwilę odsłania się, grają.

Nie wszyscy są zachwyceni teatrem na Tarczyńskiej (jak się sam nazwał w rozdawanych widzom programach). Niektórzy twierdzą, że to bez sensu — niepowiązane słowa i dziwaczne gesty. Na pewno to „inny" teatr, trzeba jednak nie szukać w nim tego, czego nie chciano weń włożyć.

Jako patrona i teoretyka „Teatru na Tarczyńskiej" trzeba od razu wymienić Stanisława Ignacego Witkiewicza. W czerwcu obok wybranych plakatów wisiały już w pokoju Stefańskiego portrety malowane przez Witkiewicza — to potwierdzenie takiego rodowodu. Książka Witkacego o teatrze może posłużyć za wstęp do zrozumienia tego rodzaju „bezsensu".

Witkiewicz zastrzega się wielokrotnie wykładając swoją teorię, że nie chodzi wcale o bezsens, tylko o rozszerzenie możliwości kompozycyjnych. Uwolnić teatr od rygorów sensu logicznego i życiowego prawdopodobieństwa (i tak modyfikowanego przez aktualną konwencję teatralną — to środek, aby na nowy sposób zrealizować „jedność w rozmaitości". Ten manifest „czystej formy" — nowości przez wprowadzoną fantastyczność psychologii i działań jest zresztą oparty na filozoficzno-metafizycznych założeniach. Manifestuje się w ten sposób „jedność istnienia poszczególnego" i psychika współczesnego człowieka.

Teorię popierał Witkiewicz własną twórczością dramatyczną. Przypomniał ją po długiej przerwie krakowski teatr „Cricot 2" inscenizacją „Mątwy" przez Tadeusza Kantora. Spektakl wznawiający tradycje krakowskiego teatru awangardowego przypomniał, że mamy również w naszej świeższej tradycji nowatorskich dramaturgów.

„Mątwa" jest wymieniana przez Witkacego jako jeden z bardziej realistycznych utworów. Mimo to znajdzie się w nim miejsce na przemawiającę posągi, rozmowy z Papieżem Juliuszem drugim i „zmarłymi żonami". Na miejscu będzie taka metafora inscenizacyjna jak przy dyskusji odbijanie słów rakietkami ping-pongowymi. Równocześnie jednak znajdzie się tu i problematyka „hyrkanicznego światopoglądu" — kultu bezmyślnego działania, bezsens artysty Piotra Bezdeki i dywagacje na tematy filozoficzne ze szczególnym uwzględnieniem pragmatyzmu — tak typowe dla Witkiewicza. Kantor wydobył plastyczne możliwości inscenizacyjne, dobitnie scharakteryzował postaci („gipsowy" mundur Hyrkana, sylwetki matron, dwóch wujów), potrafił pokazać dowcip groteskowych, makabrycznych na pozór pomysłów.

W sumie jednak Witkiewicz to jeszcze nie „czysta forma", nawet „w granicy", jak pisał. To zresztą nie musi być zarzutem. Sam pisał, że nie może przecież „wymyślać na zimno", „pod teorię", artysta reaguje w sztuce za pomocą elementów, które potrafi przeżyć. Dramaturgia i sztuka teatralna „Tarczyńskiej" idzie dalej w tym kierunku. Elementy „metafizyki", z wyjątkiem „Lepów" (z dwu znanych mi programów) schodzą na plan dalszy. Jeśli „Mątwę" można „opowiedzieć": „bezdekowatość i hyrkaniczność" — co będzie przedstawiało pewne podstawy światopoglądowe, bez względu na sposób ich ukazania, tu trzeba raczej opowiadać: „Szara

msza" — kojarzenia wspomnieniowe, "Wyprawy krzyżowe" — zabawa w mit. W kojarzeniach nie chodzi zresztą o jakieś sprawy psychologiczne, ale o pretekst do ciekawych zestawień i kalamburów w typie: dusza ludzka i żelazka, pierwsza krzyżowa w Palestynie i w jatce. Obok słów zmieniają znaczenie postaci. Każdy z aktorów może pokazać publiczności ich wiele. Do zmiany wystarczy rekwizyt nakładany w oczach publiczności, wystarczy gest, zmiana pozy, jak u sensacji Paryża, pantoministy Marceau. Koncepcja jest bardziej teatralna, w zabawie w udawanie nawiązuje do tradycji mimów, podczas gdy Witkiewicz jest bardziej literacki, szuka dziwności w świecie wyobrażonym. Z dwóch źródeł wywodzą teatr — z obrzędu lub zabawy. Witkiewiczowska „czysta forma" ma służyć uczuciom metafizycznym. Witkacy podaje całe wykazy możliwości silniejszej ekspresji pojęć — ma o niej decydować ciaśniejszy związek z pojęciem nieskończoności. Osobiste skłonności Witkacego pchają go do teatru serio, mimo wszelkich elementów groteskowych. „Tarczyńska" to raczej zabawa, także w „Lepach" czy „Wiwisekcji" najważniejsza jest chyba koncepcja teatralna. Ale i tu możliwość silniejszej ekspresji zależy od wprowadzanych motywów, może także pod wpływem tradycji tego rodzaju teatru taka obfitość różnych motywów związanych ze śmiercią, czy też liturgicznych.

Każdy zresztą motyw jest dobry, byle wprowadzał większe napięcie, narosłe na nim skojarzenia mogą tylko spotęgować ekspresję. Zawsze jednak, choć wykorzystany w swojej jakości emocjonalnej, pozostanie pretekstem, zwykle parodii, w której najłatwiej ukazać dziwność świata. Tę sprzeczność między zabawą a powagą odczuwam siedząc na „Tarczyńskiej" mimo całej ciekawości widowiska, scenografii i zdolności aktorskich, widocznych zwłaszcza u Białoszewskiego. Jego też mniej, niż Stefańskiego, dotyczy „wina dwoistości" w utworach. Początek „Wiwisekcji" wydaje mi się parodią, która dyskutuje ze swoim przedmiotem i w ten sposób wypłaca mu się za udział w przedstawieniu.

— Bądź co bądź można by się zgodzić na coś tej klasy w Lublinie. Oczywiście „coś takiego" w nowości, bo musi to być bardzo własne. Cóż nasi — dopiero zaczynają. Ciekawe jakie mają plany. Podobno czytanie sztuk, adaptacje sceniczne prozy, jakieś widowisko monumentalne. W ogóle możliwości wiele. Może by ruszyć Czechowicza? Zresztą teatr eksperymentalny to nie koniecznie awangardowy, przynajmniej pod względem tekstu. Nawet przedwojenny „Cricot" wystawił kiedyś „Wyzwolenie", a linia Kotlarczyka z Teatrem Rapsodycznym? Można i całkiem bez tekstu, we Francji tak modna pantomima, w Krakowie pokazał ją Mikulski jako drugą część programu po Witkiewiczu. Ale jedno powiem na ucho — nowość też bywa względna, jak z warszawskim „Kordianem" u nas i we Francji. Tak więc czekamy na teatr eksperymentalny. Może być bardzo różny, to pewne. Nigdy nie wiadomo, czy wymyśli coś naprawdę całkiem nowego. Pozostaje mu tylko życzyć, aby pokazał rzeczy ciekawe i dobre. Albo też w stylu sportowym: fenomenalnych kiczów!

Wojciech Górny

Bernard Shaw

ZASADY BURZYCIELA

(wybór)

Złota zasada

Nie czyń innym tego, co chciałbyś, aby czynili tobie. Mogą mieć inne gusty.

Nie sprzeciwiaj się nigdy pokusie; doświadcz wszystkiego i mocno trzymaj się tego, co się okaże dobre.

Nie kochaj bliźniego jak siebie samego. To zuchwalstwo, jeśli jesteś z siebie zadowolony, i obelga, jeśli nie jesteś.

Złota zasada głosi, że nie ma złotych zasad.

Tytuły

Wyróżniają miernotę, krępują ludzi stojących wysoko i nie cieszą się uznaniem ludzi stojących nisko.

Wielcy ludzie odmawiają tytułów przez zawiść do nich.

Własność

„Własność jest kradzieżą" — powiedział Proudhon. I to jedyna zupełnie słuszna prawda, jaką orzeczono w tej sprawie.

Religia

Strzeżcie się tego, czyje bóstwo jest w niebie.

W co wierzy człowiek, potwierdza nie jego wyznanie, lecz pobudki, które okazują się w jego uczynkach.

Cnoty i występki

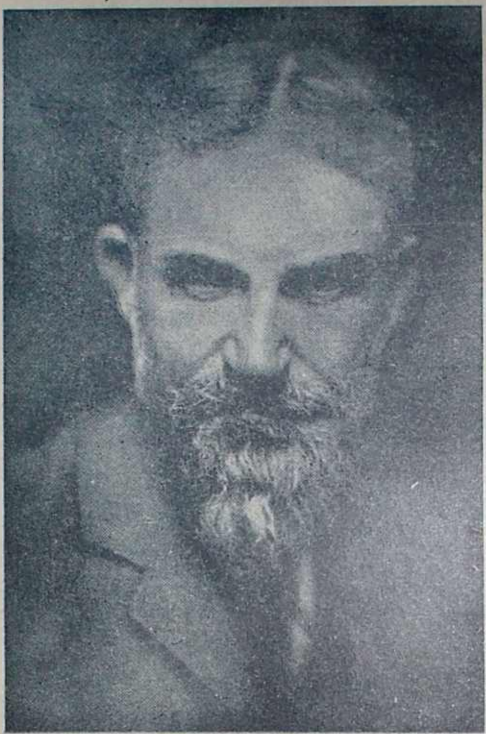
Żadna specjalna cnota i żaden specjalny występek nie warunkują istnienia w człowieku innych specjalnych cnót czy występków, jakkolwiek nierozerwalnie łączyłyby się one w naszej wyobraźni.

Cnota polega na tym, żeby nie czuć pociągu do występku, a nie na tym, aby z nim walczyć.

Samozaparcie nie jest cnotą, tylko rezultatem obawy przed ohydą.

Posłuszeństwo symuluje subordynację, tak jak obwa przed policją symuluje uczciwość.

Nieposłuszeństwo, ta najrzadsza i najśmielsza z wszystkich cnót, rzadko różni się od niedbalstwa — tego najbardziej leniwego ze wszystkich występków.



Występek jest marnowaniem życia. Nędza, posłuszeństwo i celibat to trzy kanoniczne występki.

Oszczędność jest sztuką największego korzystania z życia.

Zamiłowanie do oszczędności jest źródłem wielkiej cnoty.

Uczciwa gra

Uczciwa gra jest cnotą widzów, ale nie aktorów.

Dżentelmen

Fatalna właściwość dżentelmena polega na tym, że przynosi on w ofierze swemu honorowi wszystko z wyjątkiem swej pańskości.

W dzisiejszych czasach za dżentelmena uważa się człowieka, który ma dość pieniędzy, aby czynić to, co czyniłby każdy głupiec, gdyby miał po temu możność, tj. żeby spożywać nic nie produkując.

Prawdziwym rysem diagnostycznym współczesnej pańskości jest pasożytnictwo.

Współczesny dżentelmen nieuchronnie okazuje się wrogiem swego kraju. Nawet na wojnie walczy nie w jego obronie, ale po to, by swego przywileju rozdzierania go nie ustępować cudzoziemcowi. Takich wojowników można uważać za patriotów chyba na takiej samej podstawie, na jakiej za miłośników zwierząt zaczęlibyśmy uważać dwa psy gryzące się o kość.

Północno-amerykański Indianin był typowym przedstawicielem dżentelmena, sportsmena i wojownika. Ateńczyk za czasów Peryklesa był prototypem wykształconego pod względem umysłowym i artystycznym dżentelmena. I jeden i drugi typ stanowią polityczne omyłki. Współczesny dżentelmem bez nieulękłości pierwszego i wykształcenia drugiego łączy w sobie chciwość obu. Nie będzie miał sukcesu tam, gdzie ich spotykało niepowodzenie.

Człowiek, który wierzy w wykształcenie, prawo kryminalne i sport, potrzebuje tylko majątku, żeby dzisiaj być współczesnym dżentelmenem.

Umiarkowanie

Umiarkowanie dla umiarkowania nigdy nie zyskuje aprobaty.

Umiarkowanie uczciwy człowiek z umiarkowanie wierną żoną, oboje umiarkowanie pijący wino i mieszkający w umiarkowanie zdrowym domu, stanowią wzór rodziny ze środowiska średniej klasy.

Przyzwoitość

Przyzwoitość jest zmową nieprzyzwoitości z milczeniem.

Zemsta czasu

Tak zwane zwierzęta zostały pomszczone, gdy Darwin wajaśnił nam, że jesteśmy ich braćmi.

Grabieżcy zostali pomszczeni, gdy Marks schwytał na grabieży burżuazję.

Dobre chęci

Droga do piekła jest wybrukowana dobrymi a nie złymi chęciami.

Chęci wszystkich ludzi są dobre.

Faute de mieux

W dzieciństwie odnosiłem się z niedowierzaniem do opisu młodych kobiet określanych, jako „piękna pani taka to i taka". Ciotka moja robiła mi wymówki: „Zawsze pamiętaj, że najmniej brzydka siostra jest w rodzinie uważana za piękną".

Każde stulecie i w każdej sferze ma swoich bohaterów. Najmniej niezdolny generał jest w danym kraju uważany za jego Cezara, najmniej głupi dostojnik — za jego Solona, najmniej zagmatwany myśliciel — za jego Sokratesa, i najmniej pospolity poeta — za jego Szekspira.

Sława

Życie równa wszystkich ludzi; śmierć wysuwa wybitnych.

Kobiety domowego ogniska

Ognisko domowe — to więzienie dla dziewcząt i dom karny dla kobiet.

Cywilizacja

Cywilizacja to choroba, którą wywołało przyzwyczajenie do tworzenia społeczeństwa ze złego materiału.

Ludzie pełni zachwytu dla współczesnej cywilizacji zwykle ją utożsamiają z lokomotywą i telegrafem.

Ludzie, znający się na lokomotywach i telegrafach, całe życie starają się zastąpić je czymś lepszym.

Wyobraźnia nie może przedstawiać sobie nikczemniejszego zbrodniarza od tego, który by pragnął zbudować drugi Londyn, i większego dobroczyńcy od człowieka, który by nasz Londyn zniszczył.

Z przypadkowych aforyzmów

W biblii czytamy, że Jehowa po stworzeniu świata uznał go za dobry. Co powiedziałby dzisiaj?

Mens sana in corpore sano to sentencja niedorzeczna. Zdrowe ciało jest produktem zdrowego ducha.

Zwyrodnienie może znajdować zwolenników jedynie zasłaniając się maską postępu.

Reformator, dla którego świat jest niewystarczająco dobry, zawsze znajdzie się obok człowieka, który jest niewystarczająco dobry dla świata.

Każdy człowiek po czterdziestce jest nikczemnikiem. Młodość, która wszystko wybacza, nic nie wybacza sobie; wiek, który sobie wybacza wszystko, nic nie wybacza nikomu.

Kiedy nauczymy się śpiewać, że Brytyjczycy nigdy nie będą panować, wtedy położymy kres niewoli.

Starajcie się zdobyć to, co lubicie; w przeciwnym razie będziecie musieli polubić to, co przypadnie wam w udziale. Gdzie nie ma wentylacji, tam się oświadcza, że świeże powietrze jest szkodliwe. Gdzie nie ma religii, tam uznaje się, że bigoteria jest w dobrym tonie. Gdzie brak wiedzy, tam nieuctwo mieni się nauką.

Jeśli historia wiecznie się powtarza i mimo to zawsze zdarzają się niespodzianki, jakże mało uczy człowieka doświadczenie.

Ci, którzy rozumieją zło, wybaczają je; a ci, którzy odczuwają — niszczą je.

(„Notatnik burzyciela")

Wybrał i spolszczył Stefan Orczyk



Zdzisław Jastrzębski

AKTUALNOŚĆ NORWIDA

Miło być od swojego czasu zrozumianym,
Przyjętym od epoki; stąd tak czytywanym,
Iż żaden odcień słowa nie tonie w papierze,

gorzko uśmiechał się Norwid, gdy opuszczał niemal świat, który nie szczędził mu bolesnych doświadczeń, a który poeta tak ukochał. I choć go odpychano, chciał w nim uczestniczyć swoją sztuką, chciał go przetwarzać w imię ludzkiej, trudnej prawdy. Testament jego twórczości, tak polemicznej i postulatywnej, inny był od testamentu Słowackiego, który zapowiadał, że siła fatalna jego słów będzie po śmierci gniotła znienawidzonych zjadaczy chleba, aż ich „w aniołów przerobi". Autor cyklu „Vade mecum" z bezbronną ufnością powierzał swe dzieło i czekał na czas, gdy inni współ-pochylą się z nim razem i podejmą jego myśli. Zdaje sobie sprawę z odrębności swej poezji („Bogata skądinąd przeszłość poezji Polskiej nie przygotowała publiczności do podobnych utworów — ale cóż robić... Raz przecie trzeba do wdzięków policzyć także nawet i myśl, i prawdę, sens i rozsądek"), z gustów ówczesnych, wiedząc, że „romans jaki, fantastycznie skłamany... przyjemniejsze i pożądańsze wrażenie robi", lecz upodobaniom nie schlebiał, rachował na zwycięstwo, nie na doraźny sukces. Odwoływał się do przyszłości: „Syn minie pismo, lecz ty spomnisz, wnuku". Wierzył w to i dlatego nie załamywał się jak Mickiewicz, który, nie widząc oczekiwanych skutków swej twórczości, złamał pióro.

Uderza nas nieustanna czujność i troska poety o trwałą wartość słowa. Przewidywał, że wiele z jego

pieśni odleci (i rzeczywiście dziś mniejszą wartość mają jego poematy i pierwsze dramaty), dążył też do takiego ukształtowania twórczości, ażeby miała świeżość i aktualność. Twórczość taką określał jako „wielkie słowa", o których mówił:

Ktoś je lat temu wypowiedział tysiąc,
Lecz one dzisiaj grzmią — i ty za stosem
Ksiąg drukowanych, gotów byłbyś przysiąc,
Że bliższe ciebie są myślą i głosem.

Takie są słowa Norwida. I okazuje się, że czas nie zżera ich, aktualność ich nie maleje. Pouczające są dzieje sławy poety.

Pierwsze poetyckie próby Norwida zostały powitane z uznaniem; wiązano z nim duże nadzieje. Jak wyznaje Koźmian w swych pamiętnikach, Warszawa brzmiała odgłosem słów Czajkowskiego: „Orle Norwidzie! Norwidzie, wiek twój idzie!" Kraszewski opatruje zaś „Pożegnanie" takim przypiskiem: „Nam się to zdaje silnie odczute i prawdziwego znamionujące poetę. Nie chcielibyśmy się omylić". Gdy jednak poeta wyszedł poza krąg iuveniliów i dopracował się własnej poetyki, w wypowiedziach o nim pojawia się nuta zawodu. Krasiński, który początkowo przyjaźnił się z Norwidem i był pod jego urokiem i który należał pono do bystrych czytelników, napisze później do Koźmiana, przesyłając utwór poety: „Ja rozumiem czego chciał, ale niewielu zrozumie". W innym liście powie: „Ja pierwszy prawie nic a nic nie rozumiem".

Jakże ironiczną wymowę ma ten fakt: gdy współbrzmiał z nimi, prorokowali: „Norwidzie, wiek twój idzie", gdy spełnił ich oczekiwania, przelękli się i pogrzebali swego proroka, gdy chciał dokonać „skrętu" w poezji, nie wydrukowali mu zbioru. Mimo to Norwid nie złorzeczył, co więcej — każdą porażkę traktował jako bogacenie doświadczenia, jako poszerzanie świadomości na zasadzie poetyckiej recepty zawartej w wierszu „Fatum".

Znając tę postawę, nie zdziwimy się, że z tych bolesnych doświadczeń wysnuwał piękne wnioski w postaci takich utworów, jak „Coś ty Atenom zrobił" czy „Wielkość", w którym mówi,

Iż nie poznali się na wielkim mali
Pierwej, aż zginie.

Potwierdzenie znajdował w historii sławy innych autorów. Rzeczywiście, dopiero po śmierci (1883 r.) poświęcono poecie kilka bardziej życzliwych wspominków i wzmianek, bez żadnych jednak konsekwencji i zobowiązań. Triumfem poety był numer „Chimery" z 1904 r., w którym Miriam „odkrył" Norwida. Oglądano go przez pryzmat modernistycznej abnegacji i wilde'owskiego uzależnienia życia od sztuki, szukano w nim elementów symbolistycznych („Krakus"), estetyzmu, adorowano jako artystę zapoznanego i skłóconego ze światem. (W tym samym prawie czasie odkryto innego *poète maudit* — Rimbauda). Powoli elitę smakoszów zastąpiło grono norwidystów oraz zacietrzewionych dyletantów. Wydzierano go sobie lub wyklinano. Poeci nawiązywali doń i pisali o nim wiersze, wśród których wypada wyróżnić „Dom św. Kazimierza" Czechowicza i „Rozmowę o Norwidzie" Lieberta, na ogół bowiem związki z poezją Norwida były zewnętrzne, rytmiczne i frazeologiczne.

Kłóciły się o niego grupy poetyckie, anektowali go nacjonaliści wprzęgając w państwowotwórczy rydwan wychowania, w okresie okupacji uczono się na nim siły trwania, po wojnie widziano w nim pisarza postępowego, mimo reakcyjnych intencji, jak mówiono, obecnie w emigracyjnej „Kulturze" młody autor wywyższa Norwida ponad Mickiewicza, uważając, że właśnie Norwid jest pisarzem par excellence emigracyjnym itd. Równocześnie znane są wypadki wandalizmu. Oto na wskroś katolicka twórczość poety doczekała się tego, że zaraz po śmierci spalono w zakładzie św. Kazimierza kufer jego rysunków i papierów, bo „treść ich bluźniła Bogu". Drugim takim jaskrawym przykładem było ukrycie przez M. Janika znaczniejszej ilości pism Norwida, gdyż uważał go za grafomana.

*

Trudno dziwić się temu, jeśli się zważy, że i badacze nie zawsze potrafili dotrzeć do jego myśli i poezji. Norwid objawił się jako zagadka i jako zagadkę odgadywano go, snując różne domysły i hipotezy. Podpatrywano go i to nie jako poetę, lecz człowieka (biografizm zresztą i psychologizm był modny w nauce o literaturze, zwłaszcza około lat dwudziestych). Zrębowicz układa z jego twórczości „szkicową podobiznę" pt. „Autoportret", Wasilewski zaś tak uzasadnia pojęcie swej monografii: „Nie trudniłbym się Norwidem, gdyby mi nie robiło przyjemności artystycznej odbudowywanie człowieka z jego zwalisk". W „Dopowiedzeniu" jednak wyznaje, że „nie było innego sposobu rozpoznania tego „osobliwego zjawiska".

Potem mówiono o Norwidzie ascetycznym i oschłym mózgowcu. Krytyka skupiła się wokół „Promethidionu", wokół dydaktyzmu, filozofii pracy i historiografii. Równocześnie rozpracowywano Norwida na tle konfliktu ze współczesnością, szukano sposobów dotarcia do jądra „ciemności", natrafiając wciąż na przeszkody; stawiał je sam autor, wymagając rzetelnego współutrudzenia, będąc bardzo złożony, stawiali je też badacze, schodząc na dróżki spraw nieistotnych i wtłaczając go we własne kategorie myślowe. Całe dzieło ukształtowało im się w ogólnikach jako „monolit złożony z najszlachetniejszych kruszców". Zebrał wiedzę o poecie poświęcony mu numer czasopisma „Droga" z 1933 r., zawierający kilka artykułów.

Następnym etapem obrachunku i podsumowania były uroczystości norwidowskie związane ze 125-leciem jego urodzin w 1946 r. Wynikiem ich była cenna książka „Pamięci C. Norwida" zawierająca cztery artykuły o życiu, poezji, filozofii i grafice Norwida oraz obszerną biografię. Z czasu tego można nadto znaleźć wiele innych artykułów i książek. Autor „Pierścienia Wielkiej Damy" zdobył należne mu miejsce, jego twórczość

przestała być zagadką a norwidologia sezamem. Niestety, popełniono wówczas poważny błąd, ponieważ w parze z licznymi publikacjami o poecie nie wydano jego tekstów. Nie dokonano żadnego większego wyboru poezji i pism Norwida. (Tu trzeba skierować pytanie pod adresem Biblioteki Narodowej: dlaczego ta zasłużona instytucja dotąd jeszcze nie wznowiła opracowywanego przez W. Borowego 2-tomowego wyboru poezji Norwida?).

Obecnie mamy sytuację niemal odwrotną. W 1951 r. ukazał się rozszerzony „Wybór poezji" dokonany przez Jastruna i opracowany przez Gomulickiego, potem mały zbiorek wydany przez Jakubowskiego, wreszcie ostatnio dwutomowy wybór Jastruna i Gomulickiego, oraz „Okruchy poetyckie i dramatyczne" zebrane i opracowane przez Gomulickiego. Ten 446-stronicowy tom zawiera utwory odnalezione i nieogłoszone dotąd w żadnym wydaniu zbiorowym. Jest to materiał olbrzymi, nawet jeśli się zważy, że dwie trzecie tomu zajmują przypisy, komentarze i wstęp wydawcy. Dorzucić należy do tego pięć nowych listów i rozprawę pt. „Sztuka w obliczu dziejów jako Syntetyki księga pierwsza", ogłoszoną przez Pigonia w tomie „Miscellaneów z okresu romantyzmu" — zbyt specjalistycznych jednak dla przeciętnego czytelnika.

A więc głód poezji Norwida i tęsknota do całego Norwida, o których pisano, zostały częściowo zaspokojone. Lecz tylko częściowo, wybory bowiem poznikały na ogół z półek księgarskich, były zresztą dość szczuple i obejmowały tylko lirykę. Tymczasem na czytelnika czekają jeszcze nowele i dramaty, godne najlepszych scen i niewątpliwie przewyższające całą komedię pozytywistyczną, a pod wieloma względami i dramat romantyczny.

Nadszedł czas, gdy możemy mówić, że istnieją nie tylko snobizujący wielbiciele oraz znawcy Norwida, lecz także jego czytelnicy. Nie są może tłumni i krzykliwi, są natomiast rzetelni, a ich grono powoli powiększa się. Proces zdobywania czytelnika przez Norwida był długi i powolny, niemniej jednak skuteczny. Znamienne jest, że dużą rolę w tym procesie odegrały ponure lata wojny.

Czytelnik. Ta bezimienna postać, znana z liczbowych statystyk bibliotecznych, ma jedną przewagę nad specjalistą: czyta dzieło jako coś żywego, nie przymierza doń kryteriów historyczno-literackich, wzrusza się, chociaż może nie zawsze uchwyci całą wartość utworu, podczas gdy badacz rzadko posiada bezpośredni stosunek do tekstu, ujmując go na zimno i fachowo.

Norwid jest o tyle łatwiejszy, że przezwyciężając poetykę swojej epoki, przemawia jak autor współczesny, z drugiej strony jest o tyle trudny, że stawia czytelnikowi duże wymagania (czytanie uważne, czytanie wieloma razem władzami umysłu, współutrudzenie...) i ani trochę nie ustępuje na rzecz jego gustów; wypomina np. swoim współczesnym, że podają prawdę przez rękawiczkę przyjemnych powiastek. Dlatego Norwid nie jest popularny i popularny chyba nie będzie. Możemy natomiast mówić o zapotrzebowaniu na jego twórczość i jej aktualności — nie zmniejszającej się.

*

Nie na próżno sięgał poeta do wielkiej sztuki i korzystał z jej doświadczeń. Homer i Horacy, Dante i Szekspir, Byron i Schiller, Kochanowski i Mickiewicz, Michał Anioł i Leonardo da Vinci — to mistrze, od których się uczył, realizując głęboko pojętą ciągłość kultury. Zyskiwał w ten sposób perspektywę i dystans, co mu pozwalało i swoją twórczość kształtować na miarę nieprzemijającą. Był jak rzeźbiarz, który wykuwa tylko szlachetny kruszec o „doskonałości peryklejskiej".

Wiedział, że dwie są cechy oryginalności: „sumienność wobec źródeł" i pozornie wykluczająca tamtą: że „to się tylko pisać powinno, czego jeszcze kto inny nie napisał". W paradoksie tym zawiera się cała tajemnica trwałości dzieł Norwida i każdej wielkiej sztuki.

Nic więc dziwnego, iż nie umiano wskutek tego zaklasyfikować go do żadnego okresu literatury. Romantyzm, przeciwstawiając się racjonalizmowi i sensualizmowi, popadł w skrajność gloryfikacji uczucia i irracjonalizm. Ton ody i dytyrambu zmienił w emfazę i poezję wieszczych przeczuć. Norwid walczy z przerostami uczucia i spontanicznym natchnieniem, rozwinie zaś postulat wierności prawdzie wewnętrznej, unikając przy tym subiektywistycznego liryzmu. Bunt wobec ustalonego porządku, marzenia o lepszej przyszłości, przygotowują wystąpienia Norwida, zmierzające poprzez osąd współczesności do jej chrześcijańskiego odrodzenia. Maksymalizm a równocześnie indywidualizm i subiektywizm romantyków doprowadził ich do sceptycyzmu. Maksymalizm Norwida wyrazi się w stawianiu konkretnych zadań i postulatów, w bezkompromisowości. W żadnym wypadku nie możemy mówić o epigoństwie Norwida. Nie da się go zestawić z szaraczkową poezją gawęd i skarg, poezją jednostajną i ubogą.

Reakcją przeciw niej i przeciw miernocie ówczesnego społeczeństwa była „cyganeria warszawska", ekscentryczna i rewolucjonizująca. Jej narzędziem przekształcania świata miała być sztuka. „Przecież przestaliśmy się bawić nią jak cackiem — a stworzyliśmy olbrzymi zawód, kapłaństwo całego życia z niej", wita młodą literaturę Dembowski. Drwina i śmiech zastępuje skargi i złorzeczenia. Najlepiej wyraża ówczesne tendencje wiersz Zmorskiego „Powitanie" z 1840 r. Oto „szranki życia" witał z „ufnym, wzniosłym, czystym duchem", lecz gdy poznał świat, okazało się, że „kłamstwem miłość, blichtrem cnota", zaś Bogiem „bałwan złota". Pada więc pytanie: w takiej sytuacji

Marzenia twoje młodzieńcze
Przyszły szukać wypełnienia?

Chce jednak żyć „godnie człowieka" i... ucieka do poezji, by mu olśniła „brudne życia tonie". Norwid wyrósł z tego środowiska, lecz rychło je przerósł i tylko iuvenilia mieszczą się w tamtym młodzieńczo bujnym a zarazem pesymistycznym kontekście („Moja piosnka", „Wieczór w pustkach").

Nie jest też pozytywistą, choć z pozytywizmem wiąże go nastawienie na sprawy społeczne, pracę organiczną (nieco inaczej rozumianą). Trzeźwość pozytywis-

tyczna była jednak wyrazem smutnej konieczności rezygnacji. Czuli się bankrutami idei romantycznych, byli minimalistami. Dlatego w późniejszej twórczości najwybitniejszych pisarzy tego okresu, Prusa, Orzeszkowej, Sienkiewicza, zaznaczy się wyraźny kryzys.

Pozostaje jeszcze poezja francuska, zwłaszcza Baudelaire i parnasizm, z którymi związki Norwida są widoczne. Kott napisze o poezji Baudelaire'a: „Romantyzm obalił hierarchię tematów na górne i poziome. Baudelaire dowiódł, że poezja może mówić o wszystkim i wszystko uczynić poezją". Podobną rolę w poezji polskiej spełnił Norwid, lecz nie posunął się do demonizmu, nie potraktował piękna w oderwaniu od dobra. Od autora „Les fleurs du mal" różni go silny nurt moralny i większe wyczucie historii. Nigdy też nie powie z Gautierem, że sztuka ma jeden tylko cel — siebie, z Leconte de Lisle'm, że sztuka to intelektualny luksus i że piękno nie jest sługą prawdy. Tak jak parnasizm jednak korzystał z dorobku nauki, zwłaszcza popularnej wówczas archeologii, zmierzał do obiektywizacji, lecz tym się różnił, że tylko korzystał z tych tematów i nie traktował ich jako wartości samych w sobie, nie dążył też do chłodnej bezosobowości.

*

„Tylko c z a s u zwycięstwo świadczyć może o czasie". Prawdę tę sformułował Norwid już przed „Promethidionem" w rozprawie „Sztuka w obliczu dziejów". Ażeby czas przeróść, trzeba go znać i trzeba być z nim związanym. Norwid nie był eskapistą i samotnikiem, jak mu jeszcze do niedawna zarzucano. Jego twórczość reagowała i odzwierciedlała z rzadką wrażliwością aktualne wypadki, czy będzie to wiersz „Do Johna Browna", „Do emira abd el Kadera", czy „Bema pamięci żałobny rapsod" i „Żydowie polscy", czy „Na zgon śp. Jana Gajewskiego" lub „Encyklika oblężonego". Każdy fakt zyskuje jednak perspektywę dziejową, zostaje uogólniony i pogłębiony.

Poeta? jeśli poetą prawdziwie —
Żyć pierwej musi w tym samym żywiole,
Który rozlewa potem w swoim śpiwie.
— Nie mają tętna wymarzone bole
Ni burz opisy przy biurowym stole.
(„Krytyka")

Norwid nie wiązał się z żadną partią emigracyjną, nie brał udziału w ich swarach, lecz zdawał sobie sprawę z niemoralności warunków emigracji, wynikłych z oderwania od społecznego podłoża, z dziwaczności sytuacji ojczyzny. Tam też tłumaczył ironiczne dygresje „Beniowskiego": „Przekleństwo albowiem jest nierozłączne z każdą pogwałconą prawdą, każda prawda, narodzona krzywo i ironicznie dlatego tylko, że jej nie dano narodzić się inaczej, sądzi przez to samo społeczeństwo i jest najsilniejszym siebie samego przekleństwem".

Norwid również sądził, ironia zgrzytała pod piórem, ironia obiektywizująca, czasem sarkastyczna, czasem smutna i dobrotliwa, nigdy jednak negująca. Poeta zbyt kochał świat, by być abnegatem, lecz uważał, że obowiązkiem poezji jest dochodzić do prawdy, że „artyści są kwatermistrzami wielkich duchowych marszów", dlatego ukazywał „nagie serio", ostro krytykował, ale nie drwił.

Jego twórczość rzeczywiście ukazuje owo „nagie serio". Ostrzega przed fałszywością dwu istniejących koncepcji cywilizacji: jedna beztroska, konserwatywna i lekceważąca sprawy człowieka, uchyla się przed podjęciem trudu szukania rozwiązań, wszystko pokrywa „zabawienie świetną liberią". Druga znów, lekceważąc teraźniejszość, snuje o przyszłości, buduje utopie. Obie są przy tym powierzchowne.

Dwie a tak błogie mając opiekunki,
Ludzkość w sieroctwie znikłaby głębokim

W marzeniach monarchy z wiersza „Ideał i reformy" uderza dwuwierszem „Ironii":

Ty myślisz może, że wiek złoty
Bez walk, sam przyjdzie do ludzkości —

Ulepszanie świata wymaga pracy i przemyślenia uczciwego — by czyn nie był chybiony lub przypadkowy. Norwid ostrzega również przed postępem pojętym mechanicznie lub abstrakcyjnie.

Autor „Za kulisami" daje pełny przekrój warstw społecznych, konfrontuje je ze sobą. Czyni to przede wszystkim w komediach. Pseudo-inteligenckie mieszczaństwo, arystokratyczny salon, cicha służba, sarmaccy facecjoniści, dorobkiewicze i kapitaliści, świat marionetek, urzędników — a wśród nich artysta jako reprezentant prawdziwej inteligencji. Norwid pokazuje te kręgi w ich dynamice przeobrażania się i formowania; pochylając się nad swym czasem kreśli wierny obraz cywilizacji, podejmuje polemikę z różnymi jej formami. Arystokracja to klasa bankrutująca, zamknięta w kręgu salonu, mimo prób nawiązania kontaktów z kapitalizmem, nie bierze udziału w historycznych przemianach. Fakt obalenia despotyzmu przyjmuje jak każdą plotkę („Ostatni despotyzm"). Wyrafinowanie, dystyngowana konwersacja o błahostkach, protekcjonalne mecenasostwo — oto atmosfera i społeczna wartość salonu. Szlachta to rubaszni gawędziarze, żyjący z dnia na dzień w swej zagrodzie w błogim lenistwie, deklasujący się powoli i nieuchronnie. Twórcza inteligencja prawie nie istnieje, są tylko rezydenci, guwernerzy, pisarczyki.

Wyłącznie ekspansywnym środowiskiem jest finansjeria, młody kapitalizm, nie przebierający w środkach w pogoni za zyskiem. Świat pozostawiony automatyzmowi postępu, człowiek własnej sile i przedsiębiorczości. W biologicznej walce o byt rozpętane zostają zwierzęce instynkty, nie ma w niej miejsca na skrupuły moralne i społeczne zobowiązania.

Ruchy dwa, i gesty dwa tylko:
Fabrykantów ścigających coś z rozpaczą,
I pokwitowanych z prac, przed chwilką,
(„Stolica")

Historia „wie tylko: Krwi!", społeczność „tylko: Pieniędzy!" („Larwa"), skąd rozpacz i nędza („Nerwy"). Niepokoi Norwida ta nędza, lecz bardziej jeszcze boli go upodlenie człowieka.

Człowiek to najważniejszy bohater twórczości autora „Quidama". Człowiek i wszystko, co się z nim wiąże, jako temat i przedmiot, a więc historia, cywilizacja, sztuka, oraz człowiek jako podmiot, a więc spojrzenie ludzkie, ujęcie intelektualne i moralne, a także „autentyczność", odcięcie się od zmyślenia i fantazji, widoczna w dążeniu do fotograficznej wprost wierności (lecz nigdy faktografii). „Fotograficzność" tę pogłębia unikanie efektowności i krzykliwości, surowa powściągliwość i bezbarwność słowa. Barwa zaś nigdy nie jest używana jako nastrojowe podkolorowanie tła.

Norwid walczy o „całoczłowieczeństwo", polegające na wzajemnym dopełnianiu i funkcjonalnej współpracy wszystkich władz duchowych człowieka. Myśl posiada wartość etyczną i odwrotnie, czyn moralny podpada pod osąd rozumu. Odseparowywanie ich odbija się na kulturze ludzkiej („Specjalności"). Z izolacjonizmem tego rodzaju wiąże się przecenianie stanów uczuciowych

— Dzikość bowiem stąd pochodzi
Że się jest jednostronnym jak kwiatów
[korzenie
I że się przeciw-wrotnych połowic nie godzi
(„Dwa guziki")

W służbę uczłowieczenia wprzęgnięte zostaje wszystko: również praca, cierpienie i nieszczęście, któremu nie wolno poddać się, ale szukać w nim nawet doświadczenia: „Rzewnie wspominam, że Sokrates mając ból od kajdan na nogach swoich starał się stąd korzystać, badając stosunek bolu do żywota". Ten aktywny stosunek do nieszczęścia i przeciwności losu może sprawić, że staną się one wartością pozytywną, cenną, jak owe perły w „Purytanizmie", o czym nie wie feeryczna panna, która je nosi. Są one też próbą wewnętrznej siły człowieka. Właśnie ten sokratejski spokój bijący z twórczości Norwida tak urzekł i hartował w okresie okupacji i hartuje do dziś w każdej trudnej sytuacji, napawając mądrym optymizmem.

*

Twórczość Norwida odznacza się wszechstronnością i uniwersalistycznym humanizmem. Wyraża się to nie tylko rozległością problematyki, sprawiedliwym osądem epoki i prekursorstwem wielu idei, lecz również wieloaspektowością każdego utworu, nawet tak „marginesowego" jak fraszka.

Weźmy dla przykładu maleńki utwór pt. „Czułość". Na pierwszy rzut oka można by sądzić, że stanowi on hołd złożony tej pięknej ludzkiej zalecie. Tak wszakże nie jest. Utwór pokazuje różne formy tej samej pseudoczułości: czułość wrzaskliwą, czułość sentymentalną (dostrzegamy tu aluzję do sentymentalizmu wyśmianego już przez Krasickiego w „Żonie modnej"), „pogrzebną" (przywołującą na myśl lamenty płaczek) oraz ekshibicjonistyczną czułość wdowca noszącego zegarek na kosmyku włosów żony. Takie czułości bywają. To wszystko w 6-wersetowym wierszyku. I zdumiewa, że to wyliczenie i nagromadzenie tylu zewnętrznych czułostek nie przytłacza, że nie odczuwamy tej wyliczeniowości, zdumiewa dyskretność ujęcia, która sprawia, że nie odczuwamy tu akcentów parodii, w jaką łatwo można było wpaść.

Trudność w uchwyceniu właściwego sensu tego utworu pochodzi stąd, że jest on „jednostronny", ukazuje tylko negatyw i to pośrednio — inaczej niż np. w podobnym utworze „Litość". Zwykle bowiem Norwid porównuje ze sobą rozmaite wartości, ukazuje je w relacji, dokonuje konfrontacji i każdą rzecz pozwala obejrzeć ze wszystkich możliwych stron. Często też uboczny motyw w jednym utworze zostaje rozwinięty w innym i w ten sposób cała twórczość Norwida tworzy różnorodną jedność. Nie można mówić tu o symbolistycznej wieloznaczności, lecz o głębi i wielopokładowości.

Pasja rozróżniania i precyzji, żarliwość interpretacji i oceny, wnikliwość i wrażliwość, zaangażowanie się bez reszty i obiektywizacja, docieranie do źródeł i szukanie przyczyn, żywa polemiczność i postulatywność, wszystkie te cechy sprawiają, że utwory Norwida można czytać z przyjemnością i pożytkiem. Można do nich wracać po wielekroć i nic nie tracą ze swej świeżości, przeciwnie, ciągle odkrywamy w nich nowe wartości.

Dochodzi do tego nieodzowny czynnik: rzemiosło poetyckie najwyższej klasy. Poeci tacy jak Przyboś czy Jastrun podkreślają przede wszystkim nowoczesność obrazowania u Norwida. Przyboś ujmujący je z punktu widzenia własnej poetyki (poezja jako mowa wzmożona), podkreśla takie cechy, jak nasycenie zdań obrazami i wprawienie ich w ruch grą pojęć przywołanych odległymi skojarzeniami, lapidarność, dramatyczna kompozycja, język odpoetyczniony a poetycki. Jastrun wskazuje na plastyczne widzenie rzeczywistości w połączeniu z pojęciowym tokiem. Można tu wyliczyć wiele jeszcze cech, jak posługiwanie się wierszem wolnym, wykorzystanie wartości intonacji i składni, ścieranie się toku rytmicznego ze składniowo-intonacyjnym, nowoczesność przedstawień słownych oraz poetyckiej struktury, rymowanie na „całą długość wiersza", dysautomatyzacja języka, eliptyczność, sytuacyjność. Każdy utwór posiada inną strukturę wewnętrzną, inny ton, inną metaforykę. Ogromna skala rozpiętości wzniosłości i żartu, potoczności i patosu, gromu i pyłku, przemilczeń, paradoksu, ironii, paraboli...

*

Norwid dziś tak samo jak dawniej nurtuje i niepokoi, poszerza zakres świadomości, zmusza do myślenia. Jest aktualny. O jego aktualności decyduje stosunek do epoki — związek z nią i jej wyprzedzenie, obiektywizacja, uniwersalizm i humanizm, doskonałe rozwiązanie antynomii między tradycjonalizmem i nowatorstwem, realizm, brak egzaltacji i koturnu, rozpiętość tematyczna i problemowa, niezwykłe bogactwo środków obrazowania.

W okresie, gdy światu grozi specjalizacja i technokracja, tęsknimy za jego całoczłowieczeństwem, odczuwamy też tę samą wzgardę dla rodzącego się bur-

żuja. W okresie moralnego kryzysu, oportunizmu i relatywizmu tęsknimy do jego stałości i bezkompromisowej uczciwości. W okresie żądań od sztuki zaangażowania we współczesności możemy brać przykład z norwidowskiej sztuki-służby, chorągwi „na prac ludzkich wieży", sztuki, która jednak pozostała wielka jako sztuka narzucająca swą siłę piękna. Można nie zgodzić się z poetą, lecz można korzystać z jego bogatych pokładów wszechstronnej twórczości. „Nie można bowiem dzisiaj przejść obojętnie — jak pisze Piechal w dość ogólnym artykule pod tym samym tytułem — obok autora, który pierwszy w naszej literaturze pisał o dziejowej roli inteligencji, jako ideowym wiązadle między chłopem a robotnikiem, zaś o sztuce jako funkcji postępu, a o postępie jako warunku wszelkiej sztuki".

Zdzisław Jastrzębski

Jerzy Danielewicz

JAN CZYŃSKI – ZAPOMNIANY REWOLUCYJNY DZIAŁACZ LUBLINA I WIELKIEJ EMIGRACJI

Miasto nasze i Ziemia Lubelska mogą się pochlubić wspaniałymi, rewolucyjnymi tradycjami. Szczególnie historyk zajmujący się dziejami walki rewolucyjnej i narodowo-wyzwoleńczej pierwszej połowy XIX w. musi sięgnąć do historii naszego regionu, najwybitniejsi bowiem jej przedstawiciele właśnie na terenie Lubelszczyzny prowadzili swą ożywioną działalność. Wystarczy przypomnieć takie czołowe postacie, jak ks. Piotr Ściegienny, Edward Dembowski czy Henryk Kamiński, którzy w ostatnich latach doczekali się już szeregu opracowań naukowych i popularno-naukowych. Obok nich jednak nauka polska powinna z całym pietyzmem przypomnieć i innych, niesłusznie zapomnianych. Należy do nich Jan Czyński, patron Cywilnego Trybunału w Lublinie, przywódca lubelskiego i warszawskiego ludu w czasie powstania 1831 r., a później na emigracji — demokratyczny działacz, publicysta, płodny powieściopisarz, utopijny socjalista — uczeń Karola Fouriera, jeden z najbardziej konsekwentnych szermierzy przyjaźni narodów: rosyjskiego, ukraińskiego i polskiego.

Czyński urodził się w roku 1801 na Pradze, przedmieściu Warszawy, z ojca Józefa i matki Katarzyny z Krasińskich. Ojciec jego był za młodu działaczem tzw. ruchu frankistów, który pod kierunkiem Żyda Franka (1726—1791) spowodował asymilację postępowych warstw żydowskich, matka pochodziła również z rodziny, która należała do najgorliwszych krzewicieli frankizmu w Polsce. Po ukończeniu liceum warszawskiego w roku 1819 Czyński studiował prawo na uniwersytecie warszawskim, zdobywszy poza wykształceniem prawniczym gruntowną i wszechstronną wiedzę historyczną. Po napisaniu pracy z zakresu prawa hipotecznego i uzyskaniu tytułu magistra, osiadł w Lublinie, zajmując tu stanowisko patrona przy Trybunale Cywilnym. Wkrótce dał się poznać jako gorący obrońca lubelskiego plebsu oraz okolicznego ludu wiejskiego. Tutaj, na terenie Lublina, nawiązał kontakty z rewolucyjnym ruchem podziemnym Królestwa, którego jeden z czołowych przywódców, radykał Tadeusz Krępowiecki, kolega Czyńskiego z uniwersyteckiej ławy, był w naszym mieście przez pewien czas prywatnym korepetytorem, a zarazem członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk Województwa Lubelskiego [1]. Z chwilą wybuchu powstania listopadowego zgłosił się Czyński jako szeregowiec-ochotnik do Lubelskiej Gwardii Narodowej, organizowanej tu przez gen. Wincentego Szeptyckiego. Równocześnie przystąpił do redagowania i wydawania „Kuriera Lubelskiego". Sytuacja powstańców w Lublinie nie była wówczas łatwa — miejscowi dowódcy wojskowi — generałowie: poeta Franciszek Morawski, Weyssenhoff i hr. Szeptycki bynajmniej nie należeli do zwolenników powstańczego ruchu, prezydent miasta hr. Kossakowski, którego sylwetę moralną nakreślił później Czyński w swej powieści „Wielki Książe Konstanty i Żanetta Grudzińska czyli Jakobini polscy", należał przed powstaniem do gorliwych służalców wielkiego księcia Konstantego [2], a obszarnicy Lubelszczyzny odznaczali się szczególną reakcyjnością. Do walki z miejscową reakcją wykorzystał więc Czyński z jednej strony łamy „Kuriera Lubelskiego", z drugiej rozpoczął agitację wśród lubelskiego plebsu i młodzieży, zarówno polskiej jak i żydowskiej. Terenem jego pierwszego publicznego wystąpienia była stara zabytkowa synagoga Maharszalszul, zbudowana w XVI w. na mocy przywileju Zygmunta Augusta z 1567 r., jeden z monumentalnych zabytków renesansowej architektury w naszym mieście [3]). Przemówienie do ludności żydowskiej, w którym Czyński zapewnił, iż powstańcy będą walczyć również o prawne i polityczne równouprawnienie dla Żydów, rozentuzjazmowało postępową młodzież żydowską, która masowo zaciągała się do szeregów Gwardii Narodowej, a lubelska gmina żydowska opodatkowała się na rzecz powstania [4]). 14.XII.1830 r. Czyński zorganizował masową manifestację, podczas

---

[1]) *W. Łukaszewicz, Tadeusz Krepowiecki — żołnierz rewolucjonista, Warszawa 1954, str. 16 — 17.*

[2]) *J. Czyński, Jakobini polscy, Warszawa 1907, str 157.*

[3]) *A Kubiak, Zabytkowa Architektura żydowska w Polsce, Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego, 1953, Nr 2—3 str. 143 — 144.*

[4]) *I. Schipper, Żydzi Królestwa Polskiego w dobie powstania listop., 1932.*

której ludność Lublina publicznie wypowiedziała się za powstaniem. W czasie tejże manifestacji wybrano deputację, którą wysłano do Warszawy, aby tam oświadczyła władzom powstańczym, iż lud Lublina jest gotów zaatakować oddziały wielkiego księcia Konstantego, wycofujące się ze stolicy na wschód. Manifestacja 14.XII. była również skierowana przeciw reakcyjnym generałom lubelskiego garnizonu i miała na celu zmuszenie ich do bardziej energicznych działań. Wkrótce potem Czyński zorganizował lubelską Gwardię Ruchomą, złożoną głównie z biedoty naszego miasta. Pod naciskiem tego oddolnego ruchu gen. Szeptycki został zmuszony do przyjęcia lubelskiego adwokata na stanowisko swego adiutanta i doradcy. Maszerujące na Lublin, przeważające siły generałów Kreutza i Rüdigera zmusiły Czyńskiego do opuszczenia miasta. W czasie, gdy prezydent Lublina hr. Kossakowski owacyjnie witał carskie wojska, których dowódcy wyznaczyli 1.000 czerwonych złotych za głowę Czyńskiego, ten znajdował się już w Warszawie, pracując jako referendarz Ministerstwa Wojny nad reorganizacją, uzbrojeniem i zwiększeniem stanu liczebnego powstańczej armii. Obok pracy w Ministerstwie Czyński kontynuował swą działalność polityczną, wiążąc się z lewicą Towarzystwa Patriotycznego, które w lipcu 1831 roku powołało go na swego wiceprezesa. W czasie ruchu rewolucyjnego w noc 15.VIII płomienne przemówienie Czyńskiego przyczyniło się do aktywizacji warszawskiego plebsu i przyśpieszyło jego marsz na siedzibę znienawidzonego rządu ks. Adama Czartoryskiego [1]). Wdarłszy się wraz z ludem do rządowego pałacu Czyński scharakteryzował drżącym ze strachu ministrom fatalne położenie powstania, przedstawił jego przyczyny, potępił knowania zdrajców i szpiegów i zażądał usunięcia z armii exnaczelnego wodza gen. Skrzyneckiego [2]). Jednak omamiony wymijającymi odpowiedziami ks. Czartoryskiego i wiceprezesa rządu Niemojewskiego, dał się nakłonić wraz w ludem do opuszczenia sali obrad, załamał się w obliczu decydującej próby, nie doprowadził do aresztowania członków rządu i postawienia ich przed rewolucyjnym trybunałem. Nienawiść ludu wyładowała się w ataku na zamek, z którego wywleczono zdradzieckich i niedołężnych generałów, skazując ich wyrokiem ludowej sprawiedliwości na karę śmierci. Noc 15.VIII nie zdołała już uratować upadającej insurekcji. Czyński wraz z innymi przywódcami Towarzystwa Patriotycznego udał się na emigrację, gdzie rozpoczął się nowy, ważny okres jego działalności i twórczości. Naturalnie niesposób jest w ramach niniejszego artykułu wyczerpać choćby pobieżnie rożnorodne dziedziny emigracyjnego życia, którymi interesował się „lubelski patronik", jak nazywali go złośliwie przeciwnicy. Szczególnie pierwsze lata pobytu Czyńskiego na emigracji to okres niezwykłej aktywności politycznej. Związany z Komitetem Narodowym Lelewela, Czyński był jakby jego ministrem spraw zagranicznych, on prowadził rokowania z przywódcami niemieckich kół demokratycznych, on w mundurze polskiego oficera przemawiał na słynnych uroczystościach w miasteczku Hambach [1]), w czasie których Niemcy domagali sie demokratycznego zjednoczenia swej rozdartej na szereg państw i państewek ojczyzny. W dniu 29.XI.1832 r. na obchodzie rocznicy wybuchu powstania wystąpił Czyński obok Krępowieckiego, poświęcając swą mowę przywódcy warszawskiego plebsu z 1831 r. Józefowi Kozłowskiemu: „Józef Kozłowski zasłużył sobie na miano trybuna ludu... W Polsce zawsze nadużywano dobrej wiary ludu, chciano, żeby cierpiał i nie jęczał. Władzę ostatniej nieszczęsnej rewolucji polskiej sprawowali faryzeusze, co pod lubym wyrazem narodowości rozumieli powrót do samolubnych przywilejów" [2]). Obserwując rozbicie emigracyjnego obozu demokratycznego próbował Czyński znaleźć wspólny język dla zwalczających się niekiedy niepotrzebnie, a zbliżonych do siebie ideologicznym programem grup i grupek, zawiązując 14.II.1842 Towarzystwo Przyjaciół Postępu, które jednak stało się jeszcze jedną emigracyjną efemerydą [3]). Kontynuując działalność w ramach polskich organizacji politycznych (w roku 1834 wstąpił do T.D.P., a niemal rownocześnie do lelewelowskiej Młodej Polski), starał się powiązać ją z międzynarodowymi związkami lewicy wolnomularskiej i karbonarskiej. Jako pisarz i publicysta poświęcił się badaniom nad historią wzajemnych stosunków narodów rosyjskiego, ukraińskiego i polskiego, niedolą polskiego chłopstwa, położeniem klasy robotniczej w krajach Europy zachodniej i położeniem ludności żydowskiej w Polsce. Pierwszej problematyce poświęcił szereg powieści, jak: „Jakobini polscy" (Paryż 1833), „Kozacy" (Paryż 1835), „Steńko Razin" (Paryż 1837), „Korespondencja na temat Rosji" (Paryż 1837) oraz wielkie wydawnictwo naukowe pt. „Historia i obraz Rosji malowniczej". Bohaterowie utworów Czyńskiego to wodzowie ludu walczący z uciskiem panów: Nalewajko, Pawluk, Doroszenko, Steńko Razin, Pugaczow, Jermak Atłasow. Malując w barwny sposób historię rosyjskiego narodu od czasów najdawniejszych aż do sobie współczesnych okrutnych rządów Mikołaja I, na każdym kroku przeciwstawiał historię mas ludowych dziejom władców i tyranów. Stwierdzając, iż ludy słowiańskie, a szczególnie naród rosyjski, cechuje wrodzone umiłowanie wolności, pisał: „Żaden naród nie posiada takiego umiłowania wolności jak naród rosyjski. Jest to bowiem naród, w którego żyłach płynie krew wolnych ludów stepowych. Podstępem, chytrością i przemocą ludy te zostały pochwycone w niewolę carów i strzegących swych przywilejów kastowych bojarów. Europa nie zna historii ludów rosyjskich. Podobnie jak obecnie, była zawsze ślepa na ich zmagania z barbarzyńską władzą carów. Tym-

[1]) L. *Mierosławski, Powstanie Narodu Polskiego, w roku 1830 i 1831, Paryż 1868 t. V, str. 317.*

[2]) *St. Barzykowski, Histroia powstania listopadowego, Poznań 1883, t. V.*

[1]) *A. Lewak, Od Związków Węglarskich do Młodej Polski, W-wa, 1920, str. 20 — 21.*

[2]) *J. Czyński, Głos na obchodzie uroczystym 29.XI. 1832 roku na cześć Józefa Kozłowskiego, Paryż 1832.*

[3]) *J. Frejlich, Towarzyswto Przyjaciół Postępu (1832), Kwartalnik Historyczny 1910 (tom XXIV), str. 250-254.*

czasem żaden naród nie może poszczycić się tyloma walkami o wolność, co naród rosyjski"[1]).

Odrębną, niezwykle ważną pozycję w twórczości Czyńskiego stanowią jego prace na temat socjalizmu utopijnego, a szczególnie jego nurtu fourierystowskiego. Wydany przez niego w roku 1840 życiorys Karola Fouriera jest jednym peanem ucznia ku czci mistrza, o którym pisał: „W Besançon, nowoczesnym Betleem, urodził się kilkadziesiąt lat temu człowiek zesłany przez Boga — Karol Fourier, aby wypełnić ważne posłannictwo. Jego życie było uczciwe i wzniosłe"[2]). Praca Czyńskiego o Fourierze zewierała wezwanie do tworzenia falansterów: „Świat jest pełen nędznych pomieszczeń, w których gnieżdżą się robotnicy i chłopi i skąd dochodzą krzyki dzieci porzuconych przez własne matki. Świat jest pełen przestępców zapełniających galery i więzienia. Wszędzie dominuje zbrodnia i nieszczęście. Nie należy sądzić, że jest to przeznaczeniem człowieka na ziemi. Znaleźli się ludzie oświeceni duchem Fouriera, którzy chcą zmienić to piekło społeczne w raj. Chcą zbudować Falanster. Falanster to pałac wspaniały, otoczony ogrodami, siedziba godna człowieka, gdzie ze wszystkich przyjemności życia wielkomiejskiego i ze wszystkich uroków wsi mogą korzystać mieszkańcy zrzeszeni we wspólnym współżyciu i pracy. W Falansterze nie będzie ani opuszczonych biednych, ani chorych bez pomocy, ani starców bez oparcia. Dzieci i młodzież będą mogły kształcić się i rozwijać swoje zamiłowania. Ziemia otworzy swoje niezmierzone bogactwa dla zjednoczonego przemysłu i handlu". Socjalizm utopijny Czyńskiego, mający, jak stwierdzał, służyć klasie robotniczej, podobnie jak jego fourierystowski pierwowzór, nie zmierzał jednak do likwidacji klas, nie propagował, mimo radykalnych wypowiedzi Czyńskiego, rewolucji uciskanych mas robotniczych. Czyński, podobnie jak inni współcześni mu fourieryści, stawał się stopniowo przeciwnikiem rewolucji i ideologiem nie proletariatu, lecz stanu trzeciego. „Wy, którzy zarabiacie na czarny kawałek chleba, nie słuchajcie tych, co chcą burzyć, a którzy nie potrafią budować. Nie słuchajcie też tych, co mówią, że ziemia musi być padołem łez... Nie słuchajcie też tych, co Wam dają broń do ręki, bo jesteście tylko narzędziem w ich ręku. Posłuchajcie mnie, ja Wam pokażę drogę do zbawienia, nauka mojego mistrza pozwala mi tak mówić"[3]).

Końcowy okres działalności politycznej i pisarskiej Czyńskiego znamionuje pewne odchodzenie od ideałów młodości. Pisarz przeżywał wówczas wahania, jego działalność polityczna stawała się niekonsekwentna, co zresztą było charakterystyczne również i dla innych działaczy emigracyjnych. W późniejszym okresie emigracyjnego życia miał nawet iluzje w stosunku do obozu Hotelu Lambert, co wywołało ostrą, bolesną, a jakże słuszną krytykę jednego z wybitnych demokratów polskich, współpracownika Karola Marksa, Ozajasza Ludwika Lublinera. Trudno jest wytłumaczyć tę niekonsekwencję i ewolucję poglądów u wybitnego działacza lewicy powstańczej. Wpłynąć na nią mogło i środowisko, w którym się znalazł, pracował bowiem jako urzędnik w Zarządzie Kolei Północnej, na którego czele stał wielki finansista Rotschild. Lecz i w tym okresie był Czyński zdecydowanym antyklerykałem, walczącym z wszelkimi mistycznymi kierunkami emigracji (m.in. ostro krytykował Mickiewicza za jego wykłady w Collége de France[1]), pozostał wierny sprawie chłopskiej i był nadal szermierzem równouprawnienia ludności żydowskiej. W czasie powstania 1863 r. wznowił działalność polityczną, redagując przeznaczone dla cudzoziemców czasopismo „Pologne", oraz zorganizował w Paryżu „Alliance Polonaise de toutes croyances religieuses", zrzeszenie mające za zadanie walkę z przesądami i nietolerancją. Ta działalność Czyńskiego zwróciła na niego uwagę policji francuskiej, która zmusiła go do opuszczenia Francji. Czyński wyjechał wówczas do Londynu, gdzie spędził ostatnie trzy lata swego życia. Na krótko przed śmiercią założył Towarzystwo Pracowników Polskich, mające na celu niesienie pomocy materialnej polskim emigrantom, którzy przywędrowali do Anglii po roku 1863. Dnia 31.I.1867 roku zmarł w Londynie w 65 roku życia.

Czasopismo „Niepodległość", do którego redakcji wchodzili późniejsi wielcy bojownicy Komuny Paryskiej: Jarosław Dąbrowski i Walery Wróblewski, zamieściło po śmierci wielkiego patrioty i demokraty artykuł — autor jego pisał m. in.: „Nie znałem człowieka, który by jak on zaparłszy się samego siebie żył dla dobra Polski i Polaków. Cały nieboszczyka pobyt na ziemi zapełniony był pracą mającą dobro Polski na celu"[2]). „Ktokolwiek walczył z przesądami, musiał imię swoje wystawić na pociski. Naraziłem się też w życiu moim na mnóstwo zarzutów wszelkiego rodzaju"[3]), pisał Czyński pod koniec życia, zamykając w ten sposób toczącą się przez cały czas jego działalności literackiej i politycznej kampanię oszczerstw, kalumnii, a niekiedy nieporozumień. A w jednym ze swych ostatnich listów napisanych do działacza T.D.P. Jana Nepomucena Janowskiego pisał: „Jesteśmy pochyleni wiekiem... Należy oddać hołd trybunom ludu... Kozłowskiemu, Worcellowi, Krępowieckiemu. Historia odda nam kiedyś sprawiedliwość — powie — oni sercem i duszą służyli ludowi"[4]).

To samo, co mówił Czyński o Kozłowskim, Worcellu i Krępowieckim, możemy, jak sądzę, obecnie w całej pełni zastosować i do niego.

Jerzy Danielewicz

---

[1]) *J. Czyński, Histoire et tableau de la Russie Pittoresque. Paris 1837.*

[2]) *J. Czyński, Notice biographique de Charles Fourier Paris 1840.*

[3]) *J. Czyński, Avenir des ouviers, Paris 1839.*

---

[1]) *„Echo Miast Polskich", nr 8 z dnia 22.III.1844.*

[2]) *Niepodległość, Nr 21 z dnia 28.II.1867.*

[3]) *„Przegląd Rzeczy Polskich", 1862, zeszyt I, z dn. 27.I.1862, str. 20.*

[4]) *Korespondencja Jana Nepomucena Janowskiego. Archiwum Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.*

Feliks Araszkiewicz

PORTRET WŁASNY MŁODEGO ŻEROMSKIEGO

W r. 1953 „Czytelnik" wydał pierwszy tom, a w r. 1954 — drugi tom „Dzienników" Stefana Żeromskiego. Nad wydaniem tomu trzeciego, ostatniego, zaległa od dwu lat głucha cisza. Nie mogąc się doczekać edycji najważniejszych części „Dzienników", bez której dotychczas wydane dwa tomy nie posiadają właściwej wartości, zabrałem się do poznania rękopisów, znajdujących się w Bibliotece Narodowej w Warszawie pod nr I 7584 i nr I 7598, a także do listów Żeromskiego, będących w posiadaniu profesora Stanisława Pigonia w Krakowie. (Bibliotece Narodowej i profesorowi Pigoniowi składam serdeczne podziękowanie za udostępnienie mi tych cennych materiałów).

Tom I obejmował czasy kieleckie od 19 maja 1882 do 15 sierpnia 1886 i zawierał tekst pięciu tomików zeszytowych rękopisu spośród dziesięciu, które w tym czasie zostały napisane (pięć zeszytów zaginęło). Tom II obejmował czasy pierwszego pobytu w Warszawie od 18 listopada 1886 do 1 grudnia 1887 i zawierał tekst w pięciu zeszytach napisanych w tym okresie (zeszyt XVI od 2.XII.87 r. do 28.II.88 zaginął).

Tom III obejmuje pięć ostatnich zeszytów rękopisu od 28.II.88 do 11.X.91 z czasów pobytu Żeromskiego w różnych miejscowościach na ziemi kieleckiej, z krótkimi wyjazdami do Warszawy i Krakowa, pobyt w Łysowie na Podlasiu oraz pobyt w Nałęczowie (zeszyt ostatni, XXI, fragmentaryczny i dodatek do niego, odnaleziony w Archiwum Akt Dawnych w r. 1955, należący implicite do niego). Brak dziennika za czas od 1.VI.90 do 9.IX.91, nie wiadomo, czy oznacza zagubienie zapisków z tego okresu, czy też przerwę autora w ich sporządzaniu.

Luka ta jest ważna, bo właśnie wtedy przypada poznanie się Żeromskiego z Oktawią z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczową, przyszłą jego żoną (r. 1892), która go wprowadziła w krąg wybitnych pisarzy i działaczy społecznych Warszawy, a także dlatego, że wtedy pogłębia się dojrzalsza już twórczość autora „Zmierzchu" i „Siłaczki".

Rękopisy, zawarte w tomikach-zeszytach, wyglądają jak notesy kieszonkowe różnych rozmiarów, oprawne w gładkie ciemne płótno lub wyjątkowo w karton (I i XX) i jeden w oprawie płóciennej ciemnozielonej groszkowanej. Fragmenty ostatniego tomiku są nieoprawne i pod osobną numeracją w dziale rękopisów Biblioteki Narodowej. Tomiki od siedemnastego do dwudziestego pierwszego nie różnią się stanem zachowania od poprzednich. Na początku każdego zeszytu autor zaznacza słownie jego kolejną numerację, natomiast stron nie numeruje. W niektórych tomikach sporo kart odciętych, prawdopodobnie niezapisanych, w innych znowu została pewna ilość kart pustych.

Wszystkie te zeszyty są zapisane atramentem różnych kolorów, najczęściej czarnym lub lila, rzadziej czerwonym (rozrzedzonym) lub zielonym. Karty zapisane po obydwu stronach ukazują pismo wyraziste, staranne, najzupełniej czytelne, mimo iż są to autentyczne pierwo-rękopisy. Prawie zupełnie nie spotyka się poprawek, skreśleń, uzupełnień, wstawek, wszędzie jednolity dukt gęstego tekstu opanowanego graficznie pióra. Żadnej nerwowości pisma, żadnych graficznie widocznych poszukiwań słowa, które w tym materiale dokumentacyjnym coraz częściej nosi indywidualne piętno stylu Żeromskiego, tak dobrze znanego z okresów późniejszych.

Wymienione cechy zewnętrzne rękopisów pozwalają sądzić, że ich autor koncepcję odpowiedniego słowa układał w swoim umyśle i dopiero gotowe rzucał na papier, co nie oznacza jednak, żeby ten proces odbywał się wolno i z trudem. Biorąc to pod uwagę i niektóre wypowiedzi autora, świadczące o świadomej, zamierzonej metodzie zapisywania na chłodno nawet najbardziej burzliwych przeżyć, możemy stwierdzić, iż Żeromski już wtedy tworzył w surowej dyscyplinie jak gdyby wtórnej, zobiektywizowanej kontroli, własnego „ja". Liryzację zatem spotykamy tam jako zabieg pisarski świadomy, nie żywiołowy, wylewający się niby wezbrany potok.

Świadczą o tym liczne partie dziennika zarówno emocjonalne, jak i czysto rozumowe, nawet fragmenty przesiąknięte patosem. Gdy zdarza się, że autor przestaje panować nad sobą, zaznacza to natychmiast i przerywa pisanie, zazwyczaj nie wracając potem do porzuconego tematu. Można by nazwać tę właściwość nastawieniem twórczo-literackim do dziennika, co szczególnie wyraziście występuje w ostatnich pięciu zeszytach i co możemy również zauważyć w listach pisarza do żony w r. 1892, które uważał za kontynuację zarzuconego już dziennika.

Z tak postawionym przypuszczeniem wiąże się problem szczerości wypowiedzi zapisywanych w ten „zobiektywizowany" sposób. Wcześniejsze dzienniki, kieleckie i warszawskie, cechuje szczerość bezwzględna, granicząca z ekshibicjonizmem, stopniowo jednak, już w II tomie, w miarę coraz bardziej świadomego traktowania zapisków jako warsztatu prób pisarskich, ustępuje wylewność człowieka, a pojawia się częściej szczerość artystyczna, dokonywająca wyboru materii, obrabianej metodą subiektywnej liryzacji, która daje w konsekwencji obrazy poetyckie same w sobie obiektywne, przesiąknięte ładunkiem ideowym krystalizujących się poglądów autora.

Mamy tu zatem do czynienia ze szczerością taką, jakby narratorem dzienników był nie Żeromski-autor, ale bohater jego powieści, skomponowanej w formie dziennika. Można więc wnioskować, że młody pisarz zdawał sobie sprawę, iż jego dziennik z roku na rok przybiera charakter reprezentatywnej spowiedzi „dzie-

cięcia wieku", co należy mieć na uwadze przy dalszym omawianiu tekstów z lat 88—91.

Tom pierwszy, kielecki, jest przede wszystkim dokumentem biograficznym młodzieńca w wieku od 18 do 22 lat, który wyszedł ze środowiska deklasującej się drobnej szlachty (zjawisko typowe w tym czasie), a pozostawiony z powodu sieroctwa samemu sobie musiał przebijać się przez życie własną pracą, w biedzie i niedostatku. Fakt ten nie byłby ważny dla historyka literatury, gdyby nie to, że zapiski te sporządzał przyszły wielki pisarz, który traktował dziennik nie tylko jako pole do osobistych wynurzeń, ale także jako zaprawę we władaniu piórem z nadzieją sławy. Z objawami świadomej obróbki artystycznej stosunkowo rzadko spotykamy się w tym tomie, ale nadanie sobie przez autora nazwy „romantyka realizmu" jasno ukazuje świadomy wybór postawy ideologicznej, nowatorskiej w czasach trójlojalizmu i pospolitości dorobkiewiczostwa mieszczańskiego oraz nędzy moralnej dworów i pałaców ziemiańskich.

Tom II, warszawski, zawiera mnóstwo opisywanych faktów i wynurzeń osobistych autora, połączonych z tłem stosunków społecznych środowisk, w których się obracał. Formułuje tu siebie jako „romantyka w kapeluszu pozytywisty" i ostatecznie stwierdza, że dla niego „żyć — to znaczy pisać". „Dziecię wieku", posiada wszystkie charakterystyczne cechy epoki (hamletyzowanie, radykalizm społeczny, pasja romantyczna, agnostycyzm, żarliwe umiłowanie ludu, nienawiść do arystokracji), jest jednocześnie indywidualnością niezwykłą artysty, który „chce narysować tego chybionego pozytywistę, tego romantyka pozytywizmu, tego hamleta dziesiejszego, jakim sam jest i jakich widzi wokół siebie tylu". Chodzi tu zatem o realizm psychologiczno-społeczny, obserwowany na sobie samym, jako typowym przedstawicielu tych czasów.

Od momentu uświadomienia sobie różnicy między pojęciem poety a pojęciem artysty („poeta odczuwa, artysta odtwarza") coraz częściej spotykamy się w II tomie z autorem-artystą, nie tylko z czującym poetą. Zaczyna się portretowanie „zobiektywizowanego" bohatera „Dzienników", patrzenie na niego, na szerokim tle zdarzeń ogólnych, jak na przedmiot godny artystycznej obróbki.

Portret to zróżnicowany, w głębokiej perspektywie tła—krajobrazu społecznego epoki, malowany barwami jaskrawymi, z celowym rozplanowaniem akcentów świateł i cieni, w układzie kompozycyjnym, odbijającym wszystkość postaci, jak w procesie malowania autoportretu przez przyglądanie się w lustrze lub w kilku a nawet w kilkunastu lustrach jednocześnie, na przestrzeni 10 lat obserwacji (1882—1892).

Skonstruowany w ten sposób autoportret ma charakter panoramiczny, wieloobrazowy, ukazujący dynamiczny proces „rośnięcia" bohatera w ścisłym związku z przeobrażeniami zachodzącymi w świecie go otaczającym oraz ze zmianami, które bohater pragnie w ten świat wprowadzić. Ów panoramiczny obraz portretowy staje się stopniowo powieścią o narodzinach i dojrzewaniu artysty-pisarza, który musi i chce tworzyć w celu wyrażenia siebie, a przez to samo — w celu uszlachetnienia życia indywidualnego i społecznego.

Pierwiastek woluntarny coraz wyraziściej, gdy czytamy kolejne zeszyty dzienników, kształtuje postać bohatera, a rękopisy, mające wejść w skład tomu III, obfitują w najbardziej różnorodny system luster, w których bohater ukazuje swoją twarz osobisto-nieosobową, społeczno-moralną. Odbywa się ten proces na drodze dialektycznych spięć między współczesną rzeczywistością a pragnieniem sławy pisarskiej i namiętną żądzą walki z krzywdą materialną i moralną, o godność narodową i człowieka pracy.

Bohater „Dzienników", pierwszej powieści Żeromskiego i pierwszego jednocześnie pasjonującego romansu przyszłego twórcy „Przedwiośnia", po dziecinno-młodzieńczych wzlotach, ukazywanych w t. I, po dramatycznym napięciu nieskoordynowanych myśli i uczuć w t. II, gdy zacznie się przyglądać życiu pałaców, dworów, dworków i wsi Mazowsza, ziemi kieleckiej, Podlasia i Lubelszczyzny oraz podczas krótkotrwałych pobytów w Warszawie i Krakowie, po przysiędze, złożonej u stóp pomnika Jana III w Łazienkach, na bojową wierność sprawie narodowej, po stwierdzeniu, że „inne wichry idą" (4.III.88, Warszawa), po sformułowaniu swego zadania życiowego w zdaniu „nas czekają tłumy naszych chłopów, zastępy naszych robotników" (23.III.88, Warszawa), głosem nabrzmiałym od bólu krzyknie: „Miłuję Cię, wielki ludu prostaczy..." (29.IV.89, Oleśnica), by odtąd stać się sumieniem narodu i doboszem jego spraw.

Między pojęciem ludu i narodu stawia znak równania, staje się świadomym reprezentantem **nowej** postępowej inteligencji, która zrywa ze szlacheckością pochodzenia klasowego i w ekspiacji chce pełnić swój obowiązek wobec ludu. Nie nowe te fakty, ale **źródło** ich nowe i wszechstronne, a co ważniejsze, bohater pierwszej powieści — dzienników to nie tylko sam Żeromski, to całe młode pokolenie pisarzy i młode pokolenie działaczy społecznych, które tak zaważyło w latach 1900—1918 i dalej na losach polskich.

Musimy pamiętać, że bohater III tomu „Dzienników" był już autorem około setki prób pisarskich wierszem i prozą, liryków, opowiadań, dramatów i rozpraw krytycznych, prób, które nie były drukowane. Przypomnieć również trzeba, że bohater ten w t. II operuje szeroką skalą opisów artystycznych, portretuje osoby rzeczywiste techniką światłocienia z domieszką pasji ironicznej, gospodarzy dialogami o różnorodnych funkcjach, buduje koncepcje ideologiczne, jako wkładki do toku opowiadania, w zapiskach dziennika. Właśnie to przesiąkanie zwykłości w dziejach bohatera niezwykłością jego poetyckości i talentu pisarskiego nadaje specjalny urok powieści, przez co przypomina ona powieść romantyczną, z tym jednak, że niezwykłość jest tu bardziej zharmonizowana, nie dominuje nad zwykłością i codziennością.

Rękopisy tomu III, dzięki metodzie owych zwielokrotnionych luster, za pomocą których Żeromski kształtuje postać swego bohatera, jeszcze głębiej świadczą o wznoszeniu się na wyższy poziom panowania

harmonii między zwykłością a niezwykłością bohatera.

Na lata 88—92 przypada autorstwo kilkunastu utworów pisarza-bohatera, o których powstaniu i druku notuje on swoje uwagi i doznania. Rękopisy tego tomu powieści-dziennika są więc już płodem autora nie tylko prób, trzymanych w szufladzie lub niszczonych, ale utworów publikowanych. Bohater ogląda siebie również w lustrach własnych utworów, wydanych na świat i przyjmowanych przez czytelników. Coraz częściej, pisząc swój dziennik, jakby zapomina o tym, co jest zapisem dziennika, a co materiałem lub fragmentem gotowym do druku. Nie jest to jednak zapomnienie, ale celowy zabieg w kształtowaniu prawdy o bohaterze zobiektywizowanego „ja".

Dowodem tego fragmenty dziennika, które prawie żywcem pójdą niebawem do redakcji „Głosu", np. fragment z 6.VI.89, drukowany w „Głosie" w grudniu tegoż roku pod tytułem „Z dziennika, Psie prawo", fragment „Niedobitka" z 22.II.90, drukowany w „Nowej Reformie" w lipcu tegoż roku, także fragment — materiał do późniejszej noweli „Oko za oko" (28.IV.90, Łysów), drukowany dopiero w r. 1893.

Bohater III tomu jest już autorem „Zapomnienia", „Zmierzchu" i „Siłaczki" oraz „Mogiły". „Mękale", pomyślane jeszcze w r. 89, ukazują się w „Głosie" w r. 91, cykl „Odruchy" („Cokolwiek się zdarzy niech uderza we mnie, Złe spojrzenie, Po Sedanie") publikuje również w tym roku w „Głosie". Notuje on i interpretuje genezę tych utworów, nadzieje, ambicje i rozczarowania wydawnicze.

Notatki te zrastają się ściśle z erupcjami przeżyć osobistych, szczególnie przeżyć miłosnych, najpierw jeszcze do Heleny Radziszewskiej, potem do Anieli Rzążewskiej (Łysów na Podlasiu), wreszcie w dziennikach od 9 września 1891 — z wyrazem najgłębszych uczuć — do przyszłej żony Oktawii (tomik ostatni, nałęczowski).

Trzecią i najobszerniejszą sferą zainteresowań bohatera ostatniego tomu są niezliczone obserwacje środowisk przyrody i ludzi, wśród których przebywał. Są to właśnie te lustra świata zewnętrznego, które pod różnymi strukturami słownymi ukazują modelowanie osobowości narratora. W kontekście dwu poprzednich sposobów wypowiedzi obraz bohatera obrasta w prawdę konkretną i niepowtarzalną. Fikcja artystyczna w sensie koncepcjonalnym tu nie istnieje, natomiast w sensie liryzowania świata zewnętrznego rozpościera się szeroko i osiąga artystyczną prawdę o bohaterze, która czyni z „Dzienników" tak pasjonującą lekturę mimo braku akcji i perypetii sensacyjnych.

Sensacja tej powieści tkwi w samej psychice bohatera, w introspekcyjnym narastaniu coraz to nowych złóż bogatej osobowości a quasi-akcja obraca się w sferze niewymierności psychicznej nieustającego dramatu myśli, uczuć i pragnień, czym nasuwa mimo woli porównanie ze sposobem tworzenia u Prousta w jego powieści „W poszukiwaniu utraconego czasu".

Motyw samotnictwa, bezdomności w znaczeniu dosłownym i przenośnym, pogłębia prawdę rzeczywistą i prawdę artystyczną powieści o sobie samym, która wbrew zamierzeniom autora, dzięki obecnemu wydaniu „Dzienników", stała się powieścią o sobie samym do potomności. Motyw ten, stwarzający specyficzną aurę uczuciową powieści, jest objawem cechującym młode pokolenie pisarzy i działaczy inteligenckich, nie związanych organizacyjnie z ruchem proletariackim, lecz torujących drogę dla jego przyszłego zwycięstwa.

Motyw samotnictwa i bezdomności uzupełniają listy Żeromskiego z tych lat: „Jestem typem chorobliwości, newralgii, anomalii, fałszywym tonem w tym społeczeństwie!!" (do Heleny Radziszewskiej, Warszawa, 11.XII.86); „Przez wielkie nieszczęścia idzie się do wielkich oczyszczeń" (tamże); „nie mieć rodzinnego domu — najgorsza w życiu męka" (do Wal. Karwasińskiego, 10.8.89).

W aurze motywu samotnictwa i bezdomności rozwielmożnia się również nieustanna groźba śmierci wskutek choroby nerwów i — gruźlicy: „Patrzę na ten słoneczny krajobraz (w Nałęczowie), na otchłań drzew, na lasek..... i nie znajduję jak dawniej uspokojenia, lecz coraz gorzej drę pazurami nerwy, jak rozluźnione struny starej gitary" (do Anieli Rzążewskiej, Nałęczów, 14.9.90). „Śliczny jest Nałęczów — ale dla zdrowych. Tacy chorzy, jak ja, na wszystko patrzą zdziczałymi oczami" (tamże).

Bohater dzienników-powieści posiada zatem drugą cechę indywidualną, prócz talentu artysty, a jest nią słaby organizm, zagrożony stale chorobą. Zapiski w rękopisach tomu III szczególnie jaskrawo obrazują te dwa połączone aspekty — samotnictwa i choroby bohatera, artysty, który chce w czynie społecznym realizować swoją ideę walki z krzywdą i wyzyskiem ludu.

Uzupełniają je wypowiedzi w listach z tych lat: „Oto noszę się z myślą ufundowania w Oleśnicy czytelni ludowej..." (Do W. Karwasińskiego, Oleśnica, 17.II.89)... „jadę do Krakowa na operację „kikuta" (gruźlica kości w ręku) (do tegoż, maj 89). Dołącza się do tego wyznanie o sposobie tworzenia, uzasadniające naszą tezę, że Żeromski nie pisał żywiołowo i spontanicznie: „Mam zwyczaj wtedy dopiero pisać, gdy wyrobię dany temat uprzednio na czysty i zupełnie zakończony..." (Do W. Karwasińskiego, Oleśnica, 10.8.89).

Motta, umieszczone stałym zwyczajem na czele każdego zeszytu „Dzienników", świadczą o zasadniczej postawie światopoglądowej bohatera powieści, autora i narratora w jednej osobie, o aurze nastrojowo-uczuciowej jego doznań i przeżyć. Zeszyty, które mają wejść do t. III, stoją pod znakiem Schopenhauera, Taine'a, Leopardiego, Turgieniewa oraz cytatów z „Nędzy filozofii' Marksa.

„Urodziłem się po to, aby cierpieć, walczyć i w cierpieniu umrzeć". (Zeszyt XVIII, 88 r.). — H. Taine: „Schopenhauer — najgłębiej myślący filozof naszego wieku" (z. XVII, 12.VI.88); cytat z Genesis, I: „Ciemność nad obliczem przepaści" (z. XIX, 88 r.); „Niezbędnym jest dla artysty nieustanne przestawanie ze sferą, którą odtworzyć pragnie, konieczna jest prawdziwość nieubłagana względem własnych wrażeń i odczuć, konieczna jest swoboda, swoboda zupełna po-

glądów i pojęć, a wreszcie koniecznością jest wykształcenie, potrzebna jest wiedza" (z. XX. — motto z Turgeniewa „Człowiek w szarych okularach").

Przez motta z myślicieli i pisarzy otoczył autor siebie, bohatera powieści, atmosferą filozoficzną, zupełnie różną od atmosfery filozoficznej I i II tomu, której przedstawicielami byli: „Epikur, Holbach, Volney et consortes" (zapis z zeszytu XVIII, 17.7.88, Kurozwęki).

Traktujemy rękopisy III tomu jako jedną całość zwartą wszystkich „Dzienników", mimo iż tkwi w nich luka czasowa od 1.VI.90 do 9.IX.91. W sumie te trzy tomy dają trzy części powieści, związanej jednością biograficzną bohatera.

Część kielecka kończy się pointą pobytu u ukochanej Heleny w Białej Podlaskiej, gdzie przed wyjazdem na studia do Warszawy notuje: „Chcę być obiektywnym beletrystą, a nie potrafię napisać dwu słów, by nie wtrącać swojego: „cierpię", i dalej: „Byłem na Bialskim zamku... oglądałem kościół bazyliański zamieniony na cerkiew i przysłuchuję się czasem mowie ludu. Jest prześliczna! Tak czystej gwary nie ma na całym naszym obszarze. A ileż jednak łez nabiega do oczu patrząc i słuchając... Dziś do ostatniej kropli krwi się bronią, a za lat dziesięć — Moskale" (zesz. 5/IX., 13.VIII.86 r., prześladowanie unitów).

Część powieści — warszawska — kończy się znowu akcentem rocznicy śmierci Mickiewicza i rocznicy powstania listopadowego w tajnym gronie przyjaciół — studentów z organizacji ideowo-politycznych, a ostatnie zdanie jest zwrotem do Mickiewicza z wiersza „Do matki Polki": „Błogosławione ...ciche nocne rodaków rozmowy" (Zesz. 10. XV, 1.XII.87).

Część trzecia powieści kończy się namiętnym, pełnym bolesnej miłości wylewem uczuć — wspomnień do dawno zmarłej matki i — do krainy lat dziecinnych, Gór Świętokrzyskich. Ostatnie słowa powieści, pisane w Nałęczowie 11.X.91. r. z okazji zacytowanego De Vigny'ego „Chattertona", stały się klamrą kompozycyjną, łączącą dwa skrzydła lat dziesięciu w jedność nierozerwalną.

W t. I zaczął opowieść od matki i miejsc rodzinnych, w t. III zamyka ten cykl życia tym samym akcentem: „W notatniku mojej matki był ten sam ustęp (z De Vigny'ego) i zachwycał moją wyobraźnię dziecinną, jako coś tajemniczego. Przez ileż lat pamiętałem te słowa aż dotąd. Ileż to razy deklamowałem go sobie (Chattertona), upajając się samym szelestem bujnych wyrazów. Dziś marny dramat romantyczny nudzi mnie, a tylko te słowa jak robaczek świętojański świecą. Moje góry, mój staw — (w Strawczynie), moja matka — i przeczucie, przedpojenie sztuki.."

Trudno byłoby, zaiste, lepiej skomponować trzytomową powieść, gdyby się ją układało wyłącznie z wyobraźni, a nie w postaci dziennika prawdy rzeczywistej. Prawda jest tu poezją, a poezja — prawdą. Goethowska Dichtung obejmuje się tu z Warheit w dzieło sztuki, z którego wartości nie zdawał sobie sprawy sam Żeromski, nawet w latach późniejszych, gdy stał u szczytu sławy.

Wzrastająca poetyckość bohatera, manifestująca się coraz częściej tworzeniem w powieści obrazów przyrody i obrazów stosunków ludzkich na wsi, rzadziej w mieście, nie zatraca wizerunku jego rozwoju intelektualnego dzięki zastosowaniu przez autora metody samorzutnych kontrastów w spisywaniu poszczególnych zdarzeń i przeżyć bohatera.

Fragmenty przeżyć intymnych (b. liczne) przeplatają się stale z fragmentami refleksyjno-filozoficznymi i refleksjami na tematy społeczne i narodowe, z partiami psychologiczno-analitycznymi, a także z dłuższymi fragmentami, które są twórczością bohatera-poety, wyrażającego swój świat poetycki prozą o specyficznej rytmice, tak dobrze znanej z późniejszej twórczości autora „Dumy o Hetmanie". (Patrz „Rytmika prozy Żeromskiego" W. Borowego, Prace ofiarowane K. Wóycickiemu, Wilno, 1937).

Jest to kompozycja realizmu psychologicznego, luźna, dostosowana do toku zmiennych przeżyć bohatera znajdującego się w coraz to innych warunkach otoczenia (Warszawa, Kielce, Kurozwęki, Czernice, Chmielnik, Oleśnica, Kraków, Stopnica, Łysów Podlaski, Siedlce, Łuków, Lublin i Nałęczów).

Ta metoda pisarska, mimo iż powieść ukazuje bohatera, usposobionego zasadniczo lirycznie, nosi charakter gatunkowo epicki, który operuje czasem opowiadania zgodnie z czasem rzeczywistych, kolejnych zdarzeń pozaartystycznych. Dlatego właśnie bohater powieści występuje tak żywo i naturalnie w toku narracji i dlatego w t. III coraz bardziej bohater się indywidualizuje, jako świadomy swego kunsztu twórca.

Leitmotywem w kształtowaniu coraz bardziej indywidualizującego się portretu bohatera powieści są ogniskowe problemy społeczno-narodowe, którym podporządkowują się stopniowo inne motywy osobiste, zawsze jednak w dramatycznej walce (właściwość typowa w całej późniejszej twórczości Żeromskiego).

Oto przykłady.

„Jedyną ideą, jaka pozostała — jest ojczyzna. Z nas, ze szlachty — żaden pożytek przyszłości. Musimy wygnić do szczętu. Najlepsi to Hamlety. Nowi ludzie wyjdą z podziemi, z ludowych mas. Niedawno jeszcze lekceważyłem sobie socjalizm — a dziś dziś patrząc weń głębiej i uważniej patrząc w życie — słyszę odgłos stąpań synów ciemności. Ich krok rozlegnie się w przyszłości, a duch ich wciska się w nas, niby klin rozdzierający tkanki naszego życia... Panem przyszłości jest Marx — nie Spencer. Czy ty ostoisz się brutalnej siekierze, ojczyzno święta?" (Z. XVII. 29.II.88, W-wa).

„W co ja wierzę? W nic nie wierzę, bo ani w Boga, ani w diabła, ani w ideały pozytywistyczne, ani nawet w samą niewiarę... Jestem poganin. Wierzę w ducha przyrody. Tym duchem jest wieczna piękność i wieczne życie" (zesz. XVII 17.III.88, W-wa).

„Nas czekają tłumy naszych chłopów, zastępy naszych robotników, szeregi naszych dzieci, zgłupiałych w moskiewskiej szkole..." (Zesz. XVII, 23.III.88).

„Marzymy, marzymy, bez miary. Stąd płynie brak męstwa. O, któż pojmie straszliwą trwogę streszcza-

jącą się w konieczności oblekania w formę marzeń..." (Zesz. XVII, 24.III.88).

„Walczyłem w Warszawie za jedność, za zgodę chłopa i pana. Teraz gorzko się z siebie śmieję..." (Z. XVII, 2.IV.88, Górno).

„Newralgia duszy... wszystko, co czuję, czuję nerwami, drobniutka krosta puchnie do ogromu wrzodu..." (Zesz. XVII, 9.V.88, Górno).

„Głód — to szatan ludzkości. Praca! Tak, praca! Czemuż ta praca nie otrzymuje zapłaty? Dlaczego mój dłużnik je obiad, a ja ogryzam na obiad paznokcie? Dlaczego ja spędzam noce bezsenne na pisaniu, a cały ten świat przewala się z hukiem w błyszczącej karecie, bawi się w salonie lub pije z omszonej butelki? Tak, to już nie myślicielstwo gada przeze mnie, ale szary tłum głodnych, zmiażdżonych, odepchniętych od stołu. Więc komunizm?" (Zesz. XVII, 27.V.88, W-wa).

„Oto co rozumiem o naszej sztuce: realizm, prawda, zestawienia bez tendencyjnych charakterów, jak w statystyce zestawia się rażące fakty". (Zesz. XVIII, 8.VIII.88, Kurozwęki).

„Mam duszę pełną zdrowej, czystej, ożywczej, jak żywica dla płuc suchotnika, dobrej poezji". (Zesz. XVIII, 27.IX.88, Kurozwęki).

„Zwolna, milczkiem, zstępuję do zasad, z jakimi się biłem... Zdawało mi się, różność interesów — to frazes pusty, a teraz już nie powiem nigdy, że „wspólność" — to idea, warta życia i śmierci, bo to frazes. Z chłopów może być wszystko, ze szlachty nic a nic... Teraz albo się stać socjalistą, albo się rozpić..." (Zesz. XIX, 26.II.89, Oleśnica).

„Aby oczy ujrzały na tej ziemi dobro i rozwiązanie rąk do czynów dobrych, których pragnie dusza, — trzeba zmienić stosunki ekonomiczne, trzeba reformy społecznej..." Zesz. XIX, 30.III.89, Oleśnica).

„Obrzydła mi już zgniła filozofia klas wyższych... Zwracam się tam, gdzie jest niezgłębiona rozmaitość, wiecznie zmieniająca formy życia, niezbadany, jak przyroda świat — do ludu. I jako człowiek i jako artysta znajduję tu wszystko, czego szukam: fakty chwytające za serce, piękno i ciekawości zaspokojenie. Miłuję cię, wielki ludu prostaczy, schylam ci się do stóp z błaganiem, byś zrozumiał takich jak ja i byś kiedyś, gdy nas nie stanie, dobrze nas wspominał". (Zesz. XIX, 29.V.89, Oleśnica).

„Nikogo nie kocham, ciebie jedną kocham, cudowna rodzima ziemio. Bądź błogosławiona, stworzona dla nas, abyś wspierała dusz naszych słabość, abyś powiększała uczuć małość, piękna, dobra, umiłowana karmicielko ziemio... Daleko, daleko pieją koguty..." (Zesz. XIX, 14.V.89, Oleśnica).

„Czy zapracuję sobie na maleńki, czterowierszowy kącik w literaturze?" (Zesz. XX, 18.VIII,89, Oleśnica).

„Napisać muszę książkę, gdzie wypowiem, że historia swego czasu była przedmiotem mego badania i bólu mego serca" (Zesz, XX, 26.XI.89, W-wa).

„Zwolna i nieznacznie otaczać mnie zaczynają fale mistycyzmu dziwnego w swej treści. Wierzyć zaczynam w wielką, biblijną moc ofiary jednostkowej na odkupienie gromadnej całości. Wierzyć zaczynam w Chrystusostwo życia, w naśladowanie Husa, w naśladowanie wygnańców naszych.. Dziwne się w tych czasach dzieją rzeczy z pozytywistami naszymi..." (Zesz. XX, 12.II.90, Łysów).

„Twierdzi mi ciągle (Pani Oktawia Rodkiewiczowa), iż nie można nigdy wierzyć nam, że kłamiemy zawsze, my szczególniej, rozmaici artyści.." (Zesz. XXI, 27.IX.91, Nałęczów).

„Pisałem „Siłaczkę" w bólu, trwodze, ucisku..." (Zesz. XXI, 1.X.91, Nałęczów).

„Za jedną szlachetną rozmowę z panią Oktawią oddałbym miesiące rozkoszy z Wami (kobietami dawnych miłostek), wszystkie te triumfy roznamiętnionego barana, całe ryzy waszych listów i wszystkie razem wasze dusze mieszczańskie i głupie rozumy" (Zesz XXI, 1.X.91, Nałęczów).

„Jest coś strasznie urzekającego w tym miejscu (pobojowisko w Maciejowicach), w tym opuszczeniu, w tych chwastach porastających kopiec i ścieżkę! Oto wszystko, co nam zostało z ojczyzny..." (Zesz. XXI, 5.X.91, Nałęczów).

Przytoczone cytaty z rękopisów świadczą o dramatycznym zmaganiu się autora-bohatera powieści z sobą samym, odziedziczonymi klasowo nawykami i przesądami, wykazują wyboistą drogę dążeń ku zmianie stosunków narodowych i społecznych, obrazują kształtowanie własnego oblicza artystycznego, tchną żarliwą, namiętną miłością do życia, natury, szlachetnego człowieka i wolności, a nienawiścią do krzywdzicieli, do wszelkiej przemocy. Mimo to, motyw melancholijnego smutku króluje na kartach powieści jako nastrój dominujący, który przesyca szczególnie mocno podłoże opisowe przyrody i fragmenty wspomnieniowe walk powstańczych oraz wczesnego dzieciństwa na wsi świętokrzyskiej.

Smutno-malancholijna nastrojowość, rozlana na kartkach rękopisów III tomu, wyprzedza o lat kilka młodopolski nurt nastrojowości zapoczątkowany przez poezję Tetmajera. I pod tym względem portret bohatera „Dzienników", będąc w najwyższym stopniu indywidualnym, jest jednocześnie typowym dla tych czasów.

Portret własny młodego Żeromskiego w powieści o sobie samym do potomności wprowadził do dziejów powieści polskiej nowy jej gatunek w końcu XIX wieku w postaci nowoczesnej powieści psychologicznej, utkanej na starym krośnie kompozycyjnym dziennika ze zdarzeń rosnącego stopniowo ku sławie wielkiego pisarza.

Feliks Araszkiewicz

4—6.VI.56.

Zbigniew Stepek

REWOLUCJA NIESIE ZAGŁADĘ INTELIGENCJI?...

„Socjalizmowi można służyć tylko prawdą. Wszelka próba ukrycia przed masami prawdy nieuchronnie mści się w postaci poderwania ich poczucia współodpowiedzialności, osłabienia zapału. Tego rodzaju postępowanie jest w istocie zaprzeczeniem podstawowej zasady o masach jako twórcach historii, jest próbą wynoszenia się ponad nie, jest z tego zasadniczego punktu widzenia głęboko niemoralne, a więc i szkodliwe w praktyce".

(Gustaw Auscaler „Myśli na codzień", „Prawo i Życie" z dnia 6 maja br. nr 1).

— Pochodzenie?

— Robotnicze.

Jak sztandar nosiło się to robotnicze pochodzenie. Jak krzyż zasługi. Jak krzyż? Nie zawsze...

Aby się dostać na uniwersytet — tak.

Aby otrzymać stypendium — tak.

Aby łatwiej złożyć egzamin — tak.

Poza tym ci studenci pochodzenia robotniczego nie wyróżniali się niczym nadzwyczajnym, niczym specjalnie charakterystycznym. Chodzili na zabawy. Tańczyli. Opowiadali kawały. Flirtowali z ex-dziedziczkami, córkami panów doktorów czy adwokatów. Chodzili „na dziewczynki"...

* * *

— Pochodzenie?

— Chłopskie...

Z lekkim zażenowaniem ujawniano swe pochodzenie w prostej linii od Piasta. Niby dobre, ale... gorsze od robotniczego.

By uczynić je bardziej wartościowym, dodawano podpórkę wzmacniającą:

— Małorolny...

Bardzo skomplikowane sprawy.

Chód ciężki, niezgrabny, nieśmiałe i niepotrzebne ruchy rąk, często brak odpowiednich słów na wyrażenie myśli, nieumiejętność posługiwania się nożem w stołówce, chlipanie bokiem łyżki...

Od czasu do czasu odwiedziny ojca lub matki z zawiniątkiem w ręku.

Tego trzeba się wstydzić. Lepiej jeść postny chleb, lepiej — nic nie jeść, niż iść przez ulicę z wiejską kobietą.

Cóż, że jej matczyne serce rozpiera duma, bo syn „uczy się na dochtora..."

* * *

Sprawy studiującej młodzieży wiejskiej są o wiele bardziej skomplikowane, niż robotniczej. Jakieś wielotorowe.

Na przykład:

Typ a). Łatwość przyswajania sobie wszelkich akcesoriów życia miejskiego. Gładkość. Umiejętność obcowania z ludźmi.

Typ b). Systematyczna, twarda nauka. Nieokrzesanie towarzyskie i sukcesy naukowe. Asystentura. A na stancji — jak przed kilku laty — grubachno krajane pajdy chleba.

Typ c). Nie, to za trudne. Zachęca pług, ale i zachęca życie w mieście. Właściwie lepiej było nie zaczynać... (Rodzice — po co smarowaliście masłem i kurami maturę swego dziecka?).

* * *

Kim są ci ludzie?

Studenci. Przyszła inteligencja. Przyszła? Właściwie można bardziej jasno, bardziej po prostu: inteligencja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w której ster rządów dzierży dyktatura proletariatu.

Właśnie — co to zacz, ten proletariat?

To klasa, która — zaryzykowałbym twierdzenie — w jakiś sposób deklasuje się... na korzyść inteligencji.

Robotnik zostaje dyrektorem fabryki. Chłop z głową. Poza tym — dokształca się. Utrzymuje to poważne stanowisko przez dziesięć lat. Należy sądzić, że utrzyma je przez dalsze dziesięć.

Podałem więc przypadek, z którego należy brać przykład: awansu społecznego, który pociąga za sobą zrozumienie konieczności awansu intelektualnego. Tak powinien wyglądać „typowy" proces narodzin „nowej" inteligencji.

Robotnik rządzi państwem. No tak. Dzięki demokratyzacji form ustrojowych, życia w ogóle. Ale tam, u góry, „u steru" — to już inteligencja.

Głowa pęka...

Czyżby labirynt dni współczesnych?

* * *

Kto jest sprawcą Rewolucji Październikowej, inteligent Lenin czy masy robotnicze?

Masy robotnicze przy współudziale chłopstwa. Znamy to na pamięć.

Powyższe stwierdzenie nie neguje jednak roli postępowej inteligencji ani roli jednostki w historii.

Pytanie następne: Dla kogo dokonano rewolucji — dla inteligencji, dla robotników czy chłopów?

Odpowiedź, według mnie jedynie słuszna, winna brzmieć: d l a w s z y s t k i c h.

Rewolucja wprawdzie była w jakimś stopniu faktem skierowanym przeciwko inteligencji. Przeciw inteligencji jako warstwie społecznej związanej interesami z klasą panującą, z klasą wyzyskującą, inteligencji, która obiektywnie pełniła rolę służalczą w stosunku do kapitalistów i obszarników.

Jednakże — jak wielu inteligentów brało w Rewolucji udział. Bo „inteligencja" znaczyło u nich — ludzie rozumni, oświeceni, d a l e k o w z r o c z n i.

* * *

Przed dokładniejszym wniknięciem w pewne problemy tematycznie związane z niniejszymi rozważania-

mi, chciałbym w jakiś sposób wyjaśnić sprawę określenia często bardzo wygodnego: postępowy.

Postępowa inteligencja...

A jakże, słuszne wprowadzenie rozróżnień. Robotnicy mogą być też niepostępowi.

Chciałbym szukać dróg wyjścia, właściwych i słusznych dróg wyjścia z tych nieporozumień na temat inteligencji współczesnej.

Sam — na pewno nie potrafię tego dokonać. Sądzę jednak, że znajdą się chętni i rozsądni, którzy mi pomogą.

Nieporozumienie pierwsze, które czasem nawet urasta do zasadniczego, jest natury terminologicznej.

Jedni mówią „inteligencja" i myślą o jakiejś klasie społecznej antagonistycznej w stosunku do klasy robotniczej i chłopstwa. Jest to oczywiście rozumowanie symplicystyczne, operujące niewłaściwie terminem „klasa społeczna".

Inni mówią „inteligencja" i myślą o warstwie społecznej obejmującej przedstawicieli różnych klas. Ba, nawet decydują się na określenie: przodująca warstwa...

Jeszcze inni, asekuranci przeważnie i oportuniści, twierdzą: „Nie uznajemy podziału na klasy czy warstwy. Inteligentny może być każdy. Nawet chłop".

Jak uporządkować te wszystkie nici i rozsądnie zwinąć na kłębek?

Zacznę chyba od historii...

* * *

Inteligencja w Polsce przedwrześniowej (pomijam sprawy genealogiczne) służyła, rzecz jasna, w dużym stopniu klasom posiadającym, panującym.

Inteligencja jako warstwa była nastawiona do mas chłopskich i robotniczych albo w jakimś sensie antagonistycznie, albo obojętnie, albo — łączyła się z nimi w walce o słuszne idee społeczne.

Wydaje mi się, że istniała jeszcze możliwość innej postawy — nazwę ją charytatywną. Odłam inteligencji reprezentujący tę właśnie postawę najchętniej zaliczyłbym do grupy antagonistycznej — i chyba słusznie. U nich gest miał bronić, miał usprawiedliwiać i umacniać własne, wygodne pozycje.

Przerzedzone mocno podczas okupacji hitlerowskiej szeregi inteligencji polskiej po wyzwoleniu — albo wbrew woli, albo z pełnym entuzjazmem i zrozumieniem chwili wciągnięte zostały do budowania nowego ustroju.

Jednak władza ludowa wówczas miała jeszcze pełne prawa do nieufności wobec inteligencji — jako jednostki i jako warstwy.

Nie jest moim założeniem zatrzymywanie się nad splotem zagadnień trudnej drogi ideowej, walk, dramatów, tragedii nawet — w przyjmowaniu przez inteligencję „starą", „przedwojenną" nowej rzeczywistości. To wszystko niewątpliwie istniało, czasem było zaostrzane niewłaściwym podejściem władz — tych z Kozich Wólek i tych z Warszawy.

Ale dzisiaj — władza ludowa już może i powinna obiektywnie ocenić wkład inteligencji (i jednostek i warstwy) we wszystkich dziedzinach życia nowej Polski, którą budujemy wspólnie.

W artykule niniejszym chcę postawić sprawę otwarcie: w Polsce Ludowej istnieje pewna dyskryminacja inteligencji.

Nie dyskryminuje się inteligencji jako jednostki, docenia się rolę inteligencji technicznej, nauczycielstwa, naukowców itp.

Dyskryminacja dotyczy chyba przede wszystkim specjalnego stylu bycia — obyczajowego, kulturalnego. Wydaje się, że ten styl uważa się, lub do niedawna uważało się za „nadbudowę" stosunków społecznych, jakie należą do przeszłości. Ale przecież nawet „stara" inteligencja nie stanowi monolitu, nie wszyscy jej przedstawiciele snobują się na styl życia warstw niegdyś uprzywilejowanych. Dlatego dyskryminacja nie może swym zasięgiem objąć pełnej treści słowa „inteligencja".

Niestety — zdołały się już wytworzyć pewne urazy, pewne kompleksy, oddalające niektóre wartościowe jednostki od pozycji socjalizmu. (Chociażby sprawy ankiet personalnych, przyjmowania na wyższe uczelnie itp.).

* * *

Dla kontynuowania rozważań pozwolę sobie zacytować fragment artykułu Stefana Króla z nr. 4—5 „Nowego Nurtu": „... jeszcze ostatnio usłyszano groźne pomruki pod adresem inteligencji ze strony ludzi przywykłych do systemu błędnych pojęć i ocen naszej ludowej inteligencji, jej roli i zadań w Polsce budującej socjalizm. Konkretnie sprawa sprowadza się do tego, że na jednym z zebrań w Łodzi próbowano wbić klin pomiędzy naszą inteligencję i klasę robotniczą. Zarówno prasa jak i szeroka opinia partyjna potrafiła dać odpór temu wystąpieniu. Istotne jest jednak, skąd biorą się, z jakiego systemu pojęć wyrastają zdania takie, jak niefortunnego prelegenta łódzkiego? Zapewne z niezdawania sobie sprawy, że w jedenaście lat po wyzwoleniu nasza inteligencja stara i nowa jest w swej masie jak najściślej związana z klasą robotniczą".

Cytowany fargment artykułu sygnalizuje dwa ważne problemy: jakieś niesłuszne stanowisko zajmowane w stosunku do inteligencji i sprawę jej powiązań z klasą robotniczą.

* * *

Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że w ciągu dwunastu lat „naprodukowało się" wiele tysięcy „nowej" inteligencji, której cechę zasadniczą widzimy w rekrutowania się z klasy robotniczej i chłopstwa. Przed wojną 1939 roku proces ten obejmował tylko nielicznych robotników i chłopów.

Sygnalizuję niepokojące zjawisko: nowa inteligencja często traci kontakt ze środowiskiem, z którego pochodzi. Oby niesłuszne czasem traktowanie inteligencji nie pogłębiło pewnych nieporozumień. Oby ta nowa, socjalistyczna inteligencja nie odeszła z postępowych pozycji i nie dała się — pod wpływem wyższego zazwyczaj poziomu intelektualnego inteligencji „przed-

wojennej" — pociągnąć jej urokowi, który czasem prowadzi na ślepy tor apolityczności.

Trzeba zwrócić uwagę na różne aspekty „awansu" społecznego, na odchodzenie nowej inteligencji od swojej klasy. Grozi to szczególnie tym młodym ludziom, którzy udają się do mniejszych ośrodków i jakże często ulegają atmosferze zgorzknienia, apatii, drobnomieszczaństwa, rezygnując zupełnie ze swych pasji światopoglądowych, społecznych, ze swej misji kulturalnej.

* * *

Podobno w Związku Radzieckim od działaczy państwowych i społecznych zajmujących wyższe stanowiska, wymaga się uzyskania (o ile nie posiadają) dyplomu uniwersyteckiego. Chociażby na studiach zaocznych.

Podobno... uwaga — podobno w Polsce myśli się o wprowadzeniu obowiązkowego średniego wykształcenia.

A mętna, niesprecyzowana funkcja i niejasne miejsce inteligencji dzisiaj — nie pozwalają optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Czy więc po wprowadzeniu obowiązkowego uczęszczania do szkoły średniej inteligentem będzie ten, kto ukończy uniwersytet? A lekarz-dentysta, technik, to praca umysłowa czy fizyczna...

Trzeba wreszcie zrozumieć, że w nowym ustroju, przy nowych założeniach społecznych, kiedy mamy już nową inteligencję, nie wolno posługiwać się starymi teoryjkami o tej warstwie. Musimy brać pod uwagę, że styl życia pewnych „gett" inteligenckich zanika, natomiast coraz częściej dochodzi do głosu inteligencja wychowana w nowych warunkach.

Nową teorię o inteligencji mogą tworzyć tylko ludzie — którzy nie mylą wykształcenia z deklasacją a inteligencji z reakcją.

* * *

Jaki więc wniosek z dotychczasowych chaotycznych rozważań?

W kraju zaprowadzającym u siebie ustrój socjalistyczny należy dbać o to, by wszelkie odpowiedzialne i kierownicze stanowiska obsadzone były ludźmi po pierwsze wykształconymi, po drugie inteligentnymi.

Wydaje mi się, że otwarcie należy walczyć z faulami, którzy chcieliby widzieć jeszcze punkt trzeci i to na pierwszym miejscu: pochodzenie społeczne.

* * *

Zastanawiałem się często nad przyczynami istnienia jakiejś bariery między inteligentem a tzw. człowiekiem prostym.

Nie chcę rozważać problemu antagonizmu klasowego, który w jakimś stopniu nawet dziś istnieje, problemów finansowych i innych. Zatrzymam się przy sprawach kultury.

Tak, często inteligent nie posiada inteligencji. (Coś, jak gdyby lis urodził się bez kity...)

Oskarżam naszą inteligencję o brak kultury, kultury na codzień, na każdym kroku, miejscu, w spotkaniu z każdym.

Oto przykłady:

Lekarz, który nie potrafi ludzkim językiem przemówić do chłopa (czy nieznajomego pacjenta z Ubezpieczalni).

Inżynier, który jest chamem w stosunku do robotnika.

Księgowy, który z wyraźną pogardą spogląda na murarza siorbiącego głośno piwo.

Och, tak, przydałaby się w Polsce obowiązkowa matura kulturalna... właśnie inteligencji.

Jest to problem, który boli i przeszkadza. Dopóki nie potrafimy go rozwiązać —

...chłop będzie wolał udać się do sąsiada-znachora.

...syn będzie się wstydził matki z kobiałką.

* * *

Jeżeli Rewolucja jest sprawą słuszną i dobrą, to na pewno dba o podniesienie nauki, sztuki, warunków bytowych itd. A więc — rola inteligencji jest nieodzowna. Inteligencji jako warstwy (cytuję za „Słownikiem wyrazów obcych" PIW) „ludzi wykształconych, pracowników umysłowych posiadających określone wiadomości i umiejętności w różnych dziedzinach życia i działalności społecznej (inżynierowie, lekarze, nauczyciele, pracownicy sztuki, urzędnicy państwowi itd.)".

Uwaga następująca po tym „Warstwa ta powstała skutkiem oddzielenia pracy umysłowej od fizycznej" — nie dziwi nas ani nie razi: mamy szacunek dla każdej pożytecznej pracy.

Ktoś rewolucję chciał pojmować tak: burzymy cały stary porządek i wszystko budujemy od nowa, po naszemu.

Ktoś wolał iść do pracy piechotą, bo tramwaj był pochodzenia kapitalistycznego...

Dzisiaj — ja to między bajki włożę.

* * *

Nie wolno by mi było napisać tego artykułu, gdybym nie wierzył, że rozwój nasz idzie w kierunku społeczeństwa bezklasowego.

Jednakże jeszcze obecnie dręczy pytanie: jakie miejsce w ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zajmuje inteligencja, która uczy czytać i pisać, która leczy, wykonuje plany fabryk, mostów, osiedli robotniczych i zabudowań chłopskich, która naszą współczesność piórem i pędzlem przekazuje przyszłości?

Czy w chwili obecnej inteligencji tej nie należy się jednakowe prawo i jednakowy zaszczyt budowania nowego ustroju — jak klasie robotniczej?

Czy inteligencja jest warstwą równouprawnioną z robotnikiem i chłopem? Czy jest przeżytkiem kapitalizmu? A jeżeli jest przeżytkiem, to dlaczego Partia, dlaczego Rząd nie hamuje przypływu do szeregów inteligencji dzieci chłopskich i robotniczych.... Dlaczego nie tylko nie likwiduje, ale nawet popiera ideę „awansu społecznego". Awansu? Czyżby więc inteligencja była jakąś wyższą, lepszą warstwą?

Jeżeli pozwolono „zdeklasować się" — i jeżeli „deklasację" synów robotników i chłopów uważa się za osiągnięcie rewolucji, za signum nowych czasów — to należy zrewidować całokształt poglądów dotyczących inteligencji.

Albo sprecyzujmy definicje i sądy, albo przestańmy pleść bzdury na temat inteligencji.

* * *

Zasadnicze cele humanistyczne Rewolucji — udostępnić dobra materialne i duchowe wszystkim według potrzeb. Nie wystarczy dobra te stworzyć, trzeba nauczyć umiejętnego korzystania z nich.

Jest chyba bezsporne, że poziom należy wyrównywać nie w dół — ale w górę. By dojść do tego, że „Przedwiośnie" jest dziełem bardziej wartościowym od „Trędowatej", że w łazience wanna służy do czegoś innego niż do hodowania kur. By dojść do tego maksymalnego poziomu, trzeba najpierw uczyć się wzajemnie, a potem z pełnym doświadczeniem budować szczęście osobiste i ogólnoludzkie.

Właśnie na inteligencję spada obowiązek podnoszenia poziomu życia we wszelkich jego przejawach. Na nową inteligencję.

Pamiętajmy, że jednym z celów Rewolucji jest zniesienie klas. Rewolucja „niesie zagładę" nie tylko inteligencji, ale i klasie robotniczej i chłopstwu. Bo Rewolucja dąży do zniesienia pytania, do uczynienia absurdem pytania: przynależność klasowa.

Mamy nadzieję i mamy ambicję stać się — dzięki Rewolucji — społeczeństwem składającym się z ludzi inteligentnych.

Zbigniew Stepek

Janusz Danielak

W SPRAWIE PESYMIZMU

Przed paroma miesiącami, w styczniu tego roku — teraz takie ścisłe określanie czasu jest niezbędne — rozmawialiśmy z S. o sztuce, o poezji i prozie naszych młodych pisarzy. Było wtedy modne załamywanie rąk nad naszą młodzieżą, oskarżanie o „nijakość", o brak pasji i o inne grzechy główne przeciw młodości.

Kiedy słuszność przychodzi niejako „z góry", mówił S., wtedy rodzą się komplikacje psychologiczne. Zasadniczą tendencją młodości jest potrzeba buntu, jakaś konieczność sprzeciwiania się. Sztukę zapładnia przede wszystkim protest. Teraz, kiedy nie ma przeciw czemu protestować, młoda sztuka umiera. Zakończył trochę niespodziewanie: „Idea, która staje się obowiązująca, staje się zarazem martwa".

Nie zgadzam się z tym. Nie podobało mi się słowo „obowiązująca". — Jeżeli myślisz o jakimś zobowiązaniu „administracyjnym", mówiłem, masz rację. Ale tylko „teoretycznie" — praktycznie bowiem lojalność przestaje być już naszym ideałem. Jeżeli jednak to „zobowiązanie" ma charakter moralny, jeżeli idea jest naprawdę przekonaniem, to wtedy w ogóle nie ma sensu mówienie, że przychodzi „z góry". Staje się wtedy sprawą prywatną, sprawą sumienia. I tu właśnie otwiera się przestrzeń dla walki, dla protestu także, dla buntu nawet. Żadna wielka idea nie staje się bezkarnie sprawą sumienia. Okazuje się wtedy zarzewiem wewnętrznych walk, konfliktów, podniętą do ciągłych konfrontacji, przymusem szukania. Rzeczywistość przestaje być idyllą, przestaje poruszać się posłusznie wzdłuż naszych marzeń: sumienie jest bardzo „realistyczne", trudno ulega złudzeniom. Pozwólmy mu tylko mówić pełnym głosem.

Teraz już wiem, że nie wszystko powiedziałem do końca, że ominąłem niektóre „komplikacje psychologiczne". A jednak, ogólnie, doświadczenia ostatnich miesięcy chyba jakoś przyznały mi rację. Sumienie nie umarło. „Nijakość" okazała się wmówieniem, brak pasji — pozorem. Prysnął także mit o „naszych pieszczochach".

Dziwne jednak: teraz z kolei odezwały się ostrzegawcze głosy — uwaga! pesymizm! tracicie perspektywy, oślepia was czarny kolor! gubicie ideę! Zabijemy ideę, ponieważ mówimy prawdę? Zabijemy ideę, ponieważ niekiedy mamy wątpliwości? Dobrze: absurd. Ale to nieprawda, że absurdy od razu skazane są na śmierć. Mieliśmy możność przekonać się o ich twardym żywocie. Dlatego konieczna jest walka z absurdem.

Myślę, że najpierw trzeba zapytać: o jaką ideę chodzi? Oczywiście, wiemy wszyscy: socjalizm, komunizm. Chyba jednak warto zatrzymać się nieco nad znaczeniem tych słów. Tym nazwaniom zbyt często nadawało się tylko ekonomiczny sens. Do niedawna obowiązywała, jakkolwiek nigdy chyba otwarcie nie głoszona, taka zasada: najpierw zbudujemy ekonomiczne podstawy socjalizmu, reszta przyjdzie potem. Taka koncepcja okazała się zabójcza: stwarzała przesłanki do prymatu taktyki, zbyt wiele usprawiedliwiała. Ostatecznie musiała załamać się. Ekonomia to także ludzie. Szybko wyczerpał się kapitał ludzkiego poświęcenia. Nastąpił jakiś kryzys zaufania.

Socjalizm. Komunizm. Szukamy przede wszystkim moralnego sensu tych słów. Już, teraz.

Nie wierzę, że konflikt między polityką a etyką jest jakimś konfliktem nieuchronnym. W przeszłości był bardzo ostry i dlatego, paradoksalnie, nie mówiło się o nim (publicznie). Teraz ten konflikt likwidujemy. Istnieją jeszcze próby przedłu-

żania dawnych koncepcji. Nie chciałbym zbyt uogólniać — sprawa jest skomplikowana — ale okrzyki o histerii i pesymizmie wydają mi się nieco podejrzane. Jest u nas jeszcze wiele ludzi o moralności rentierów, którzy usadowili się w socjalizmie jak w miękkim fotelu i wcale nie mają zamiaru opuszczać tego wygodnego miejsca. (Któryś z nich powiedział nam cynicznie: — sami chcecie się tam usadowić? To był zarzut brutalny, tu musiało drgnąć nam sumienie. Wierzymy jednak sobie: — chcemy w ogóle zlikwidować fotele, znieść wszelkie formy obcinania kuponów).

Dlaczego — pesymizm?

Trzeba rozszyfrować to słowo. Pesymizm — to dostrzeganie tylko zła, jakieś wyczulenie na czarny kolor. Ale to nie jest istotna treść tego słowa. Istota pesymizmu — to niewiara w możliwość jakiejkolwiek naprawy, niewiara w przyszłość, przekonanie o wiecznej „immanentności zła" w człowieku, w świecie. A o to oskarżałoby się młodzież bezprawnie. Wcale nie ma koniecznego związku między dostrzeganiem zła a przeświadczeniem o jego nieuchronności. Może być przeciwnie: nadzieja, wiara w przyszłość wyostrza wzrok na to wszystko, co leży na jej drodze. Dobro ma jakiś charakter „kontemplatywny", tylko **jest**. Dlaczego dziwić się, że nie mamy żadnych skłonności do kontemplacji?

Można by powiedzieć nieco przewrotnie — zło stanowi o dynamice rzeczywistości.

Naszą sprawą jest przyszłość i chyba zawsze tak będzie. Niektórzy mogą dopatrzeć się w tym jakiegoś metafizycznego dramatu. My jednak sądzimy, że szczęście znajduje się już wtedy, gdy się go szuka.

Janusz Danielak

Zbigniew Mieczysław Szeloch

ZATRUDNIENIE A KWALIFIKACJA

Nadszedł okres rozsądnego rozliczenia z przeszłością. Zaczynamy — aczkolwiek, moim zdaniem, za mało jeszcze — mówić i pisać otwarcie o niedociągnięciach, które hamują nasz marsz ku lepszemu. W prasie, zwłaszcza społeczno-literackiej, coraz częściej pojawiają się odważne artykuły, odbrązawiające wiele fałszywych mitów oraz ukazujące poważne niedociągnięcia, jakie zdarzały się i — niestety — jeszcze się zdarzają w naszej gospodarce. Psują te artykuły niemało krwi niektórym wysoko postawionym osobistościom, pokazując na konkretnych przykładach bezmyślność poczynań pewnych ogniw naszego aparatu gospodarczego i szkody, nie tylko materialne, jakie wskutek tego powstały.

Ciekawą jest rzeczą, że o sprawach ekonomicznych i ich społecznych konsekwencjach piszą tygodniki literackie, natomiast niemal zupełnie milczą o tym czasopisma ekonomiczne. Tkwią one w jakimś dziwnym letargu, obojętne jak gdyby na to wszystko, co wokół nas się dzieje. Jest to bardzo symptomatyczne.

To milczenie czasopism ekonomicznych spowodowane jest chyba niezbyt wysokim poziomem naszych nauk ekonomicznych i nie bardzo chyba aktywną postawą przedstawicieli tych nauk. Ciekawe, że — jak zauważył sprawozdawca Polskiego Radia — na odbytym niedawno zjeździe ekonomistów polskich w Warszawie dwa razy tylko padło na sali słowo „konsument".

Autorzy artykułów, omawiających nasze niedociągnięcia gospodarcze, wymieniają wiele przyczyn, które spowodowały istniejący stan rzeczy. Wydaje mi się jednakże, że zbyt mało mówi się o bardzo ważnej przyczynie, jaką jest niewłaściwe ustawienie kadr i bardzo często zatrudnienie na rozmaitych stanowiskach ludzi bez odpowiednich kwalifikacji.

Jak doszło do tego, że w ustroju o planowej gospodarce, opartym na naukowych podstawach, ludzie często jeszcze nie są zatrudnieni zgodnie z ich kwalifikacjami?

Przyczyn tego stanu rzeczy należy szukać m. in. w dawnej atmosferze, kiedy to z pewną niechęcią odnoszono się do ludzi z wykształceniem, do tzw. starej inteligencji.

Istniały nader liczne opory przed wysuwaniem tych ludzi na kierownicze stanowiska. Wypływało to z braku zaufania do bezpartyjnych, w znacznej większości wypadków ofiarnie pracujących ludzi. Jeśli np. w jakimś zakładzie pracy wakowało stanowisko kierownicze, a było dwóch kandydatów — jeden partyjny, „mocny" politycznie, lecz o małych kwalifikacjach, drugi zaś bezpartyjny, o kwalifikacjach wyższych, to w przeważającej liczbie wypadków czyniono kierownikiem pierwszego. Tego rodzaju rozwiązania znała oczywiście cała załoga i odpowiednio po cichu komentowała. Mówiono — zrobiono go kierownikiem, bo jest partyjny. Oczywiście nie sprzyjało to właściwej atmosferze.

Wiąże się to ponadto z zagadnieniem tzw. „awansu społecznego", który bezsprzecznie był i jest sprawą słuszną. Tylko jak była owa zasada realizowana w praktyce... Na ogół awans polegał na tym, że aktywnego i dobrego robotnika czyniono dyrektorem lub kierownikiem, że z pracownika fizycznego stawał się on pracownikiem umysłowym. Zamiast wytwarzać, zaczynał się bawić w urzędnika, nie mając oczywiście do tego odpowiedniego przygotowania. Nierzadko, czynniki, które wysunęły go na kierownicze stanowisko, więcej się nim nie

interesowały. Pozostawiony własnej inwencji, często nie dawał sobie rady i musiał odejść. Dokąd? Różnie bywało. Przeniesiono go na inne, podobne stanowisko, lub też wracał tam, skąd przyszedł.

Nie zawsze oczywiście tak się kończyło. Znam osobiście wielu ludzi z tzw. awansu, którzy mimo wielu trudności nie ugięli się, wytrwali i dzisiaj są bardzo dobrymi kierownikami. Zapytajcie ich jednak, jak wiele musieli włożyć w to trudu, ile wysiłku kosztowało ich np. ukończenie odpowiedniej szkoły, a co najważniejsze, czy otrzymali od swych władz konkretną pomoc?

I tu powstaje poważne zagadnienie, zwłaszcza w tych wypadkach, gdy taki awansowany musi wrócić do swego poprzedniego zajęcia. Jest on wtedy rozgoryczony, rozżalony, ma pretensje — często słuszne — do tych, którzy go na poprzednie stanowisko „wysunęli". Znany mi jest fakt, że jednemu z dyrektorów poważnego przedsiębiorstwa handlowego w Lublinie przysłano na zastępcę... stolarza z podstawowym wykształceniem. Dyrektor ten tłumaczył odpowiednim czynnikom, że przecież ten człowiek nie da sobie rady na tym stanowisku, że nie ma on do tego żadnego dosłownie fachowego przygotowania. Niestety, perswazje nie pomogły. Stolarz został jego zastępcą. Oczywiście, nie mając pojęcia o kierowaniu tak dużym przedsiębiorstwem, już po kilku tygodniach wprowadził takie „porządki", że musiano go stamtąd zabrać. Proponowano mu powrót do poprzedniej jego pracy, odmówił. Czuł się urażony. W końcu został sprzedawcą, oczywiście w innym przedsiębiorstwie. Podobnych przykładów, sądzę, można by znaleźć więcej.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Nie neguję konieczności awansu społecznego. Uważam, że był on i jest nadal bezwzględnie potrzebny. Chodzi mi tylko o to, czy poszedł w należytym kierunku i czy ludziom tym okazaliśmy właściwą pomoc.

Formalnie bowiem mają oni do swej dyspozycji rozmaitego typu szkoły stacjonalne i zaoczne, w których mogliby uzupełnić swe wykształcenie. Niestety, znikoma tylko liczba korzysta z tych możliwości. A i ci, co korzystają i dokształcają się, zbyt często odpadają nie mając możności pogodzenia nauki z pracą zawodową, która pożera cały ich wolny czas. Szkoda, że w wydanym ostatnio Roczniku Statystycznym nie ma cyfr ilustrujących tzw. odpad i odsiew uczniów tego typu szkół. Z doświadczeń kilku znanych mi w Lublinie szkół wiem, że sięga on w procesie całego cyklu nauczania do 75%.

Należałoby pomyśleć o otoczeniu większą niż dotychczas opieką tych ludzi i umożliwić im zdobycie odpowiedniego wykształcenia. Ci, którzy się nie będą nadawać, muszą wrócić tam, skąd przyszli. Wszelkie bowiem forsowanie słabych i niedouczonych ludzi na kierownicze stanowiska odbija się szkodliwie na naszym życiu społecznym, gospodarczym i politycznym. O miejscu pracy i zajmowanym stanowisku powinny decydować przede wszystkim kryteria fachowości i przydatności do zawodu.

Zresztą, jeśli chodzi o awans społeczny, osobiście jakoś nie mogę zrozumieć, że w XX wieku, w erze wielkiej przebudowy naszej gospodarki, w okresie tak bardzo dynamicznego rozwoju przemysłu — związany on jest z przejściem do papierkowej roboty. Tkwi w tym jakiś dziwny paradoks. Bo gdy np. we Francji lub ZSRR jest rzeczą całkowicie naturalną, że uczeń po skończeniu średniej szkoły idzie do pracy w fabryce jako robotnik, to u nas — szczytem niejako marzeń jest kariera... urzędnika!

Są to dziwne pozostałości jakiejś typowo drobnomieszczańskiej mentalności, która ma swe praźródło w niechęci do pracy w handlu i przemyśle i datuje się jeszcze od połowy XIX-go stulecia.

Rozmawiałem niedawno z byłym robotnikiem-metalowcem, którego w roku 1948 „zrobiono" kadrowcem. Mówił mi, że nie bardzo chciał się wtedy zgodzić na to stanowisko, pod naciskiem jednak uległ. W ciągu tych ośmiu lat pięciokrotnie przerzucano go z jednej instytucji do drugiej. Wreszcie ostatnio, w ramach kompresji etatów zwolniono go i zaproponowano powrót do poprzedniej pracy, którą wykonywał do roku 1948, tłumacząc jednocześnie, że będzie to dla niego korzystniejsze. Człowiek ten nie może odżałować, że dał się wtedy namówić na przejście do pracy umysłowej.

Zresztą istnieje u nas jakieś dziwne, niepotrzebnie podtrzymywane przeciwieństwo między pracą fizyczną a umysłową. Przeciwieństwo sprzeczne z tendencjami rozwojowymi życia ekonomicznego, a utwierdzane przedwojennymi jeszcze, sanacyjnymi przepisami ustawodawstwa pracy! Osobiście np. nie mogę zrozumieć, dlaczego pracownika umysłowego można zwolnić po trzymiesięcznym wypowiedzeniu mu pracy, a fizycznego tylko po dwutygodniowym? Dlaczego robotnicy o małym stażu mają tylko dwutygodniowe urlopy?

W tym też tkwią przyczyny, że ludzie wolą iść do pracy umysłowej, niż do fizycznej. Dlatego też konieczne wydaje się jak najszybsze zrównanie uprawnień pracowników fizycznych z umysłowymi. Życie bowiem idzie szybko naprzód i niewątpliwie zetrze granice istniejące między jednymi a drugimi pracownikami.

Zbiurokratyzowaliśmy bardzo nasze życie. Przypomina mi się w tym miejscu pewien rysunek z „Krokodyla" sprzed kilku lat. Na słupie służącym do podtrzymywania przewodów elektrycznych pracuje dwóch monterów, w dole zaś z olbrzymimi księgami stoi czterech urzędników, zapamiętale coś piszących. Pod spodem był taki mniej więcej podpis: „— Słuchaj, Iwan, co oni tam robią? — Nie wiesz, obliczają ile wykonaliśmy normy!"

Tak w przybliżeniu wygląda nasza gospodarka. A jeśli do tego weźmiemy pod uwagę, że ci piszący na dole niezbyt dobrze piszą, obrazek będzie jeszcze bardziej wymowny.

Biurokracja! — magiczne słowo, pojawiające się coraz częściej na łamach naszych czasopism. Czytałem gdzieś niedawno, bodajże w „Nowej Kulturze", że mamy ponoć milion urzędników! Czy aby troszeczkę nie za wiele. Sądzę, że w stosunku do liczby mieszkańców zajmujemy pod tym względem

pierwsze miejsce na świecie. Gorzej, że sytuacja na tym odcinku zaczyna wyglądać groteskowo, gdyż wyższe uczelnie i średnie szkoły kończy rokrocznie kilkadziesiąt tysięcy absolwentów, dla których... trudno jest znaleźć obecnie pracę. Czyżby znowu osławiona nadprodukcja inteligencji? Powstaje błędne koło. Ludzie uczą się, kończą szkoły i nie mogą dostać pracy zgodnie z kwalifikacjami, bo tam, gdzie oni powinni pracować, siedzą inni, o nie zawsze właściwym przygotowaniu. Znana jest powszechnie sprawa braku pracy dla plastyków, historyków sztuki, gdy tymczasem sektor kultury w naszych radach narodowych obsadzony jest często laikami w tej dziedzinie.

Inny przykład, ze znanego mi osobiście podwórka, to sprawa zatrudnienia absolwentów techników handlowych. Gdy przed czterema laty przyjmowano ich do szkoły, na jeden z pięciu istniejących wydziałów (tak, pięciu! — to też ciekawe zjawisko, taka „specjalizacja" na szczeblu średniej szkoły), mówiono im, że po ukończeniu technikum będą pracować w przedsiębiorstwach handlowych jako pracownicy umysłowi. Tymczasem teraz większości z nich oferuje się — owszem, pracę w handlu, ale w charakterze sprzedawcy. Oczywiście, nic w tym złego, że zaczną swoją karierę od wykonywania tego rodzaju czynności. Nawet dobrze. Tylko że — po pierwsze — nie przygotowano ich właściwie do tej pracy, bo programy nauczania były nastawione w zupełnie innym kierunku, po drugie — nie jest określony dotąd czas pracy na stanowisku sprzedawcy, trwa więc on od roku do lat trzech i w tym czasie absolwenci zapominają to, czego się w szkole nauczyli, po trzecie — mówiąc prosto — nabrano ich i dlatego czują żal.

Istnieje więc u nas niewątpliwie problem niewłaściwych ludzi na niewłaściwych stanowiskach. Aczkolwiek zaczyna się już o tym mówić, a nawet błędy naprawiać, jednakże rezultaty tego są raczej słabe. Uchwała Prezydium Rządu Nr 446 miała niewątpliwie m. in. na celu odejście pracowników niewykwalifikowanych, jednakże, jak wynika z doniesień prasowych, realizacja jej szła bardzo opornie i chyba nie dała zaplanowanych rezultatów.

Ostatnio, a mianowicie 16.4 br., opublikowana została Uchwała Nr. 192 Rady Ministrów w sprawie zasad wynagrodzenia pracowników zatrudnionych w zarządach placówek i zarządach centralnych. Według tej uchwały stanowiska pracy, a tym samym płace, zależeć będą od wykształcenia oraz stażu pracy. Mam wrażenie, że jest to właściwy początek dobrej roboty na odcinku zatrudnienia. Czekamy teraz na dalsze zarządzenia, które by obejmowały pracowników niższych szczebli.

O co właściwie chodzi? Sprawa jest prosta. Żyjemy w świecie o dwóch różnych systemach społeczno-gospodarczych i politycznych. Koegzystujemy, a więc i rywalizujemy z państwami kapitalistycznymi i to przede wszystkim na polu gospodarczym. Z tego trzeba wyciągnąć wnioski. Jeśli chcemy przekonać świat kapitalistyczny o wyższości naszej gospodarki i w rywalizacji tej wygrać (a chyba wszyscy uczciwi ludzie tego pragną i wierzą w to zwycięstwo), to problem kwalifikacji i zatrudnienia ludzi zgodnie z posiadanym wykształceniem i przygotowaniem zawodowym musi być bezwzględnie szybko rozstrzygnięty. Tak nakazuje zwykły zdrowy rozsądek, tego wymaga od nas podstawowa zasada gospodarki. Tutaj żadne pół — czy ćwierć — środki nie pomogą. Musimy zdobyć się na radykalne posunięcia i w jak najszybszym czasie, uporządkować i uzdrowić gospodarkę odpowiednimi kadrami, tym najcenniejszym elementem budowy socjalizmu.

Problem ten jest bardzo istotny i oprócz aspektu czysto ekonomicznego posiada poważne znaczenie społeczne i moralne. Chodzi bowiem o człowieka.

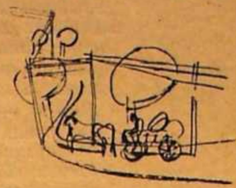
Zbigniew Mieczysław Szeloch

Anna Kamieńska

KRASNYSTAW ME GENUIT

Urodziło mnie miasteczko o dzikiej nazwie półruskiej —
Krasnystaw odbijał zachody jarzębinowym pluskiem.
Szli zakurzeni żołnierze i chcieli się napić i umyć,
Zmienić zawszoną koszulę, a potem choćby umrzeć.
Ciągnęły drogą wozów uciekinierskich pochody,
I niedojone krowy ryczały, a ojciec jeszcze młody
Miał dziką brew jak drzewo osmalone burzami
I gniewał się i jego gniew jak wojna szedł nad nami.
A matka moja z twarzą ciemną niby Maria Częstochowska
Siedziała na tobołach, podróżna jak Polska.
I szedł nasz wóz z innymi i skrzypiał i zgrzytał
I krzykiem niemowlęcym Niepodległą witał.

Lubelszczyzna — najbardziej polska z ziem ojczystych
Podawała łagodne piersi wzgórz i mlekiem czystym
Płynęły jej rzeczułki mroczne, dziś odarte
Z trzepotu gęsich skrzydeł. Przez wrota otwarte
Patrzył pies zapomniany w budzie przez człowieka
I boki wpadłe lizał i nie miał sił szczekać.
Urodził mnie ten rok wojenny. Bujne chwasty
Wyrosły wyżej okien, a lęk — w posąg zastygł.



ULICA

Hodowała mnie szara wilczyca,
Lubelska przedmiejska ulica.
Kwitły zamknięte ogrody za siatką z drutu,
Klarowa sprzedawała małe laleczki z cukru.
Kiedy dzieci umierały, stawały się aniołami,
A matki z krzykiem biegły i machały w górę rękami.
Uciekaliśmy, kiedy w przydeptanych lakierkach
Zbliżała się wystrojona głupia Walerka.
Jak słodkie były zmierzchy, kiedy dzieci siadały na schodach
I zapalała się lampka u szewca Gabriela Drozda.
Dziewczęta lubiły łaskotki, nadstawiały pachy nieśmiało
I czekały aż dreszcz przyjemny przebiegnie ciało.
W starej masarni leżała matka Zosi Sowy.
Aby lżej było jej konać, wyjęli poduszkę spod głowy.
Zbierane na śmietniku kolorowe szkiełka
Chrobotały, dzwoniły — i był lęk w tych dźwiękach.

Anna Kamieńska

PROFILE LUBELSKICH TWÓRCÓW

Prof. dr Józef Mazurkiewicz

„Pragnę zachęcić do studiów nad Lubelszczyzną..."

„Wzrastająca rola Lublina w życiu Polski Ludowej, szybko postępujące uprzemysłowienie miasta, fakt, że Lublin staje się siedzibą pięciu wyższych uczelni nakazuje zwrócić baczniejszą uwagę na przeszłość miasta. Okoliczności te tym bardziej uaktualniają przeświadczenie, że dla należytej oceny polskiego procesu historycznego konieczna jest znajomość dziejów główniejszych miast.

Nie trzeba zaś wiele zajmować się historią, by stwierdzić, że i w czasach dawniejszych, przed okresem upadku w fazie późniejszego feudalizmu — Lublin zaliczał się do największych i najznaczniejszych miast dawnej Rzeczypospolitej. Odnosiło się to tak do roli gospodarczej, jak i do znaczenia kulturalno-politycznego".

Ten cytat z pracy prof. Józefa Mazurkiewicza „O stanie badań nad ustrojem i prawem dawnego Lublina" — czyni zadość regionalnemu patriotyzmowi i jakoś bardzo trafnie charakteryzuje sylwetkę autora, który przede wszystkim zajmuje się badaniem regionu Lubelskiego oraz tego rodzaju badania stara się propagować.

Nie dziwi nas to. Józef Mazurkiewicz jest „synem naszej ziemi" — urodził się w Kurowie, 14 wrześnie 1904 r. W Lublinie ukończył gimnazjum im. Staszica, a następnie wydział prawa i historii. Uczestniczył w seminariach historyczno-prawnych profesorów: P. Dąbkowskiego i J. Rafacza. Po ukończeniu studiów ogłosił drukiem pracę doktorską (u prof. P. Dąbkowskiego we Lwowie) pt. „Ustawy amortyzacyjne w dawnej Polsce".



Do 1939 r. był adwokatem w Lublinie. W czasie kampanii wrześniowej, ranny pod Tomaszowem, dostaje się do niewoli niemieckiej. Przebywając w oficerskim obozie jeńców w Woldenbergu pracuje w miarę możliwości nad uzupełnieniem swych studiów oraz wykłada na kursach prawniczych zorganizowanych w obozie.

Po wyzwoleniu wraca do kraju, gdzie początkowo zajmuje się adwokaturą, a w r. 1946/47 jest wykładowcą na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (Historia Ustroju Polski i dawne prawo sądowe). Kiedy katedra ta uległa likwidacji, wykłada ten sam przedmiot na nowoutworzonym Wydziale Prawa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Od r. 1953 jest kierownikiem katedry Historii Państwa i Prawa Polskiego.

Prace naukowo-badawcze prof. Mazurkiewicza koncentrują się na zagadnieniach ustrojowych miast, (szczególnie prywatnych), a przede wszystkim Lublina. Wśród powojennej bibliografii prac profesora znajdujemy następujące tytuły: „Początki ustroju cechowego w Lublinie", „Powiatek w księgach miejskich Lublina i miast sąsiednich". „Uwagi o roli ksiąg hipoteki polskiej", „Miasta prywatne powiatu lubelskiego a ich działanie" — praca zbiorowa wraz z J. Rederem i J. Markiewiczem, „Jurydyki lubelskie", „O stanie badań nad ustrojem i prawem dawnego Lublina".

Do ostatnich prac należy przygotowywana wraz z Władysławem Ćwikiem „Własność w miastach prywatnych Lubelszczyzny za czasów ks. Warszawskiego i król. Kongresowego" oraz opracowywanie zagadnienia lokacji miast Lubelszczyzny (głównie prywatnych) i kwestii sytuacji prawnej tych miast, ciężarów ponoszonych na rzecz dziedziców, jak również zmian, jakie zachodziły w czasach dawnej Polski. Są to zagadnienia nowe, nie opracowane dotąd należycie, a stanowiące ważny odcinek feudalizmu w Polsce.

Problematyka miast prywatnych i miasta Lublina — tym przede wszystkim zajmuje się katedra Historii Państwa i Prawa Polskiego kierowana przez prof. J. Mazurkiewicza. Jej zasadniczy cel — ożywienie studiów nad dziejami ustrojowymi i prawem regionu lubelskiego, który w stosunku do studiów nad innymi dzielnicami jest bardzo zaniedbany i zapóźniony.

Dla popularyzacji tychże badań służy również w pewnym zakresie istniejące przy Polskim Towarzystwie Historycznym Koło Miłośników Historii Lublina, którego kierownikiem jest właśnie prof. Józef Mazurkiewicz.

wk

Jerzy Reder

POZNAJEMY HISTORIĘ LUBLINA

Ostatnio ukazała się książka prof. dr. Józefa Mazurkiewicza pt. „Jurydyki Lubelskie". Autor jest kierownikiem Katedry Państwa i Prawa Polskiego UMCS, zajmującej się od kilku lat regionalną tematyką prawno-historyczną. Sama praca jest rezultatem żmudnych poszukiwań archiwalnych i kilkuletnich dociekań nad przeszłością ustrojowo-prawną osiedli o charakterze miejskim, otaczających w ciągu trzech wieków lubelski zamek i miasto, których nazwy są niekiedy i współcześnie nazwami poszczególnych dzielnic i ulic stolicy Lubelszczyzny.

Dobrze się stało, że równocześnie wyszedł drukiem artykuł tego samego autora, zamieszczony w księdze pamiątkowej Dziesięciolecia UMCS pt. „O stanie badań nad ustrojem i prawem dawnego Lublina", co pozwala na dokładne zorientowanie się w osiągnięciach i brakach w tej dziedzinie. W związku z tym artykułem możemy łatwiej określić duże znaczenie i przydatność omawianej monografii, będącej pierwszą pracą, która przedstawia w sposób wyczerpujący jedno z kilku podstawowych zagadnień historii Lublina.

Lublin przechodził w wieku XVI okres bardzo szybkiego wzrostu. Jednakże duża część ziemi nadanej Lublinowi przy lokacji znalazła się w rękach duchowieństwa i szlachty, a w związku z tym rola rozszerzenia terytorium zabudowy miasta została w zasadzie odjęta mieszczanom i przejęta przez właścicieli duchownych i świeckich posesji.

Geneza jurydyk lubelskich, podobnie jak i w innych miastach, wiąże się z uzyskaniem przewagi w państwie przez szlachtę i duchowieństwo, co istniało właśnie w wieku XVI. Stany uprzywilejowane uzyskały wówczas możność nabywania ziemi w miastach, w obrębie murów miejskich, a w szczególności na terenach nadanych miastom przy lokacjach, obejmujących pola uprawne, łąki i ogrody. Wpływ na powstawanie tych jednostek gospodarczo-osadniczych miały również antagonizmy wewnętrzne samego miasta, ze zdeklasowanych bowiem elementów miejskich pochodziła w znacznej części ludność osadzona przez

Kamena nr 7-8/1956

nowych possesorów na ich gruntach. W Lublinie omawiane twory, nabierające stopniowo charakteru miejskiego, rozrastały się kosztem miasta i osiągnęły punkt kulminacyjny wzrostu terytorialnego w połowie wieku XVII. W tym samym czasie formowała się ich struktura ustrojowo-prawna.

Najstarsze jurydyki lubelskie należały do duchowieństwa kościołów lubelskich, np. katolickiego i prawosławnego na Czwartku oraz farnego, już w pierwszej połowie XVI w. Grunty ich należy wiązać z pierwotnym uposażeniem świątyń. W ciągu XVI w. powstają również jurydyki tzw. królewskie, pozostające pod bezpośrednim nadzorem starostów lubelskich. Są to Podzamcze i Słomiany Rynek (Kalinowszczyzna). Grunty będące podstawą tych jurydyk były prawdopodobnie zajmowane przez starostów wprost, jako należące do królewskiego miasta. Pojawia się też wówczas pierwsza enklawa majątkowa szlachecka Białkowskiego, przy drodze ruskiej na północ od Podzamcza, nazywana później Białkowską Górą, oraz należące do miasta i podlegające mu prawnie osiedle Żmigród. Osiedle to miało charakter zbliżony do jurydyki, nie miało jednak odrębnych władz i płaciło miastu czynsz, a w końcu w. XVII zostało włączone doń bezpośrednio. Inne wymienione jurydyki przetrwały aż do w. XIX.

Główny okres powstawania i wzrostu lubelskich jurydyk przypada — jak już wspomniano — na wiek XVII. Powstały wówczas wszystkie pozostałe jurydyki duchowne, a więc brygidkowska, augustiańska, Karmelitów, Św. Ducha, bursacka Jezuitów, Dominikanów obserwantów, Franciszkanów, lecz tylko trzy pierwsze z wymienionych przetrwały do XVIII w., resztę odzyskało miasto. Również przejściowo w wieku XVII powstały i istniały szlacheckie jurydyki Zabrzydowskiego-Popiela oraz Czartoryskiego — Ogińskiej — Wierzbickiego. Do w. XIX dotrwała odrębność powstałych w w. XVII jurydyk szlacheckich Wieniawy, Czechówki Dolnej i Sierakowszczyzny, zajmujących największe obszary ziemi. Królewski dawniej Słomiany Rynek przeszedł do rąk szlacheckich, by w w. XVIII wrócić pod zarząd starostów. Znaczną odrębnością zaznaczał się również w ciągu obu wieków grunt miejski przy drodze lewartowskiej. W w. XVIII powstała, już tylko na krótko, jedna jurydyka królewska — Piaski po drugiej stronie Bystrzycy, w okolicach dzisiejszej ul. 1 Maja.

Jak więc widzimy, było w Lublinie wiele jurydyk obejmujących duże obszary gruntów miejskich, o liczbie ludności równej prawdopodobnie pozostałej ludności miasta.

Czym więc były te jurydyki pod względem społecznym i prawnym? Autor omawianej książki określa jurydykę jako „...osiedle o charakterze miejskim, położone na gruntach miejskich miast królewskich, nie podlegające władzom i ciężarom miejskim, posiadające odrębną od miasta jurysdykcję sądową i administracyjną pod zwierzchnictwem pana feudalnego". Ustrój wewnętrzny jurydyk, wzorowany na ustroju miejskim, był jednak słabo rozwinięty. Zaznaczał się tam nawet pewien niedorozwój ustrojowy. Przeciętny schemat ustroju władz w jurydyce to — wójt i ławnicy oraz ciało ustawodawcze — pospólstwo. Oczywiście jurydyki lubelskie nie były pod względem ustrojowym identyczne. Zachodziły między nimi znaczne różnice. Podlegały poza tym zwierzchnikom feudalnym o różnym charakterze. Były przecież jurydyki duchowne, królewskie i szlacheckie. Jednakże można wyraźnie wyróżnić je jako typ osiedli odrębnych pod względem prawnym oraz ustalić istotne różnice zachodzące w tej samej dziedzinie między nimi a przedmieściami oraz libertacjami i serwitoriatami, jak również między nimi a miastami prywatnymi. Przedmieścia bowiem powstawały zawsze pod jurysdykcją miejską, nawet jeśli posiadały jakieś własne organy administracyjne, libertacje i serwitoriaty, jako zazwyczaj bardzo małe, nie miały organizacji o charakterze publiczno-prawnym, a miasta prywatne leżały na prywatnych gruntach szlacheckich i nie miały wówczas, jak jurydyki, kontaktów z władzami państwowymi.

Zależność mieszkańców jurydyk od ich dziedziców przejawiała się w płaceniu czynszów, nawet w odrabianiu pańszczyzny. Właściciele jurydyk czerpali z nich znaczne dochody, a sposób wyzysku feudalnego był bardzo podobny do tegoż wyzysku w miastach prywatnych.

Miasto Lublin zwalczało jurydyki w ciągu całego okresu ich istnienia, jako podkopujące jego pozycję gospodarczą, jego monopolistyczny, feudalny charakter oraz jedność organizacyjną i prawną. Jednak starania miasta nie doprowadziły w czasach dawnej Rzeczypospolitej do likwidacji jurydyk. Przewaga szlachty była zbyt silna. Upadły one dopiero w miarę rozwoju stosunków kapitalistycznych pod koniec w. XVIII i w początkach XIX. Decydujący cios zadała jurydykom włączona do Konstytucji 3 Maja ustawa o miastach królewskich z r. 1791, znosząca ich odrębności sądowe i administracyjne. Pozostały jeszcze w ciągu pierwszej połowy w. XIX pewne odrębności o charakterze gospodarczym, nie miały one już jednak istotnego znaczenia i można stwierdzić, że w zasadzie proces zanikania obciążeń ludności o charakterze feudalnym doprowadził do likwidacji pozostałości pojurydycznych jeszcze przed ich formalnym zniesieniem w r. 1866.

Jurydyki odegrały w życiu Lublina rolę zarówno negatywną jak i pozytywną. Negatywną — z punktu widzenia interesów miasta w okresie feudalnym, gdyż były przykrymi naroślami na organizmie miejskim, konkurowały z jego rzemiosłem i handlem oraz powodowały zmniejszenie się dochodów płynących z gruntów miejskich. Jednak przecież odegrały jurydyki rolę pozytywną przy kształtowaniu się nowoczesnego Lublina, przyczyniły się bowiem do rozszerzenia zabudowy miasta, zaludnienia terenów uważanych wraz z samym miastem i przedmieściami za jeden wspólny organizm miejski. W procesie rozwojowym miasta odegrały więc rolę zasadniczą.

Odpowiadając na pytanie, co nowego wnosi praca prof. Mazurkiewicza do poznania historii miasta, należy stwierdzić, że posuwa ona znajomość dziejów Lublina bardzo znacznie naprzód. Określa wyraźnie kierunki jego rozwoju przestrzennego, dotyczy — wprawdzie fragmentarycznie — dziejów ustroju samego miasta, ujętego ściślej, omawiając porównawczo poszczególne jego elementy. Ma to tym większe zna-

czenie, że nie napisano jeszcze monografii na temat ustroju samego miasta Lublina. Książka poszerza poza tym znacznie bazę źródłową, będącą podstawą do opracowania w przyszłości całej historii Lublina. Wykorzystuje źródła w większości pomijane dotychczas, jak np. księgi wójtowsko-ławnicze jurydyk, lustracje starostwa i województwa lubelskiego, inwentarze dochodów posesji duchownych i akta hipoteki polskiej z XIX wieku.

„Jurydyki Lubelskie" wyróżniają się korzystnie na tle innych prac historyczno-prawnych odnoszących się do Lublina i Lubelszczyzny. Autor oparł się na materialistycznej metodzie naukowej, określając gospodarcze i społeczne podstawy rozwoju elementów ustrojowych jurydyk, wiążąc je poza tym z przemianami zachodzącymi w całym kraju i wskazując na występowanie pewnych prawidłowości rozwojowych. Historia jurydyk została ujęta w całości, a nie we fragmentach czasowych lub rzeczowych, jak dotychczas w pracach Frelichowej, Kamińskiego, Kermisza, Riabinina i innych. Jest to pierwsza pełna monografia o charakterze historyczno-prawnym, która wykorzystuje całą dotychczasową literaturę odnoszącą się do Lublina, a także ogólno-polską, omawiającą fragmentarycznie zagadnienie jurydyk. Praca wnosi w związku z tym trwały wkład w znajomość stosunków miejskich w feudalnej Polsce. Historię jurydyk Lublina, jednego ze znaczniejszych miast dawnej Rzeczypospolitej, można śmiało określić jako typową dla wszystkich jurydyk istniejących w innych takich miastach, nie wyłączając stołecznych: Krakowa i Warszawy. Historykom pogłębiającym znajomość dziejów większych miast oraz w ogóle dziejów miast i mieszczaństwa dawnej Polski daje ona możność opracowania istotnych, trwałych wniosków i uogólnień.

Dla mieszkańców Lublina i Lubelszczyzny interesujących się dziejami swego regionu ten duży fragment historii Lublina stanowi zasadniczą zdobycz. Zdajemy sobie przecież sprawę z tego, jak bardzo opóźniona jest Lubelszczyzna, jeśli chodzi o badania historyczne, w stosunku do innych regionów kraju, takich jak Krakowskie, Mazowsze, Wielkopolska lub Śląsk. Dość wskazać, że na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat, poza wydawnictwami źródłowymi J. Riabinina, nie ukazała się żadna znaczniejsza pozycja poświęcona Lublinowi. Niejeden mieszkaniec naszego województwa, niekoniecznie historyk, chętnie przecież poczyta sobie o powstawaniu bliskich mu nazw, zainteresuje się stosunkami, jakie panowały dawniej w mieście, z którego życiem współczesnym jest terenowo, zawodowo i uczuciowo związany.

Jerzy Reder



NAGRODY DLA TWÓRCÓW I DZIAŁACZY KULTURALNYCH LUBELSZCZYZNY W R. 1956

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej przeznaczyło w r. 1956 20 000 zł na nagrody dla twórców i działaczy kulturalnych Lubelszczyzny. W dn. 18 lipca odbyło się posiedzenie Komisji Rozdziału Nagród Artystycznych PWRN w składzie ob. ob.: Tadeusz Jeziorski — kier. Wydziału Propagandy KW PZPR, Jadwiga Grossman — kier. Wydziału Kultury PWRN, Zbigniew Kozłowski — kier. Wydziału Kultury PMRN, Konrad Bielski — przewodniczący Komisji Kultury PWRN, Sara Przytyk-Nomberg — z-ca red. nacz. „Sztandaru Ludu", Edmund Grzybowski — przewodniczący Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Tadeusz Chabros — wiceprzewodniczący Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Halina Chabros — redaktor „Życia Lubelskiego", Wiera Korneluk — red. działu kulturalnego „Sztandaru Ludu", Zdzisław Lorenowicz — dyr. Państwowego Teatru im. J. Osterwy, Joanna Szydłowska — przedstawicielka Lubelskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków, Maria Bechczyc-Rudnicka i Kazimierz Andrzej Jaworski — przedstawiciele Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Komisja, pod przewodnictwem ob. kier. Jadwigi Grossman, przyznała nagrody po 4 000 zł:

1. w dziale literatury — Eugeniuszowi Gołębiowskiemu za całokształt pracy literackiej, ze szczególnym uwzględnieniem powieści „Dożywocie JMP Woyszy";
2. w dziale plastyki — Władysławowi Filipiakowi za całokształt twórczości plastycznej;
3. w dziale muzyki — Aleksandrowi Brykowi za twórczość kompozytorską;
4. w dziale teatru — Aleksandrowi Aleksemu za wybitne kreacje aktorskie, a zwłaszcza w „Poemacie Pedagogicznym", w „Domu na Twardej", w „Mazepie" i w „Wassie Żeleznowej";
5. dla działacza kulturalnego — Konradowi Bielskiemu za długoletnią ofiarną pracę społeczno-kulturalną na terenie województwa lubelskiego.

Kandydaturę ob. K. Bielskiego zgłoszono w czasie obrad, wobec czego nie brał on udziału w omawianiu kandydatur do nagrody dla działacza kulturalnego ani w głosowaniu.

Adolf Lekki

„POGRZEB" JANA OFIARSKIEGO

Władza smakuje jak potrawa. Jedna ma zapach złotego jabłka, jest twarda i soczysta płynącymi z niej przywilejami, inna natomiast, krucha jak ciastko, łaskocze tylko podniebienie, lecz niewiele przynosi korzyści. Jest władza lekko lub ciężkostrawna, jest stała albo trzęsąca się jak galareta. Trzeba ją umieć spożywać. Łakomczuch łatwo się przeje tą potrawą, zgłodniałemu szybko może ona zaszkodzić. Tylko człowiek umiarkowany rozkoszować się może jej smakiem przez dłuższy czas.

Do takich ludzi należał Jan Ofiarski. Byłbym podłym kłamcą, gdybym mówił, że władza, jaką on posiadał, przyczyniała się do napełniania jego żołądka. Nieprawda, tak nie było, lecz trudno mi zaprzeczyć, że imponowało mu — każdy z nas ma swoje słabostki — odbieranie listów, na których kopertach „stało" wyraźnie: „Jan Ofiarski — Przewodniczący Gromadzkiego Komitetu Frontu Narodowego w Lipowej" albo: „Jan Ofiarski — Przewodniczący Gminnej Rady Spółdzielczej" lub: „Jan Ofiarski — Pełnomocnik Gromadzkiej Rady Narodowej..."

Władza wiejska skupiła się wszystka w jego osobie. Był przez pewien czas sekretarzem Gminnego Komitetu Partii, był Prezesem Gminnej Spółdzielni, był... po co zresztą wyliczać wszystkie stanowiska, jakie zajmował.

Wystarczy powiedzieć, że On był wszystkim. To do Niego przyjeżdżali delegaci z powiatu, to Jego klamkę wycierał codziennie listonosz, to Jemu najniżej kłaniali się sąsiedzi. On znał wszystko i od niego wszystko zależało.

Potrawę zdobywa się w różny sposób. Trzeba orać w pocie czoła albo kuć niestrudzenie czarną skałę, czasami wystarczy jednak umiejętność przeprowadzania różnych kombinacji i wyczucia „skąd wiatr wieje".

Jan Ofiarski nie kombinował, ani nie wystawiał twarzy „pod wiatr". Orał uczciwie swoje sześć hektarów ziemi, wywiązywał się z obowiązków wobec państwa, czasami wypijał z sąsiadami pół litra. Władza przyszła do niego sama. Stało się to w jednym dniu, bez jego udziału, starań, a nawet wbrew woli. Na zebraniu gromadzkim, kiedy padło jego nazwisko jako kandydata na Przewodniczącego Frontu Narodowego, podniósł się zdziwiony.

— Ludzie, co wy... — powiedział półgłosem i natychmiast, onieśmielony setką oczu wpatrujących się w niego ciekawie, usiądł zawstydzony. Spodobała się ludziom jego nieśmiałość. Znali go jako dobrego gospodarza, uczciwego sąsiada, wierzyli, że nie stanie się zarozumiałym. Wybrali go. Od tego czasu Ofiarski coraz częściej przebywał poza domem. Przewodniczył, przemawiał, agitował, wyzbywając się wrodzonej nieśmiałości. Inne stanowiska i funkcje przyszły za pierwszą, bo wiadomo, że lubią one trzymać się razem.

Ofiarski wyrastał ponad swoją miarę, przerósł w końcu o głowę całą wieś. W powiecie mówiono:

— Zebranie najlepiej zorganizuje Ofiarski...

— W sprawie stonki zwróćcie się do Ofiarskiego.

— Instrukcję w sprawie skupu skierujcie do Ofiarskiego...

Ofiarski był aktywistą...

Ofiarski był jedynym człowiekiem godnym zaufania.

Ale przed kilkoma dniami zdarzył się w Lipowej pewien wypadek. Było to tak. Ofiarski otrzymał z powiatu polecenie zwołania na wieczór zebrania.

„...W celu przeniesienia uchwał XX Zjazdu.." — głosiło pismo, podpisane ręką najwyższego w powiecie człowieka. Takiego pisma, a co najważniejsze, takiego tematu nie można było zbagatelizować. Ludzie we wsi szeptali przecież o Zjeździe dużo, a jednak nie mieli odwagi wypowiadać głośno swych myśli.

„Niech przyjdą, porozmawiamy uczciwie, może prędzej pojmą, że zaczęła się u nas „wielka demokratyzacja" — myślał Ofiarski i zakrzątnął się energicznie.

Wieczorem w świetlicy wiejskiej nie było wolnego miejsca. Ludzie z ciekawością patrzyli na delegata z powiatu. Co im przywiózł? Czy dawne ględzenie, czy coś świeżego.

Jak to jest z tą „świeżością"? — Czy jest to zwykła propaganda, czy rzeczywista prawda?

Delegat opowiedział o Zjeździe, a na zakończenie poprosił:

— Mówcie co macie na sercu... Nie bójcie się...

Chłopi spoglądali po sobie, szeptem wymieniali uwagi, ale nikt się nie wyrwał na mównicę.

„Trzeba ich ośmielić" — pomyślał Ofiarski. A znał dobrze chłopskie bolączki, znał temat, który wywołuje najwięcej komentarzy. Był sam rolnikiem, nie tylko „aktywistą".

Już na mównicy przemknęła mu myśl: „Powiem ostro, niech wszyscy wiedzą, że uchwały XX Zjazdu dotarły już do nas".

Uciszyło się.

— Ja chciałbym zapytać, dlaczego nasz rząd wprowadził obowiązkowe dostawy. My i tak nigdzie nie sprzedamy naszych płodów, tylko w gminnej spółdzielni...

Sala zatrzęsła się od oklasków. Trafił w czuły punkt, nie wyjaśniony dokładnie.

Delegat zmarszczył brwi. Ucichły oklaski, nad salą zawisło oczekiwanie: „co będzie teraz"?

Z ust delegata padło kilka słów o trudnościach w zaopatrzeniu, o robotnikach w mieście, którzy także chcą jeść. Znali te słowa, słyszeli je niejeden raz.

Ofiarski instynktem wyczuwał, że poddany zostanie krytyce. Uprzedzały go o tym złe spojrzenia rzucane w jego stronę, słowa puste, napuszone frazesy. Czuł się jak człowiek, który traci siły i za chwilę wpadnie

w lodowato-zimną wodę. Jeszcze chwila... jeszcze moment. Skulił się w sobie, opuścił głowę. Tylko nie wiedział, za co będzie krytykowany. Czy za „kult jednostki", czy za to, że był „dzierżymordą". Nie czuł się winnym, ale różnie przecież bywa. Głos delegata nabrzmiewał nutką groźby, potężniał coraz bardziej.

— Ofiarski swoim dzisiejszym wystąpieniem dowiódł niezbicie, że interesy Polski Ludowej są mu wrogie. To nie było wystąpienie działacza i aktywisty. Długo się maskował...

Zebranie zakończyło się późno, jednak delegat poprosił członków Partii by pozostali „celem przedyskutowania postawy Ofiarskiego". Zostali, przedyskutowali i „podsumowali człowieka".

„Nowy wróg" Polski Ludowej wrócił z zamętem w głowie.

Następne dni były dla niego pasmem udręczeń. Odebrano mu funkcję agenta kontraktacji, odebrano Pełnomocnictwo Gromadzkiej Rady Narodowej, wykluczono go z Gminnej Rady Spółdzielczej.

Ludzie we wsi szeptali:

„Ofiarski sam się pogrzebał. Niepotrzebnie się wygadał".

Władza niektórych delegatów powiatowych jest potrawą ciężkostrawną.

Adolf Lekki

Maria Szczepowska

HRUBIESZOWSKIE PARADOKSY

W wagoniku kolejki wąskotorowej na linii Hrubieszów—Gozdów siedział jakiś jegomość trzymając w zębach papierosa, który zgasł już godzinę temu. Wyglądał na terenowca, bo miał na sobie zakurzony brezentowy płaszcz i pomięte ubranie. Wywiązała się między nami krótka rozmowa. Pani dokąd? Służbowo? Służbowo. Powiedziałam, że jadę do Podhorzec, żeby zebrać materiał do reportażu o zespole uprawowym kukurydzy. A pani była już w Podhorcach? Nie. Pierwszy raz. Popatrzył na mnie z góry. Koło podpuchniętych oczu drgnęły ironiczne zmarszczki, warga z krótko przystrzyżonym, szpakowatym wąsem wysunęła się ku przodowi.

— Kto nie umie pływać, niech nie skacze na głęboką wodę — powiedział. — Kto nie zna terenu, niech nie pisze reportaży.

Terenowcy wyobrażają sobie, że tylko oni znają wieś. Każdy inny zginie w dżungli tych problemów.

Chciałam dalej podtrzymać rozmowę, ale teraz mój towarzysz nie zwracał na mnie większej uwagi niż na słupy telegraficzne migające za oknem.

Z Gozdowa do Podhorzec jest ze dwa kilometry. Droga wiedzie przez przerzucony z urwiska na urwisko most, pod którym mała Huczwa jak srebrna żmijka przemyka wśród bagnistych łąk. Zeszłoroczna, pogodna jesień. Brzozy palą się w słońcu, jak żółte płomienie potasu. Inne drzewa są wciąż jeszcze uparcie zielone.

Naprzeciw mnie jedzie furmanka zaprzężona w chudego konia. Niedorosły furman biczyskiem kreśli esy floresy w powietrzu, szarpie lejcami. Za wozem pokornie telepie się po wybojach coś, co ma cztery gumowe kółka i wygląda jak wielki, gładki kufer pomalowany na zielono.

— A to co? — pytam.

— Prrrr — mówi chłopak ściągając lejce. — A bo ja wiem. Miał być aparat kinowy, ale nic nie wyświetla.

— Zepsuty?

— No a jak? Cztery miesiące stoi w świetlicy. Wiozę czorta do reperacji.

Machnął batem. Koń leniwie i posłusznie napiął grzbiet. Zielono polakierowany kuferek pokornie telepie się za furmanką. Pojedzie do Werbkowic, a jak tam nie potrafią naprawić, to do Lublina. Cóż, może nawet nie obejdzie się i bez Warszawy. Długą i dziwnie krętą drogą wkracza nieraz kino na wieś.

Wchodzę między wiejskie zabudowania. Rzadko tutaj trafiają się chaty kryte gontem, eternitem czy blachą. Wszędzie króluje obrosła zielonym mchem strzecha, może nawet ciekawa z punktu widzenia etnograficznego, ale... — Prehistoria — mówi o Podhorcach kierownik miejscowej szkoły. — U nas były inne domy. W tym „u nas" brzmi duma.

Budynki gospodarcze, ciasno ustawione przy sobie, tworzą prostokątne, zaśmiecone słomą podwórza. Z tyłu, za stodołą, tłoczą się stogi zboża. Jedna iskra i strach pomyśleć — tyle tu słomy. Sadów owocowych nie widać. Gdzie niegdzie jakaś jabłoń czy wiśnia. Zaciekający dach, krzywy płot, waląca się stodoła — zaniedbanie i opuszczenie.

Tak jak w Siennicy Różanej wszystkie domy obwieszone są nanizanymi na drut girlandami ze schnących w słońcu liści tytoniu, tak tu pod każdym okapem jakby wał ze złota splecione w grube, bursztynowe warkocze błyszczą kolby kukurydzy. Kukurydza to najwydajniejsze ze zbóż, kukurydza to złoty interes, kukurydza to dobrobyt — a tu tego dobrobytu nie widać.

Szukam plantatorów kukurydzy, których nazwiska podano mi w województwie. Wreszcie jest

jeden. Nie on sam wprawdzie, ale jego ojciec. Starzec lat chyba siedemdziesięciu. Powieki zaczerwienione, plecy zgięte w kabłąk, portki podwiązane rzemieniem.

Rozmawiamy o kukurydzy, bo to przecież główny temat mego reportażu. Kiszonek tutaj nie robią. Nie ma tego zwyczaju. Wszystko idzie na ziarno. Stary podaje mi średnią wysokość plonów. Przeliczam z arów na hektary i wydajność ta wygląda na bardzo niską. Coś około 30 q z hektara, podczas gdy w okolicach Kazimierza gospodarze osiągają 60 q, nie mówiąc już o rekordach — 100 q z ha, bo to należy do wyjątków. Na wszelki wypadek zapisuję cyfry w notesie.

— A kto tutaj w Podhorcach ma jeszcze ładną kukurydzę? — pytam.

Chłop patrzy na mnie wrogo.

— Nikogo nie wydam! — mówi — Mnie już pani zapisała. Przepadło. Cóż ja? — stary. Ale nikogo więcej nie wydam.

— Przecież ja tylko o kukurydzę...

— O kukurydzę! He! He! — śmieje się szyderczo. — A cóż to takiego kukurydza? Ot, sieje się i zbiera.

Odprowadzona jego podejrzliwym wzrokiem idę dalej. Rozmawiam z gospodarzami, już nie tylko o kukurydzy. O tym i owym. Ludzie są tutaj grzeczni, ale ostrożni w słowach, nieufni. Ktoś już wcześniej powiedział: Tarnopol, ale nie zwróciłam na to uwagi. Słowo to powtarza się coraz częściej, z uporem. W całych Podhorcach jest dwóch czy trzech gospodarzy miejscowych — reszta to przesiedleńcy. Z Wołynia, z tarnopolskiego. Ci z tarnopolskiego przywieźli ze sobą kukurydzę. Siali ją kiedyś w Złotnikach, sieją teraz tutaj. Tam nie robili kiszonek, nie robią i tutaj. Owszem, chwalą to najwydajniejsze ze zbóż, ale trudno znaleźć ślady świadczące o tym, że kukurydza stała się dla Podhorzec taką złotodajną żyłą, jaką jest tytoń dla Siennicy Różanej.

Materiał do reportażu rozłazi się w palcach.

* * *

Niedawno byłam drugi raz w Podhorcach. I znów szłam przez ten most, który wygiętym łukiem spina dwa brzegi Huczwy.

W 1944 r. banda Ukraińców zapędziła tu dwu polskich chłopców. Jeden, ranny już, wspiął się na barierę mostu. Spojrzał w dół. Woda najeżona palami kłębiła się od wirów. Mówiono we wsi, że nikt tu jej jeszcze nie zgruntował. Skoczył. Sypnęły się strzały. Nurkując pod wodą przepłynął aż do pobliskich krzewów. Uciekł. Drugi też dopadł do bariery, jednak strach powstrzymał go przed skokiem. Zdążyli. Rozstrzelali go na miejscu.

Tylko dotknąć tematu tamtych lat, a sypną się opowiadania, od których siwieją włosy. Nie notuję tych krwawych historii. Po co rozdrapywać stare rany? Trzeba leczyć te nowe, jeszcze otwarte.

* * *

Polacy, przesiedleńcy z Wołynia i z tarnopolskiego, przyjechali tu w początku 1945 r. Przez dwa tygodnie mieszkali razem z Ukraińcami, których potem przesiedlono do ZSRR albo na ziemie odzyskane. Przyjechali tu, bo wszyscy wiedzą, co w latach 1943/44 działo się na Wołyniu, w tarnopolskim, lwowskim. Nie łudźmy się. Pamięć tych lat odcisnęła w umysłach Polaków niechęć do Ukraińców i nawzajem w umysłach Ukraińców — niechęć do Polaków. Częściej wysuwamy swoją krzywdę, ale gdyby zrobić ogólny rachunek, okazałoby się, że też nie jesteśmy bez winy.

Chłopi z tarnopolskiego osiadali na gospodarstwach poukraińskich. Niektórzy próbowali rzucić Podhorce i przenieść się na zachód. Tam i budynki lepsze i szosy, i ziemia w kulturze. Inni ciągle myśleli o powrocie. Tęsknili za swoimi stronami. Czy można im się dziwić? Co właściwie jest piękniejszego od miłości do ziemi rodzinnej? Polityczna konieczność zadała gwałt tym najbardziej ludzkim uczuciom. Wysiedlono Ukraińców, wysiedlono Polaków. Nie chodzi o jednostki, liczyło się to na tysiące. Polityczne i gospodarcze skutki przesiedleń widoczne są do dnia dzisiejszego.

Przyjeżdżali tu zrujnowani przez wojnę. 109 rodzin przybyłych z tarnopolskiego przywiozło ze sobą 23 krowy, ani jednego konia. Kto miał kozę, tego już uważano za bogacza. Pierwsze lata wahań, niepokojów, nie wpłynęły dodatnio na zagospodarowanie się przesiedleńców. Chłopi ciągle oglądali się na coś. I tak zeszło.

Bilans jedenastu lat Polski Ludowej w Podhorcach nie przedstawia się różowo. Dziś nie ma tu już wprawdzie gospodarstwa bez krowy, a niewiele także jest bez koni. Co sprytniejsi gospodarze przywieźli sobie z zachodu maszyny rolnicze, kosiarki, siewniki, ale w całych Podhorcach jest tylko jeden jedyny nowowybudowany dom. Reszta chłopów mieszka w starych poukraińskich chatach, których nie opłaca się już reperować. To prawda, że kilku z tarnopolskich gospodarzy więcej dostało tu ziemi, niż mieli w swoich rodzinnych Złotnikach, ale każdy twierdzi, że tam gospodarką szła mu lepiej.

Ziemia tu poszatkowana w drobne zagony, trafia się 5 ha w 18 kawałkach. Po 5 i 6 km. bywa z obejścia na pole — to nie błahostka, kiedy trzeba wozić gnój albo zboże. Ciągle mówi się o regulacji gruntów. Raz do roku przyjadą inżynierowie, rozdrażnią tylko ludzi i odjadą.

Wydajność z hektara zastraszająco niska. W latach urodzaju, mówią chłopi, żyto i pszenica dawały od 12 do 14 kwintali z hektara. Rok temu zboże wymokło. Nie było więcej niż 8 do 10 q/ha. W tym roku na przednówku w niejednej chacie nie było chleba ani ziemniaków. Brak paszy, daleko od pastwiska, łąki przytem podmokłe. Zdarzają się krowy, których w ogóle nie opłaca się trzymać, dają po ocieleniu 2 do 4 litrów mleka dziennie.

Mówi się nieraz, i zresztą słusznie, że kultura rolna wsi zależy od gleby, odległości od miasta, warunków komunikacyjnych, umiejętności gospodarowania chłopów. W Podhorcach gleba dobra, do Hrubieszowa tylko 10 kilometrów, szosy wprawdzie nie ma, a drogi polne okropne, ale kursuje kolejka wąskotorowa, która ułatwia komunikację. Trzy pierwsze warunki spełnione. Jeśli zaś chodzi o umiejętność gospodarowania, to kukurydza plantowana tu od lat jedenastu mówi o pewnym postępie. W całej Polsce od dwu lat dopiero zaczęto propagować hodowlę kukurydzy na szeroką skalę. Wystarczy też porozmawiać z chłopami z Podhorzec, by przekonać się, że są oczytani, mają zdrowy sąd o wielu sprawach gospodarczych, stosunkowo duży zasób wiadomości — powinni nieźle gospodarować. Skąd więc bierze się taki paradoks: chłop o dość wysokim poziomie kulturalnym jest tak bardzo zacofany gospodarczo?

Ludzie przesiedleni z innych stron powoli i z trudem wrastali w nowy grunt. Trzeba przyznać, że jak dotąd niewiele zrobiono, by ten proces aklimatyzacji przyśpieszyć. Dotąd nie załatwiono sprawy regulacji gruntów, sprawy niesłychanie ważnej z punktu widzenia gospodarczego, bo każdy przyzna, że 5 ha w 18 rozrzuconych po całej okolicy zagonach to zaledwie nikła część wartości, jaką miałaby ta sama ziemia w jednym kawałku, skomasowana koło zabudowań.

Błędy polityki minionego okresu wytworzyły na wsi złą atmosferę nieufności w stosunku do władz.

Parę lat temu u Aldemana, jednego z gospodarzy Podhorzec, wymokło zboże. Rzeczywiście nie mógł on wywiązać się z obowiązkowych dostaw. Skierowano sprawę do prokuratora. Aldeman został aresztowany. W Podhorcach ludzie są solidarni — kilkunastu gospodarzy złożyło się. Oddano za niego składkowo zebrane zboże. Aldemana wypuszczono z więzienia, ale u wszystkich pozostał osad goryczy; dlaczego aresztowano człowieka, który naprawdę nie mógł wywiązać się z dostaw?

Aresztowania, jakie zdarzały się także parę lat temu po zebraniach w sprawie utworzenia spółdzielni, nie wytworzyły dla spółdzielczości przychylnej aury. Gorzej. Usposobiły ludność nieufnie i wrogo. — Nikogo nie wydam, — mówi chłop zapytany tylko o nazwiska plantatorów kukurydzy. — Mnie już pani zapisała. Przepadło. Ale nikogo więcej nie wydam. — Byle drobiazg budzi zadawnioną nieufność.

Dziś jeszcze, choć wszyscy przyznają, że lżej w tym roku niż w latach ubiegłych, że nie ma aresztowań, że wtedy, gdy to jest konieczne, odraczają terminy dostaw, atmosfera nieufności trwa nadal. — My wszystko robimy, co nam władza ludowa każe — mówią chłopi — tylko jak nas na zebraniu zapytają o coś, milczymy. Co mówić, kiedy nie wiadomo co wolno, czego nie wolno.

* * *

Teraz, kiedy segreguję wrażenia z dwukrotnego pobytu w Podhorcach, zdaje mi się, jakbym zamiast materiału do reportażu zebrała garść paradoksów. Kino na zapadłej wsi, ale — nieruchome, plantacje złotodajnej kukurydzy, ale nie wyzyskane, niskie zbiory na doskonałej glebie, chłopi, którzy potrafiliby dobrze gospodarować, ale...

Paradoksów hrubieszowskich nie rozetnie deus ex machina w postaci reportażu. Dużo tu pogmatwało się spraw trudnych i gorzkich. Teraz ten węzeł trzeba cierpliwie rozsupływać. Odrabiać stare błędy, przełamywać często usprawiedliwioną nieufność, a przede wszystkim zdać sobie jasno sprawę z tego, jak nawarstwiały się wszystkie trudności po to, by wiedzieć, jak je rozplątać.

Maria Szczepowska

Marian Narcyz Listowski

W PUŁAWACH WIECZOREM

Widziałeś Puławy wieczorem, nim zasną?
Światła w oknach gasną jakże wcześnie.
Drzewa dłonie uniosły ku gwiazdom,
Wisła gwiazdy miękką falą pieści.

Była cisza. Tylko nad mgłą i na rzece
wschodził księżyc jak srebrny rogalik.
Brzeg brzegowi podał mostu ręce.
W park instytut otulił się w dali.

My poeci — marzeń architekci
budujemy przystań, światła, miasto,
bo w Puławach-miasteczku bez treści
jest nam dzisiaj stanowczo za ciasno.

Marian Narcyz Listowski

Helena Platta

NA PODZAMCZU

Nad estradą łopotały rękawy —
niby gęsi stadem lecące,
dołem — krzczonowskie spódnice dreptały
w muzycznej łące.

Dzieci wieńcem: polna wiązanka,
taniec — rytmem wiązał ich dłonie.
Pochyliło ku nim rumianą twarz Podzamcze
w stylowym robronie.

Zboczem Zamku biegły schody
krajkami trawników ujęte —
toczyły się po nich piłką wieczory młode,
roztańczone lubelskim świętem.

Helena Platta



Zofia Alicja Rulewska

KRAŚNIK FABRYCZNY — MIASTO EKSPERYMENTÓW

Kraśnik Fabryczny. Ta prozaiczna nazwa nasuwa natrętną myśl o szablonie i wulgarnej typowości. Ale myliłby się ktoś, gdyby przypuszczał, że miasto nowoczesnych bloków mieszkalnych i młodych ludzi jest pozbawione charakteru. Charakter ten kształtuje niespodzianka kryjąca się niemal na każdym kroku i zmuszająca do zastanowienia się nad pewnymi szczegółami, które w wielu przypadkach uchodzą tam za zjawiska normalne. I chociaż Kraśnik jest jednym z najmłodszych miast na terenie województwa lubelskiego, posiada już on swoją historię, a dzieje samego tylko Zakładowego Domu Kultury skłaniają do refleksji na temat tajemnicy nonsensowych eksperymentów, jakim go poddawano w czasie zaledwie kilku lat.

W nowym mieście straszy...

— Nie, nie mogę... — człowiek w granatowym, nieprzemakalnym płaszczu zatrzepotał powiekami i wpatrzył się w połyskliwą ciecz czarnej kawy.

W niebieskiej salce kawiarni zapanowała na chwilę cisza, tylko z mrocznego kąta, w którym dyskretnie kryje się bufet, wybiegają dwie pary zaciekawionych spojrzeń i przyciszony szept:

— Powiem, powiem. Niech tak nie robią...

Z góry spadają nagle mocne, rytmiczne uderzenia.

— Co to takiego?

— To próba zespołu — wyjaśnia człowiek wtulony w granatowy płaszcz i nieśmiało miesza łyżeczką w małej filiżance.

— To ten zespół, który w ubiegłym roku brał udział w Festiwalu?

— Eee... nie. Tamten rozleciał się.

— Dlaczego?

Smutne oczy człowieka w nieprzemakalnym płaszczu nabierają wyrazu czujności.

— Nie, ja nic nie wiem. Może kto inny powie...

Przenosi spojrzenie na okna i ściany. Szuka dla oczu oparcia. Wreszcie je zatrzymuje na startej i pogiętej obrączce. Zdecydowanym ruchem unosi twarz.

— Ja mama żonę i dwoje dzieci. Może kto inny, bo ja nie mogę...

— No a cóż ma wspólnego pańska rodzina z naszą rozmową?

— Och, pani nie wie. Pani wyjedzie stąd, a ja zostanę. Gdyby dowiedzieli się, że ja powiedziałem — wyrzucą mnie z pracy.

Milknie nagle i wylękłe spojrzenie kryje pod powiekami. Boi się. Za dużo już powiedział. Szara twarz z nieogolonym podbródkiem pochyla się nad blatem stolika.

Podchodzę do bufetu po papierosy. Dwie pary oczu patrzą na mnie zaciekawione.

— Pani wie, dzisiaj miał być tutaj dancing, ale nie będzie, bo orkiestra, chociaż podpisała umowę, poszła grać na zabawę — mówi kierowniczka kawiarni.

— A wszystek towar, który mamy zakupiony na dzisiejszy wieczór, zmarnuje się nam, bo ludzie nie przyjdą, jak nie będzie orkiestry — dodaje kelnerka.

— A co na to kierownik zespołu?

Dwie pary oczu umykają nagle.

— My nie wiemy...

Usiłuję jeszcze dowiedzieć się czegośkolwiek na ten temat, ale na próżno.

Nie łatwo rozmawia się z ludźmi w Kraśniku Fabrycznym. Przeprowadziłam wiele rozmów i prawie zawsze słyszałam na początku zdanie:

— Nie, nie. Ja mam rodzinę na utrzymaniu...

Jeżeli nawet ktoś ośmielił się rzucić jakąś myśl, to w momencie, gdy zaczynałam pytać o szczegóły poruszonej sprawy, rozmówca cofał się, pragnął niejako zaprzeczyć temu, co mówił przed chwilą.

Tak zaczynały się niemal wszystkie rozmowy.

Ta dziwna psychoza lęku zastanowiła mnie i sprowokowała do wniknięcia, co jest jej przyczyną.

Dopiero gdy miałam już za sobą kilka dni pobytu i iks przeprowadzonych rozmów, wyjaśniło się, że w Kraśniku Fabrycznym straszy flikierszczyzna.

Prawdopodobnie nikt prócz mieszkańców tego miasta nie wie, co oznacza ten termin.

— To od nazwiska dawnego dyrektora fabryki — wyjaśnia pewien robotnik, który pracuje w zakładzie od 1948 r.

— Obecnie przecież jest nowy dyrektor.

— Tak, ale ludzie pamiętają, jak to tamten bił po twarzy i wyrzucał z pracy za byle co. Boją się jeszcze teraz, bo każdy tutaj uzależniony jest przecież od zakładu, a gdy go wyrzucą, dokąd pójdzie, jak nie ma wyuczonego zawodu? Tutaj ma zarobek i ładne mieszkanie.

— To tezy dwudziestego zjazdu nie dotarły tutaj?

— Tak, ale... — chwilę waha się, potem dodaje: — Ludzie są zastraszeni, choć wszystko aż gotuje się. Każdy mówi, ale tak po cichu, w grupkach zaufanych ludzi.

Trudno zaczyna się rozmowę z ludźmi w Kraśniku Fabrycznym, lecz gdy pozyska się ich zaufanie, z opowiadań i wspomnień powstaje obraz życia codziennego, historia nieprzemyślanych decyzji i nonsensowych eksperymentów.

Zakopane kolumny i korkowe obcasy

Na dużym placu przed Zakładowym Domem Kultury, zaniedbanym jak wszystkie ulice i trawniki w całym mieście, leży kawał żelbetonowej kolumny. Z szarego pyłu ziemi wystaje kikut z porwanymi metalowymi prętami. Żałosny szczątek czegoś, co kiedyś stanowiło całość i niewątpliwie było elementem dekoracyjnym jakiejś budowli.

Cóż tu takiego zaszło? Jaki kataklizm powalił tę kolumnę na ziemię i dlaczego leży zakopana na tym placu?

Naoczni świadkowie opowiadają przedziwną historię szarego gmachu o niesympatycznej frontowej ścianie.

Kilka lat temu Zakładowy Dom Kultury wyglądał zupełnie inaczej niż obecnie. Wejście frontowe znajdowało się od strony ulicy, a nie jak teraz, od strony placu. Gmach zdobiły kolumny. Pewnego dnia zjawili się ludzie, którzy zaczęli przebudowę według projektu opracowango przez czynniki odgórne, jak to się wówczas mówiło. Zaczęto od kolumnady. Co z nią zrobić? Jest nie do zdobycia. Ktoś zaproponował, aby użyć dynamitu, ale nie znalazł się nikt, kto by ryzykował zburzenie całego budynku w wypadku użycia tego właśnie środka. Po długich debatach usunięto wreszcie kolumny mniej hałaśliwym i ryzykownym sposobem. Spiłowano je. Co z nimi zrobić? Ano, chyba zakopać, bo po co mają przeszkadzać.

Obecnie zdania co do dalszego losu owych żelbetonowych kolumn są podzielone. Jedni powiadają, że leżą sobie w ziemi, inni natomiast, że przydały się kilku okolicznym chłopom do budowy fundamentów. Faktem jest jednak, że żałosny kikut, szczątek dawnej świetności, leży na zaniedbanym placu świadcząc ludziom o prawdziwości historii, która dzisiaj brzmi jak legenda, podobnie, jak sprawa korkowej izolacji na dachu tego samego gmachu.

W okresie, kiedy na rynku krajowym odczuwało się szczególny brak korka, kiedy leki i spirytus korkowało sie papierem, w Kraśniku Fabrycznym, w związku z przebudową Domu Kultury postanowiono zdjąć z dachu izolację grubości około dziesięciu centymetrów. Ale nie znalazł się nikt z czynników odpowiedzialnych za sprawy gospodarcze, kto by przekazał ów korek do przeróbki jako surowiec wtórny. Za to szewcy, nawet z Lublina, przyjeżdżali wozami po korek, który zabierali nieodpłatnie. Niejedna lubelska elegantka chodziła w pantofelkach na korkowym obcasie z dachu kraśnickiego Domu Kultury.

Obie te historie, chociaż noszą w tej chwili charakter podania i owiane są mgiełką nieprawdopodobieństwa, świadczą niestety o całkowitym braku odpowiedzialności za to, co wówczas robiło się z tym gmachem.

Eksperyment pod hasłem socjalistycznej przebudowy

Zaczęła się przebudowa. Frontowe wejście zastąpiła odpychająca frontowa ściana. Reprezentacyjny hall i galeria wiodąca do dobudowanego dodatkowo skrzydła zmniejszyła salę widowiskową z blisko tysiąca miejsc na około sześćset. Pomysł to...

Ale opiszę swoją wędrówkę po Domu Kultury.

W sali widowiskowej odbywają się projekcje miejscowego kina. Idę więc na poszukiwanie wejścia do kabiny. Niestety, nie mogę go znaleźć. Moja samodzielność i rzekomy zmysł obserwacyjny zawodzą całkowicie. Nie mam innego sposobu, tylko muszę prosić o pomoc kogoś z miejscowych, wtajemniczonych ludzi. Okazuje się, że jest takie wąziutkie wejście do kabiny na piętro, ale w wypadku pożaru nie łatwo będzie można się stamtąd wydostać. Projektant, niestety, zapomniał zupełnie o zapasowym wyjściu, podobnie, jak o pewnym, zdawałoby się nieistotnym szczególe, którego brak w przykry sposób daje się we znaki pracującym tutaj ludziom. Wentylacja. Zaduch i upał w pomieszczeniach jest trudny do zniesienia, tym bardziej, że uruchomione dwa aparaty projekcyjne podnoszą zwykłą temperaturę. O bezpieczeństwie i zdrowiu ludzkim projektant zapomniał.

Z hallu wchodzę do otwartej o tej porze sali widowiskowej. Chwilę zatrzymuję się przy ciężkich, dębowych drzwiach wejściowych i znowu zastanawiam się, tak jak niemal na każdym kroku w tym mieście. Dlaczego drzwi otwierają się do wewnątrz? Prawdopodobnie pozostanie to tajemnicą projektanta, bo logika, nawet człowieka nie znającego podstawowych zasad bezpieczeństwa, musi podszepnąć pytanie: a co w przypadku pożaru?

— Czy pani kogo szuka? — pyta sprzątaczka.

— Nie, chcę tylko obejrzeć salę — odpowiadam.

Kobieta patrzy na mnie nie bardzo rozumiejąc, ale uśmiecha się sympatycznie, co upoważnia mnie do dalszej rozmowy i podejścia w stronę sceny.

— Ładny macie ten Dom Kultury — zaczynam.

— Może i ładny, ale też ładne pieniądze na niego idą — wzdycha opierając się na kiju od szczotki.

— Tak, a na co?

— Ot, choćby na tę podłogę na przykład. Ta to już jest czwarta. Ile razy położono nową, zawsze okazało się później, że nie jest dobra...

Na początku więc podłoga była równa. Przeszkadzało to publiczności w oglądaniu spektakli. Słusznie postanowiono zmienić ją. Drugą położono systemem schodowym. Okazało się, że to także źle. Zerwano. Położono pochylną, jak to jest we wszystkich salach tego typu. Coś tam znowu nie było dobrze. Położono czwartą, parkietową.Cóż, kiedy wydobywa się spod niej smoła...

— Na pewno znajdą się fundusze na piątą podłogę, — mówi trochę złośliwie pewien młody człowiek, z którym tego samego dnia wieczorem dyskutowałam na ten temat.

Sala sprawia niesympatyczne, ponure wrażenie. Bez ozdób, bez jakichkolwiek elementów przyjemnych dla oka.

W stolarni, mieszczącej się za kulisami, spotykam pracownika Domu Kultury. Ociągając się idzie za mną i niechętnie odpowiada na moje pytania. Wiem już co to znaczy: „Mam rodzinę na utrzymaniu, może kto inny powiedziałby..." Ale nie zrażam się. Wypytuję o każdy szczegół. Zainteresował mnie nawet zwykły ekran kinowy. Właściwie źle się wyraziłam, gdyż ten ekran nie jest zwykły. Na ramie z metalowych rur rozpięte białe płótno. Wszystko w porządku, ale do czego służy ta korbka?

— Do podnoszenia ekranu, jeśli na scenie ma odbyć się impreza.

— Aha, a na projekcję opuszcza się go także za pomocą tej korbki? — podpowiadam domyślnie.

— Ażeby zabezpieczyć utrzymanie ekranu w górze, korbę przywiązuje się sznurkiem, — wyjaśnia dalej pracownik Domu Kultury.

Przyglądam się lince, na której jest umocowany ekran. Jest niepokojąco cienka i w niektórych miejscach poszczególne druciki są poprzerywane.

Nad głowami osób, które pracują na tej scenie, wisi, jak miecz Damoklesa, niebezpieczeństwo w postaci żelaznych ram ekranu.

— Tyle lat już tak jest... Może się nic nie stanie... — mówi mój rozmówca bez przekonania.

W tej chwili zaciekawia mnie jakieś olbrzymie rusztowanie z piętrowymi kabinami, które opancerzają płyty. Całość wykonana z żelaza.

— Tutaj będzie zainstalowany autotransformator, a w tej kabinie będzie pracować operator...

Trudno sobie wyobrazić występy wśród huku aparatury świetlnej zainstalowanej na scenie zamiast w piwnicy, a jeszcze trudniej pracę operatora w żelaznej kabinie będącej najlepszym przewodnikiem prądu, nie mówiąc już o ewentualnych wypadkach, jeśli ktoś choćby zbliży się do rusztowania.

— A jak to żelastwo jest umocowane?

— Stoi na podłodze sceny. Z prawej strony umocowane jest dobrze. Ma oparcie. Ale z lewej opiera się tylko na podłodze.

No, no, ależ to wspaniałe! Obliczyć wytrzymałość cienkiej sceny tak, aby nie było niebezpieczeństwa, to naprawdę warte podziwu. Tylko czy to naprawdę jest takie pewne?

— Urządzenia sceniczne są jeszcze niewykończone, — mówi mój cicerone. — Tutaj będzie jeszcze zainstalowane oramowanie, aby można było podciągać na linach stałe dekoracje. To będzie wspaniałe, gdyż zyska się na czasie. Ale... nie bardzo rozumiem, jak będzie się wprowadzać na scenę duże elementy dekoracji, gdy z obu stron scena będzie odgrodzona olinowaniem...

Istotnie. Bardzo trudno zrozumieć to wszystko.

X eksperymentów plus żelazna kurtyna = miliony złotych.

Jest. Tony żelaznego rusztowania i karbowana blacha. Wszystko to oparte o ściany kulis, groźnie przyczajone w mroku. Żelazna kurtyna. Jeden więcej nonsens, jeden więcej eksperyment pod hasłem socjalistycznej przebudowy Domu Kultury w Kraśniku Fabrycznym. Legendarna żelazna kurtyna, której mit krąży już nie tylko w województwie lubelskim, ale także w całym kraju.

— Jeżeli ją zainstalują, nie wytrzyma tego ciężaru żelbetowy strop, — mówi pracownik Domu Kultury.

— Więc co z tym żelastwem będzie?

— Szmelc... — wzrusza ramionami.

Ale czy szmelc ów nie jest zbyt kosztowny, tym bardziej, że na scenie są przewody przewidziane na zainstalowanie kurtyny wodnej? Urządzenie automatycznego hydrantu i doprowadzenie wody jest mniej kosztowne i bardziej nowoczesne, aniżeli sprawienie żelaznej kurtyny po to tylko, aby stała bezużytecznie oparta o ścianę i niepotrzebnie zajmowała miejsce.

Postanowiłam w jakiś sposób dowiedzieć się, jakie są koszty tego całego urządzenia scenicznego. Udało mi się na podstawie wiarygodnych pism odtworzyć częściowo przynajmniej historię kosztownej zabawy w żelazną kurtynę.

Na konferencji w dniu 28.V.1953 r. u Wicepremiera H. Minca, dyrektor Kraśnickiej Fabryki Wyrobów Metalowych poruszył między innymi sprawę Domu Kultury. Postanowiono, że Ministerstwo Przemysłu Maszynowego ustali instytucję odpowiedzialną za zagospodarowanie i eksploatację Domu Kultury, zapewni użytkownikowi środki na nabycie urządzeń scenicznych i zobowiąże go do wydania zaleceń i przeprowadzenia inwestycji wewnętrznej.

W rezultacie owej konferencji w IV kw. 1953 r. przyznano użytkownikowi D.K. na cele inwestycyjne 600.000 zł., których nie wykorzystano, ponieważ w tak krótkim terminie nie można było znaleźć wykonawcy. W 1954 r. Lubelskie Zakłady Mechaniczne podjęły się wykonawstwa owej żelaznej kurtyny przedkładając kosztorys opiewający na sumę 800.000 zł. Kosztorys natomiast na wykonanie urządzeń elektrycznych kształtował się sumą 700.000 zł, instalacja ich — 200.000 zł. Całkowite więc wykonanie urządzeń scenicznych według kosztorysu wynosi 1.700.000 zł.

Dziś ludzie potykają się o te miliony klnąc w mroku kulis.

Jak wędrują dalsze miliony.

— Co oni robili najlepszego, toż to miliony szły w błoto. Przebudowują, poprawiają, a nic nie widać w tym gmachu. Nawet porządnej sali, w której można by urządzić zabawę, nie ma. Kiedyś zwracałem uwagę na niewłaściwe wydatkowanie kredytów, a przede wszystkim na to, że to, co przerabiają lub przebudowują, jest złe, gdyż pomyślane bez głowy i po pewnym czasie rozleci się. W odpowiedzi na to usłyszałem: „Co to mnie obchodzi? Dopóki tu jestem, wszystko się trzyma, a gdy wyjadę, to niech się wali". I rzeczywiście, po jego wyjeździe dobudowane skrzydło zaczyna już odpadać, proszę spojrzeć... — mówi pan Z.

Istotnie, na ścianie rysuje się niepokojące pęknięcie.

— A dlaczego ten cały gmach pozbawiony jest ozdób? Jakichś płaskorzeźb, czy rozet?

— To także ciekawa historia. Pewien plastyk miejscowy zaproponował wykonanie dekoracji gipsowych żądając za nie 6.000 zł. Kierownictwo jednak nie zgodziło się na to. Sprowadzono więc plastyków z Warszawy, którzy wykonali dekoracje z papieroplastyki pobierając za to około 20.000 zł. Po upływie kilku miesięcy ozdoby te zdjęto. W tej chwili leżą one w piwnicy.

Fakty, nagie fakty zalewają swoją wymową. Niektóre drobne i zdawałoby się mniej ważne, bo nie ma w nich mowy o milionach. Jednak te niby drobiazgi składają się na wielkie sumy, których brak odczuwa się na innych odcinkach życia kulturalnego w naszym kraju. I gdyby tak zliczyć te wszystkie mniejsze wydatki, bardziej lub mniej celowe, nagromadziłyby się sumy sięgające milionów. Wiele ich poszło na marne.

Ponieważ budżet Domu Kultury składa się z dochodów własnych i dotacji Rady Zakładowej oraz Zakładu, trudno połapać się w tym chaosie. Dopiero nowy kierownik wprowadził zwyczaj inwentaryzacji, gdyż dotychczas nikt nigdy nie spisywał inwentarza. Nikt jakoś o tym nie myślał, nie było żadnej ewidencji, żadnych kartotek. Po ostatnim spisie wartość rzeczy znajdujących się w samym tylko magazynie oceniona została na około 600.000 zł. Ale gdy zobaczyłam magazyn, zorientowałam się, że i tu nie jest jeszcze wszystko w najlepszym porządku, ponieważ magazynierka zbyt słabo umie pisać, a do magazynu ma wstęp każdy. Wydaje się konieczne roztoczenie większej opieki nad magazynem, gdyż na straży własności społecznej, jaką stanowią stroje i materiały wszelkiego rodzaju, winni stać przede wszystkim sami pracownicy D.K. Dobry kierownik gospodarczy nie dopuściłby do tego, by ktoś porzucił całą belę firan w kabinie projekcyjnej nie wiadomo w jakim celu, podobnie, jak nie doszłoby do wypalenia papierosem dwóch klawiszy i wyrwania trzech młotków w nowym pianinie.

Z Hikmetem na ty

Długo w noc, w oknie gabinetu kierownika Domu Kultury, świeci światło. Firanka nie zdoła całkowicie przyćmić blasku. Za biurkiem siedzi młody człowiek i energicznym ruchem ręki przesuwa po jasnych włosach. Jest wyraźnie zmęczony. Na chwilę przymyka oczy. Ale kiedy otwiera je znowu, nie widać już zmęczenia. Patrzy na nas z ożywieniem. Nagle pozostawia nas same i wychodzi sprawdzić, czy wszystko pozamykane.

Młoda kobieta siedząca naprzeciw mnie spokojnie opowiada o pracy zespołów. Potwierdza to wszystko, co mi już opowiadano i to, co zdołałam zauważyć sama.

Jeszcze w ubiegłym roku Kraśnicki Zespół Pieśni i Tańca brał udział w Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie. Ale zaledwie rok minął od tego czasu, a po zespole pozostały tylko stroje i to zdekompletowane. Dlaczego się ten zespół rozpłynął?

Według opinii niektórych mieszkańców miasta doszedł już do szczytu swoich możliwości i musiał się rozpaść, ponieważ nastawiony był na efekt. W momencie, gdy powrócił z Festiwalu, zabrakło bodźca do dalszej pracy. Inni natomiast twierdzą, że nie mógł istnieć, gdyż kierownik zespołu nie prowadził żadnej pracy wychowawczej, a nawet wręcz przeciwnie. Oddziaływał destrukcyjnie na członków zespołu. W tej chwili jednak organizuje się nowy zespół i wielu byłych członków powraca.

Dobrze zorganizowane są dwa zespoły teatralne oraz praca na odcinku dziecięcym.

Jeszcze w Lublinie dowiedziałam się, że kraśnicki teatr wystawia sztukę Nazima Hikmeta pt. „Legenda o miłości". Byłam zaskoczona tym, że właśnie zespół amatorski ją opracował. Szkoda, że nie mogłam obejrzeć jej na scenie. Być może zmieniłabym zdanie. Jednak nie wydaje mi się słuszne, aby amatorzy, którzy przecież operują bardzo szczupłymi środkami, mogli wystawiać podobne rzeczy. Rozumiem i doceniam ogromny wysiłek kierownictwa i zespołu, lecz sądzę, że dobór repertuaru winien być rozpatrywany pod kątem środowiska. A więc odbiorcy i możliwości wykonawczych, a nie tylko w celu zaspokojenia nie zawsze słusznych ambicji. Ważny jest prawdopodobnie fakt, że reżyserka potrafiła znaleźć drogę do młodzieży i wydobyć w czasie siedmiomiesięcznych prób najbardziej wartościowe cechy współżycia zespołowego, koleżeństwo. Ale czy z Hikmetem na „ty" to trochę nie za wcześnie?

Opinia społeczeństwa kraśnickiego jest zgodna co do jednego: taki rodzaj sztuki nie jest na nasz teren. Dlaczego? Przecież widza należy wychować i poprzez dobre sztuki podciągnąć go na jak najwyższy poziom. Kraśniczanie jednak nie przyjęli sztuki w należyty sposób. Twierdzą zgodnie, że jest niemoralna. (!)

Długo dyskutowaliśmy na ten temat. Spytałam wreszcie, jak widz tutejszy przyjmuje występy organizowane przez PPIE.

— Nasz widz jednak doskonale odróżnia imprezy dobre od złych. Nie da się okpić. Bywały wypadki, że widownia żywo reagowała na marne składanki — mówi kierownik Czaczkowski.

— Jak na przykład?

— Różnie. Tupaniem, gwizdem, nawet wyjściem... Ale gdy dają dobry program, widz jest pełen uznania.

Jest jeszcze jedno zagadnienie, o którym muszę wspomnieć, ponieważ w dużej mierze jest to osiągnięciem Domu Kultury.

W Kraśniku Fabrycznym nie ma miejsca dla chuligaństwa wśród młodzieży. Są natomiast ludzie mocni, uparci i ofiarni. Nie rzadko — to zapaleńcy.

Przez szereg wieczorów widziałam jasną czupryną chłopca niestrudzenie ćwiczącego na akordeonie, widziałam roześmiane oczy dziewcząt i chłopców na próbie chóru, słyszałam liczne uderzenia stóp zespołu tanecznego, podziwiałam temperament dwóch zespołów jazzowych, wpatrywałam się w roześmiane oczy reżyserki „Legendy" Hikmeta, wyławiałam zatroskane i może dlatego trochę kłótliwe słowa kierownika artystycznego i obserwowałam energiczne ruchy kierownika D.K., wzruszało mnie światło w oknie jego gabinetu, gdy długo w noc przesiewało się poprzez firanki na uśpiony plac.

Ci wszyscy ludzie pracują tak, jak im nakazuje serce, bo Kraśnik Fabryczny może porwać tętnem wszystkich przemian, jakie zachodzą na każdym odcinku życia. Lata hasła przebudowy za wszelką cenę są już poza nimi.

Zofia Alicja Rulewska

Zofia Wyrwa

LUBARTOWSKIE SKARBY

Jeżeli ktoś przejeżdża przez Lubartów od strony Lublina, jak zwykle w małym miasteczku, zatrzymuje wzrok na okazalszych budynkach. A więc naprzeciw szarego gmachu Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, kościół Kapucynów, tuż za nieciekawym rynkiem z chrypiącym głośnikiem, apteką i „kocimi łbami", znowu kościół parafialny. Białe wieże wymykają się w górę spośród ciemnej zieleni starych drzew.

Właściwie można by powiedzieć, że tutaj kończy się miasto, gdyż przed oczyma otwiera się pusta przestrzeń. Kawał ziemi porosły trawą. Lecz w głębi wyłania się okazały gmach rozjaśniony w słońcu czerwienią dachówki, na którym kominy, postawione jak nowiutkie dziecinne klocki, rzucają się w oczy zbielałym tynkiem. Tylko otwory okien i drzwi zieją pustką bez ram i szyb. Przeświecają przez nie gałęzie drzew i krzewów rosnących w parku, z drugiej strony budynku.

Jednak myliłby się ktoś, ktoby przypuszczał, że skoro położono nowy dach, to wewnątrz wre praca.

Cicho tutaj. Tak cicho, że własne kroki, przytłumione nieskoszoną, bujną trawą, wydają się zbyt głośne. Nawet ptaków nie słychać, choć park zadrzewiony jest starymi klonami, olchami i modrzewiem. Może dlatego nie ćwierkają, że jest upalny, duszny dzień, a może uleciały stąd...

Opadający tynk odsłonił miejscami nagie, czerwone bryzgi cegieł. „Wstęp zabroniony" głosi napis na niewielkiej, białej tabliczce przybitej do muru. Jakoś mimo woli nasuwa się myśl o tamtych dniach, gdy była tu siedziba Sanguszków.

Wtedy także wstęp był wzbroniony dla prostych ludzi. Wchodzili tu chyba po to, by właścicielom pałacu oddać swe usługi.

Nie można przejechać przez Lubartów nie widząc tego pięknego zabytku, którego odbudowa ciągnie się już lata całe. Co tutaj będzie, gdy już definitywnie gmach zostanie oddany do użytku?

Był projekt, by przekazać go Wydziałowi Zdrowia w celu urządzenia w nim szpitala, był znowu inny, aby stał się siedzibą rady narodowej. A przecież Lubartów nie posiada skarbca, w którym można by gromadzić bogate i cenne zbiory regionalnej kultury i sztuki ludowej. Ziemia lubartowska obfituje w nie

podobnie, jak zamojska czy biłgorajska, ale dopiero w ubiegłym roku, w sierpniu, powstała Komisja Miłośników Historii Lubartowa zainicjowana przez kilka osób, które pragnęły ująć swe zainteresowania historyczno-regionalne we właściwe formy.

Niestrudzony szperacz skarbów kultury lubartowskiej Zdzisław Ligenza, przebywając w różnych miejscowościach powiatu z racji swej pracy zawodowej, cierpliwie poszukuje nawet skorupek — wiedząc, że stanowią one niejednokrotnie cenne okazy ceramiki. Gdy zebrał już pokaźną ilość ciekawych drobiazgów zainteresował nimi miejscowe grono nauczycielskie. Zwrócono się do prof. L. Halbana, znanego działacza Polskiego Towarzystwa Historycznego, który na sierpniowym zebraniu organizacyjnym Komisji, udzielił między innymi cennych wskazówek na temat konserwacji zabytków.

Praca nabrała rozmachu. Skarby ziemi lubartowskiej powoli przechodzą w ręce Komisji, która po ocenie przez znawców w Lublinie, pieczołowicie segreguje je i ...magazynuje. W tej chwili Komisja posiada już około tysiąca eksponatów starannie opakowanych i złożonych bądź w prywatnym mieszkaniu p. Ligenzy, bądź też w szkolnej szafie Karola Skarucha.

— Gdybyśmy mieli chociaż jeden pokój... — marzy głośno mój rozmówca p. J. Lulek — Przecież pragniemy założyć Muzeum Ziemi Lubartowskiej...

Muzeum!

Firlejowskie garncarstwo, wycinanki Dobrzyńskiego, rozkopaczewskie pisanki, stroje lubartowskie, dokumenty, teksty piosenek ludowych i opowiadań. Nie sposób tu wyliczyć w odpowiedniej kolejności wszystkich działów, które obejmą dorobek kulturalny i historię regionu. Jest tego bardzo dużo. Niektóre działy są już reprezentowane przez zebrane eksponaty.

— Ze skarbu odkrytego w Kaznowie udało nam się uzyskać dwie monety — mówi p. Skaruch.

Cieniutkie, srebrne blaszki wzbogacą ciekawy dział numizmatyczny.

Ale praca Komisji nie polega jedynie na zbieraniu. W wyniku rozpisanego konkursu na najpiękniejsze pisanki wpłynęło ich około czterysta z różnych miejscowości powiatu. W konkursie wzięli udział ludzie w różnym wieku. Od ośmiu lat do siedemdziesięciu. Gdy w maju urządzono wystawę pisanek, cieszyła się bardzo dużym zainteresowaniem społeczeństwa. Dziesięć pisanek zostało nagrodzonych, a trzydzieści dwie zakwalifikowano do przyszłego muzeum.

Praca Komisji polega także na wszczepianiu w społeczeństwo zamiłowania i szacunku do zabytków, znalezisk, do całego dorobku kultury ludowej i historii ziemi lubartowskiej.

Wystawa znakomicie posłużyła do tego celu.

To dopiero początek pracy Komisji, która ma ambitne plany na przyszłość. Ciekawy jest plan konserwacji zabytków w Zawieprzycach i opracowanie na podstawie zebranych oryginałów wzorów pięknych strojów ludowych dla regionalnych zespołów artystycznych.

— Gdybyśmy tylko mieli pomieszczenie na muzeum, wystawy, odczyty i pracę zespołów... — myśli znowu głośno p. Lulek.

Lubartowskie skarby tkwiące w szafach lub w ziemi i przyprószone pyłem czasu należy wydobyć na światło dzienne i oddać społeczeństwu, które wieki całe pracowało na ich piękno i wielkość. A do pałacu Sanguszków, po oddaniu go do użytku, należy szeroko otworzyć drzwi, by każdy miał tam wstęp wolny, by stał się prawdziwym domem kultury lubartowskiej.

Zofia Wyrwa



ZAJRZYJMY DO „EMPIKU"

Szerokie witryny pełne zdjęć Cafu (Centralnej Agencji Fotograficznej) zdobią go od ulicy. A wewnątrz?

Chciałam przejrzeć nowości francuskie, którymi szczególnie się interesuję. W księgarni — kilka tytułów nienajnowszych zresztą. Oto A. Wurmsera „Denise retrouvée", A. Stila „Paris avec nous". Z popularno-naukowych: „Le vol dans l'espace cosmique" A. Sternfelda.

W czytelni Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki nad pismem „Regards" zastałam Marka, długonogiego, chudego studenta Wyższej Szkoły Rolniczej. Ma dwadzieścia lat. Jest na drugim roku studiów. Wpada często do klubu przejrzeć pisma i tu zaprzyjaźniliśmy się na przelotnych pogawędkach. W ogóle ostatnio widuję tu najwięcej młodzieży i to przeważnie ze Szkoły Rolniczej, której dziekanat i sekretariaty mieszczą się blisko przy ul. Osterwy. „Empik" zajmuje dwie niewielkie, wygodnie urządzone sale: parterową i na piętrze. Marek, syn nauczyciela spod Lubartowa, spędzając tu przerwę w wykładach, chętnie bierze do ręki francuskie pisma, choć w „ogólniaku" puławskim uczył się tylko niemieckiego.

Zajrzałam mu przez ramię:

— Co czytasz, Marku?

— Czytam? Przeglądam i „Ogoniok“ i „Daily Worker“, „Volkstimme“ i „Vorwärts“. To tak przyjemnie, gdy ludzie myślą, że znam kilka języków. Ale popatrz na zdjęcia z Algeru.

Wzięłam mu z ręki czasopismo, a na jednej z przerzucanych stron spostrzegłam kilka nazwisk polskich. Były to listy czytelników z Warszawy, Wrocławia, Szczecina.

„W dwa dni po ukazaniu się u nas Waszego żurnalu — pisze Guy Witkowski z Warszawy w nr 404 „Regards“ — nie można już go dostać nawet w centralnych księgarniach stolicy. Stąd wniosek, że cieszy się u nas wielką poczytnością i należałoby zwiększyć porcję przesyłki tego pisma dla Polski“.

A mój wniosek nasunął się pytaniem: czy Kluby Międzynarodowej Książki i Prasy spełniają swoje zadania popularyzacji międzynarodowej prasy, ułatwiają wielu ludziom wyrobienie własnego spojrzenia na sprawy polityczne, ogólnoludzkie, światopoglądowe?

Przez szybę wystawową „Empiku“ zobaczyć można szeroki widokrąg świata: „Le Monde“.

Czasopisma, dzienniki polskie i obce, odczyty, prelekcje, koncerty, recytacje artystów, dyskusje.

Klub współpracuje najczęściej z takimi instytucjami jak Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, Towarzystwo Przyrodnicze im. Kopernika, z Zakładami Zoologii i Historii UMCS, z Biblioteką Wojewódzką i Miejską, Wydziałem Kultury WRN, z teatrem im. Osterwy, z literatami.

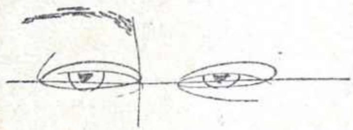
Impreza na uczczenie przyjaźni czesko-polskiej z prelekcją Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, wieczór autorski Marii Bechczyc-Rudnickiej z dyskusją nad jej dwoma interesującymi nowelami. Wieczór liryki miłosnej w recytacjach aktorów, wieczór poświęcony twórczości Dostojewskiego, Mickiewicza, Schillera, Goethego, Heinego itd. Kilka filmów jak: „Sól ziemi“, „Zaczarowany kapelusz“. Kierownictwo Klubu pertraktuje też o przyjazd kilku wybitnych autorów z Warszawy.

Największą frekwencją cieszą się koncerty, w których występują przyjezdni artyści. Dwukrotnie grał Władysław Kędra. W marcu wystąpiła Nina Stokowska z utworami Glucka i Mozarta, J. Bereżyński oraz Paweł Lewicki, dawny lublinianin, który wykształcił tu kilkoro pianistów. Niewielu z nich na jego koncercie spotkało się w „Empiku“.

Odbywają się w Klubie też przeglądy kulturalne, prowadzone przez dziennikarzy ze „Sztandaru Ludu“ i „Życia lubelskiego“ oraz przeglądy wydarzeń międzynarodowych. Wieczorom literackim towarzyszą często występy Teatru. O atrakcyjności imprez, o żywotności Klubu świadczą tysiące słuchaczy.

Wszystko to jest dowodem faktu, że stary i nowy Lublin żywo garnie się do spraw i zagadnień obchodzących całą Polskę. Że istnieją tu warunki, by odzyskać ten zagubiony „poryw rewolucyjny“, o którym mówił Kott na ostatniej sesji Rady Kultury i Sztuki, to „przeświadczenie, że wszystko, co się dzieje, co robimy, ma służyć budowie przyszłego społeczeństwa, nie wielkiej historycznej abstrakcji, tylko człowiekowi“.

H. S.



Jeremi Królikowski

O PESYMIZMIE W SZTUCE

Wystawa dwudziestu trzech olejów średnich i większych rozmiarów artysty malarza Pakulskiego w Klubie Związku Pracowników Kultury i Stowarzyszeń Twórczych nie przeszła bez głębszego echa, a to choćby dlatego, że różniła się od poprzednich specyficznym ujęciem niektórych problemów ogólnospołecznych. I to właśnie zmusiło wszystkich do zajęcia stanowiska nie zawsze przychylnego dla takiego malarstwa, w którym niezbyt czytelna treść góruje nad stroną artystyczną.

Bolesny pesymizm Pakulskiego — myśliciela nie jest snobistyczną czy obiektywną rejestracją wypadków, lecz naturalną, a nawet spontaniczną wypowiedzią samego artysty, uzewnętrznieniem jego przeżyć z okresu wojennego, Powstania Warszawskiego, kiedy był świadkiem wypadków pełnych grozy i sam kilkakrotnie znajdował się w niebezpiecznej dla życia sytuacji.

Nagromadzone wrażenia nie mogły nie znaleźć wyrazu w twórczości artysty, który nie mógł przejść obojętnie wobec ważnych zagadnień społecznych. Interesuje go głównie człowiek. Przeżycia wojenne legły na duszy Pakulskiego gorzkim osadem. Przygnębiające obrazy przedstawiające rachityczne, zdegenerowane dzieci — są oskarżeniem wojennych czasów i przez to samo stają się wyraźnym protestem

przeciwko „duchowi Hiroszimy", przeciwko lękowi, panice i niepewności dnia. Wychudzona dziewczyna i siedzący chłopiec z tabliczką śmierci, „Gąsior", „Pogrzeb kapitalizmu" świadczą, że prawie każdy z obrazów Pakulskiego daje coraz to nową wersję pesymizmu, od czego nie jest wolna i „Dziewczyna z lalką", bodajże najlepszy artystycznie przykład tego pesymizmu. Ta przedwcześnie doświadczona wojną dziewczynka zamyka oczy nawet lalce, ażeby nie patrzyła na głupotę i okrucieństwo bestii ludzkiej. I nie ma ani jednego obrazu, gdzieby można było znaleźć świt, koniec nocy — „la fin de la nuit", jakiś promyk nadziei.

Ale temat może być tylko pretekstem do rozwinięcia własnej sztuki.



Droga

I oto ukazuje się słaba strona twórczości ucznia Kowarskiego, ucznia, który dość niewolniczo poszedł śladami swego profesora i który zamiast jędrnej sztuki dał monumentalną grafikę o stosunkowo skromnej treści artystycznej w rysunku, w inwencji kolorystycznej i kompozycyjnej, a w „Pogrzebie kapitalizmu" posunął się nawet do groteski.

Prawda psychologiczna tej satyry znajduje poparcie w brudnych kolorach, zielonym i czerwonym, i w niesamowitym nastroju tła. W całym obrazie artysta nie zamierzył wyraźnie postawić żadnego problemu malarskiego — przynajmniej nie ujawnił go w sposób zrozumiały — a sam rysunek, kompozycja, jakkolwiek przypomina „Pogrzeb św. Odylona", nie posiada w sobie tej wzniosłej treści artystycznej, jaką czuje się jednak w najlepszym, według mnie, obrazie „Dziewczyna z lalką".

Pesymistyczne spojrzenie na świat w sztuce nie jest nowe. Ostatnio najwięcej znany w tej dziedzinie jest Picasso, który dał tego wyraz, między innymi, w słynnych reportażach wojennych „Wojna", „Wojna i Pokój", „Rzeź na Korei", przedstawiając dramatyczne zmaganie się dobra ze złem, a nawet i chwilową przewagę zła w życiu.

Dlaczego nie wolno by było Pakulskiemu odpowiedzieć na pytania, które sam sobie zadaje, a z których większość nie jest błaha?

Ważne natomiast jest, jakimi środkami artysta wyraził ten pesymizm w swoich obrazach: czy jest to tylko włączenie się do ogólnego nurtu antywojennego, czy też można w nim odnaleźć wkład osobisty samego artysty, indywidualny, oryginalny, a więc i twórczy?

Przede wszystkim w przeciwieństwie do intensywności liturgicznych kolorów „Kobiety płaczącej", „Czaszki byka" Picassa, obrazy Pakulskiego cechuje ogólne stonowanie, nawet zatarcie ostrości dramatycznie przeciwstawiających się kolorów. Artysta unika wyrażenia swoich wizji w kolorach dysonansowych i jednocześnie dynamicznych, jak to uczynił hiszpański malarz. Lecz w obrazach autora „Gąsiora" i rysunek zatracił ostrość agresywną. Jedynie w „Kobiecie z pijawkami" kilka linii ukośnych pogłębia dramatyczne pomniejszenie człowieka na tle jego własnego tworzywa — miasta-więzienia — otoczonego nieskończonością brudnoszmaragdowych przestrzeni łąk.

Właśnie ten element nieokreślonej kolorystycznie ani liniowo płaszczyzny jest charakterystyczną cechą wyrażania pesymizmu w obrazach Pakulskiego.

Czysty, pełny, radosny kolor ziemi i ludzi nie wiązałby się z nastrojowymi scenami Pakulskiego. „Dymy znad Birkenau" rzuciły cień na ziemię: w postaciach figuralnych na obrazach artysty nie drga życie. Spopielałe maski wyrażają wprawdzie nastrój przygnębienia, ale z punktu widzenia malarskiego nic się tam nie dzieje. Natomiast więcej życia wprowadzają jego pejzaże i martwe natury. Na nich to dopiero widać próby śmielszego operowania kolorem w granicach skromnych, ale dostatecznie pokazujących zatajone zło wśród ludzi i w naturze.

W „Pejzażu z Majdanka", w „Gąsiorze", nie barwa, nie rysunek, nawet nie schematyczne martwe twarze wyrażają pesymizm, ale właśnie ta niezmierzona przestrzeń szaro-zgniłej łąki, tej nieludzkiej ziemi, na której artysta ledwie plamami zaznaczył stwory ludzkie kolorem trupiej czaszki bez wyrazu, bez duszy, bez krwi i czucia, a tylko mechanicznie wyobrażające to, co się nazywa człowiekiem.

Chociaż w twórczości artysty nie znajdujemy tego, co najchętniej chciałoby się widzieć w obrazie — poezji rzeczywistości, realnego piękna i wynikają-

cych z niego entuzjazmu, optymizmu, wiary w życie i w ludzi — niemniej jednak Pakulski dał ciekawe ujęcie pesymizmu, który trudno byłoby wyrazić w ładnej formie i w słodkich kolorach. Artysta wzbudził żywe zainteresowanie, zaciętą pasję krytyczną, zmusił do myślenia i do jaśniejszego rozumienia, czym jest i czym powinno być malarstwo i jaka jest jego funkcja w życiu codziennym jednostki i społeczeństwa.

Zastrzeżenia moje nie negują faktu, że tak jak w muzyce i w literaturze — artysta i w plastyce ma prawo wyrażać wszystko, co myśli i czuje.

Selekcja takiej a nie innej tematyki (jeżli w tym wypadku może być mowa o wyborze) nie zawsze jest możliwa. Najważniejsze jest to, czy forma ujęcia idzie w parze z treścią, bo one to głównie wywołują w nas twórcze i odtwórcze emocje. A tym większa jest wartość dzieła, im bogatsza jest różnorodność jego wpływu i działania na otoczenie.

Mam na myśli wpływ społecznie konstruktywny.

Jeremi Królikowski

Irena Iskrzycka

CZEMU SIĘ O TYM NIE PISZE?

Muzea stoją otworem dla wszystkich, muzea służą całemu społeczeństwu — te słuszne hasła nie znajdują pełnego oddźwięku w szerokich masach. Muzeum prowadzi różnorodne formy pracy naukowej i oświatowej, jego działalność może jednak tylko spełnić poważniejszą rolę, jeśli spotka się z zainteresowaniem społeczeństwa, jeśli mieszkaniec miasta zechce poznać kulturę czy historię swego regionu. Tymczasem w praktyce znaczna liczba zwiedzających nie bardzo wie, na czym polegają doniosłe zmiany w naszym muzealnictwie i często po cichu a czasem głośno wyraża swój żal za dawnym muzeum przypominającym nierzadko gabinet osobliwości. Inni zwiedzający czekają niecierpliwie na coraz to nowe wystawy, zapominając o tym, że pokaz muzealny przy obecnych założeniach ekspozycyjnych i naukowych wymaga przynajmniej paru miesięcy na opracowanie oraz bardzo poważnych sum pieniędzy. Przy chęci ciągłej zmiany zapomina się łatwo o tych sprawach, dla pracy muzeum bardzo istotnych. Dlatego też niejedna z ogromnym nakładem pracy urządzona wystawa spotyka się z minimalnym zainteresowaniem zwiedzającego. Jak się okazało w praktyce, wystawami zagranicznymi intresuje się wiele osób bez względu na ich tematykę. Ale na wystawach np. z zakresu kultury ludowej frekwencja jest znikoma.

Nie poznaje się i nie rozumie programu działalności instytucji kulturalnej na podstawie sporadycznych odwiedzin. Podobnie jak nie można sobie wyrobić sądu o twórczości dramatycznej po kilku spektaklach teatralnych, a zrozumieć muzyki w wyniku obecności na kilku koncertach, tak nie można niczego nauczyć się z wystaw muzealnych oglądając je od czasu do czasu. Trzeba być stałym odbiorcą teatru, filharmonii czy muzeum, żeby oprócz rozrywki i przeżyć estetycznych pogłębić swoją wiedzę.

Do powierzchownego korzystania z muzeum większej liczby zwiedzających przyczynia się w pewnym stopniu brak w społeczeństwie głębszego zainteresowania zabytkami naszej przeszłości. Tak gorąco polemizuje się na temat współczesnych przejawów życia, że sprawy przeszłości odsuwa się na jakieś bardzo dalekie miejsce. Jest to tym bardziej niezrozumiałe, że wiele i słusznie mówi się u nas i pisze o poznaniu naszej bogatej kultury wieków minionych, naszego dorobku, z którego czerpiemy tworząc nowe wartości. Tymczasem zainteresowanie oryginalnymi eksponatami ilustrującymi rozwój naszej kultury na przestrzeni dziejów, jakie znaleźć można w muzeach, jest nieproporcjonalnie małe. Co gorsze, nie zawsze docenia się w dostatecznym stopniu ich wartość, zapominając o tym, że wielu zabytków muzealnych, które uległy zniszczeniu w nieodpowiednich magazynach, czy też uległy dewastacji podczas inwazji niemieckiej, nie da się już odtworzyć. To, co uratowaliśmy w muzeach, czy też co wróciło do nas z akcji rewindykacyjnej, powinno rozbudzić tym większe zainteresowanie społeczeństwa i chęć do zapoznania się z zabytkami, do upewnienia się, że te dowody naszej kultury i odrębności narodowej przetrwały. Jako przykład, że nie jesteśmy bogaci w zabytki, może posłużyć wystawa Odrodzenia czynna przed 2 laty w Muzeum Narodowym w Warszawie, na której eksponaty z zakresu kultury artystycznej można było policzyć na palcach. Dlatego też należałoby muzea otoczyć większą troską a zwłaszcza radykalnie rozwiązać sprawę należytego zabezpieczenia zbiorów. W przeciwnym razie możemy stracić bezpowrotnie wiele eksponatów, których wartości nie da się określić żadną sumą pieniędzy.

Zbiory muzeum zasługują również na większą uwagę chociażby i z tego powodu, że udostępniono zwiedzającym wiele zabytków pomijanych najczęściej w ekspozycji w okresie międzywojennym. Są to między innymi zabytki z zakresu materialnej kultury ludowej, które mówią o nędzy chłopa pańszczyźnianego i prymitywnej gospodarce na roli. Eksponaty te dopiero obecnie uwzględniono w szerokim zakresie na wystawach obrazujących kulturę ludową, którą pokazywano dawniej przeważnie tylko w aspekcie sztuki ludowej, a więc wycinanek, haftów czy pisanek.

Z zagadnieniem stosunku zwiedzającego do muzeum wiąże się sprawa frekwencji i składu socjalnego zwiedzających. Porównując liczbę widzów na przestrzeni ostatnich paru lat trzeba stwierdzić, że zwiększa się ona stale, ale trudno byłoby dowodzić, że muzeum jest masowo odwiedzane. Wprawdzie w ub. roku np. w Muzeum Lubelskim osiągnęliśmy ponad 120.000 zwiedzających, liczba ta jednak w stosunku do 10 czynnych w naszym muzeum wystaw własnych i obcych nie jest zadowalająca, zwłaszcza że sprowadzone przez muzeum 2 wystawy zagraniczne miały przeciętnie po 15.000 zwiedzających. W porównaniu ze stale wzrastającą liczbą mieszkańców naszego miasta cyfry te są stanowczo za małe. Również stale niezadowalająca jest liczba dorosłych zwiedzających muzeum. Wprawdzie w stosunku rocznym przekroczyła ona już przeszło sto razy cyfrę osób odwiedzających Muzeum Lubelskie w r. 1938, która wynosiła wtedy 313 widzów, niemniej jest stale za mała. Zjawiskiem pozytywnym jest za to fakt, że w tej liczbie znajdują

się robotnicy, rzemieślnicy i inteligencja pracująca. Lecz inteligencja twórcza należy, niestety, do wyjątków. Zbyt rzadko zjawiają się w muzeum przedstawiciele świata literackiego, artystycznego czy dziennikarskiego. Natomiast chętnie i licznie odwiedza muzeum młodzież i to zarówno najmłodsi, jak i młodzież uniwersytecka. Stanowią oni w tej chwili blisko 70% zwiedzających zarówno w grupach wycieczkowych jak i indywidualnie. Gdy poprzednio szkoły przychodziły do muzeum jedynie w rezultacie rozsyłanych okólników czy zawiadomień telefonicznych, ostatnio nie trzeba się uciekać do takich środków zdobywania frekwencji, gdyż młodzież przyprowadzają nauczyciele sami, zaczynając często od najmłodszych.

Szkoły stale i systematycznie korzystają z wystaw muzealnych, również z tych, które przez swoją problematykę nie wiążą się ściśle z programem nauczania. Dużym zainteresowaniem cieszą się także wystawy wśród wojska. Natomiast na apele muzeum reagują słabo Związki Zawodowe oraz kierownicy świetlic. Tak jest np. na terenie Lublina, chociaż w świetlicach umieszcza się stale różnorodne wystawki oświatowe czy też plansze reklamowe. Kierownicy świetlic nie umieją wykorzystać wystawki do swoich zajęć i często traktują plansze tylko jako dekorację lokalu. Niewątpliwie odgrywa tutaj dużą rolę na ogół słaby poziom kadr świetlicowych i dlatego muzeum szczególnie stara się o nawiązanie bliskich kontaktów z młodzieżą kształcącą się w liceum kulturalno-oświatowym, która w swej przyszłej pracy potrafi umiejętnie zachęcić odwiedzających świetlicę do uczęszczania na wystawy muzealne, brania udziału w odczytach muzealnych itp.

Również objazdowe wystawy muzealne natrafiają na duże trudności. Niektóre np. z objazdowych zestawów oświatowych ulegają kompletnemu zniszczeniu. Wypadek taki zaszedł ostatnio w świetlicy w Końskowoli, gdzie Muzeum Lubelskie umieściło wystawkę pt. „Matejko i Riepin". Naturalnie są takie świetlice jak np. w Machnowie czy kilka wzorowych świetlic w pow. lubartowskim, gdzie wystawy muzeum spotykają się z dużym zainteresowaniem, w wielu jednak miejscach, zwłaszcza tam, gdzie muzeum dociera po raz pierwszy, nie zawsze udaje się nawiązać kontakt z miejscowym społeczeństwem.

Wydaje mi się, że jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest zupełny brak odbicia w prasie zagadnień i problemów, jakimi żyją nasze muzea, oraz ich trudności w zakresie upowszechnienia zbiorów. Jakoś tak się u nas przyjęło, że za kulturę w potocznym tego słowa znaczeniu uważa się imprezy teatralne, występy zespołów orkiestralnych, wokalnych i tanecznych. O nich się pisze i dyskutuje. Na łamach prasy porusza się również problemy dotyczące świetlic i domów kultury oraz bibliotek. Nie pisze się natomiast o muzeach, chociaż mają one obecnie duże możliwości w podniesieniu poziomu kulturalnego oraz ukształtowaniu właściwego światopoglądu w społeczeństwie.

Praca naszych licznych muzeów znajduje odbicie w prasie jedynie w formie sprawozdawczej związanej ściśle z organizowanymi wystawami. A tymczasem właśnie prasa mogłaby dopomóc muzeom w spopularyzowaniu zagadnień związanych z ich pracą. Z artykułów na tematy muzealne społeczeństwo dowiedziałoby się, że przełom, jaki nastąpił w Polsce Ludowej w różnych dziedzinach kultury, obejmuje także muzealnictwo. Wtedy praca naszych muzeów a zwłaszcza szereg twórczych eksperymentów, jakie prowadzą liczne placówki w zakresie opracowania scenariuszy wystaw, rozwiązania ekspozycji i upowszechnienia zbiorów, stałyby się dla społeczeństwa zagadnieniem realnym i bardziej zrozumiałym a nawet bliskim.

Próby zamieszczenia w prasie artykułów o działalności muzeum tłumaczy się niekiedy jako pustą chęć chwalenia się. W jednym z numerów „Przeglądu Kulturalnego" dwóch muzealników z Muzeum Adama Mickiewicza zamieściło swoje wrażenia z organizacji tegoż muzeum, a właściwie ze swoich doświadczeń warsztatowych. Można by się spierać, czy artykuł ten powinien był ukazać się w kolumnie przeznaczonej na wypowiedzi na temat „Jak widzę współczesną polską sztukę rewolucyjną", natomiast trudno się zgodzić z reakcją, jaką ten artykuł wywołał w „Nowej Kulturze". Artykuł wykpiono, nazywając go wspaniałą metodą autoreklamy. A przecież te same czasopisma zamieszczają dość często wypowiedzi reżyserów filmowych czy teatralnych, plastyków, pisarzy, których bardzo osobiste myśli i spostrzeżenia na temat własnego warsztatu przyjmowane są z dużym zainteresowaniem i zrozumieniem.

Czyżby doświadczenia warsztatowe muzealników nie interesowały nikogo? Czy nie czas już skończyć z anonimowością pracy muzealnej, zwłaszcza że i tu zdarzają się poważne trudności oraz ciekawe problemy związane z realizacją poszczególnych wystaw czy też organizacją nowych placówek muzealnych.

Wydaje mi się, że jeśli na łamach prasy nie znajdzie się miejsce dla spraw mzealnych, upowszechnienie znajomości zbiorów, na którego realizację państwo nasze łoży ciężkie pieniądze a w które muzealnicy wkładają wiele trudu, pozostanie jeszcze długo pięknym ale nie urzeczywistnionym w pełni hasłem.

Irena Iskrzycka

„ROSE MARIE" W TEATRZE MUZYCZNYM W LUBLINIE

„Stara legenda indiańska o kochankach nawołujących się wśród gór Kanady posłużyła jako motyw muzyczny do operetki „indiańskiej" R. Frimla pt.: „Rose Marie". Główna jej para miłosna, Rose Marie i Jim, rozdzieleni przez los, nawołują się tym właśnie śpiewem. Jest w nim urok starej legendy o miłości, tym bardziej sugestywny, że miłość obojga kochanków rodzi się i rozwija wśród ludzi surowych i na pół dzikich, wśród poszukiwaczy złota, traperów, włóczęgów i policjantów kanadyjskich, wśród bezwzględnej walki o złotodajne tereny i w tragicznej atmosferze eksterminacji tubylców — w pierwszych latach XX wieku..."

Tak pisze w swym zwięzłym wstępie do programu E. G., kończąc: „odrębność „Rose Marie" zaznaczyła się nawet w jej tradycji. Dla odróżnienia jej od innych operetek nazwano ją „widowiskiem romantycznym".

Zastanówmy się więc, czy kierownictwo Teatru Muzycznego sprostało zadaniu, dając przedstawienie odpowiadające widowisku tego rodzaju.

„Rose Marie" ma dobrze opracowane libretto. Konsekwentnie rozwijająca się akcja, postacie o wyraźnym

profilu, dialog żywy, chwilami dowcipny, bez dłużyzn, stosunkowo mało banałów i „niewypałów", jakie w utworach lekkiej muzy zmuszeni jesteśmy znosić.

Obserwowałem widzów. Przyznaję się, że nie dowierzam publiczności, jeśli chodzi o reakcję śmiechu: ludzie śmieją się najbardziej z wyświechtanych kawałów. Wynika to na pewno z fizycznej potrzeby śmiechu. Patrząc jednak na rozmarzone oblicza starych bywalców przekonałem się, że „Rose Marie" wielu z nich wzrusza. Niemała w tym zasługa artystów, ale przede wszystkim kompozytora i autora libretta.

Pochwalić muszę pracę reżysera. Jest ruch na scenie, właściwa interpretacja ról, jest dobre tempo, a że są niedociągnięcia wynikłe z nieobycia niektórych aktorów ze sceną — trudności w połączeniu ekspresji ze śpiewem, w sharmonizowaniu tak różnorodnych elementów gry, śpiewu i tańca, obarczać tą winą reżysera nie sposób.

Postawiłbym mu jednak zarzut pewnego przeoczenia w pierwszej odsłonie. Nad zgiełkiem panującym w oberży winno dominować wołanie Emila: Rose Marie! Wołanie to, sześciokrotnie powtórzone, ma swoje znaczenie, gdyż zdradza nie tylko niepokój brata o siostrę, lecz jest zapowiedzią pojawienia się na scenie czarującego zjawiska, jakim jest dla tych na poły zdziczałych ludzi Rose Marie.

Muzyka niebogata w motywy, urzekająca jednak melodyjnym powtarzającym się leitmotywem, jest utrzymana na poziomie przez dobry zespół Filharmonii.

Świeże, dźwięczne głosy Pączyńskiej i Leońca podniosły walor wokalny przedstawienia. Na dobro jego należy zapisać też chóry.

Gra artystów, ten zwykle najsłabszy punkt spektakli tego typu, nie zadowalając w pełni, nie raziła jednak naiwną amatorszczyzną lub wulgarnością. Czesław Pręgowski w roli Hermana, Janina Gutner w roli Jane i Henryk Łabuński w roli sierżanta wywiązali się dobrze z zadania. Pączyńska — Rose Marie — była zbyt powściągliwa jak na dziecko gór, lecz jej wdzięk, śpiew i aparycja zdobywały serca publiczności. Leoniec, obdarzony dobrymi warunkami, robił wrażenie tragicznego amanta. Orleńska przypominała mi Manowską. Radulska jako Dixiana swą grą, a zwłaszcza tańcem, robiła dodatnie wrażenie.

Na zakończenie ośmieliłbym się zwrócić uwagę na potrzebę większego wyrównania corps de ballet.

Dekoracje kilkakrotnie przyjęte zostały przez publiczność hucznymi oklaskami. Uważam jednak, że w każdym teatrze należy kształcić gust widzów i stosować zdobycze obowiązujące w sztuce plastycznej. Nie niewolnicza kopia natury, lecz artystyczna wizja podniosłaby charakter „romantycznego widowiska".

Kostiumy bogate.

C.

O CZYM PISAŁA „KAMENA" PRZED 20 LATY

Nr 30 „Kameny" poświęcony był w całości morzu. Zawierał artykuł Zbigniewa Jasińskiego „O poezji marynistycznej", wiersze H. Brodowskiej, O. Daukszty, W. Karczewskiej, J. Pietrkiewicza, E. Herberta, M. Lisiewicza, A. Baumgardtena, W. Słobodnika, Z. Popowskiego i W. Mrozowskiego, przekłady K. A. Jaworskiego utworów o tematyce morskiej z poezji słowackiej (Jan Smrek) i ukraińskiej (S. Hordyński, O. Włyżko, O. Wysznia), fragment powieści Z. Jasińskiego „Biczman" i Juliusza Żuławskiego „Wyprawa o zmierzchu", recenzje K. A. Jaworskiego poezyj Z. Jasińskiego, J. Dickstein Wieleżyńskiej i W. Kasperskiego oraz noty dotyczące spraw morskich.

Na okładce cięta odpowiedź redakcji „Kameny" pod adresem dwutygodnika warszawskiego „Myśl Polska", gdzie w rubryce „Pod mikroskopem" niejaki Spec zaatakował „Kamenę". Oto wyjątki z tej odpowiedzi: „Jest to spec od tropienia „czerwonego niebezpieczeństwa", które — jako że strach ma wielkie oczy — węszy na każdym kroku. Ostatnio (Nr 9) zaszczycił łaskawą uwagą i nasze pismo. Nie podobał mu się artykuł S. Pollaka o Asiejewie. Że to poeta rosyjski i bolszewik. To byśmy od biedy wytłumaczyli. Ludzie wychowani w niewoli cierpią na uraz psychiczny pod tym względem... Ale jakim czołem Spec feruje wyroki o wartości artystycznej tej czy innej poezji? Jego zdaniem, „Asiejew pod względem literackim jest zerem tzw. absolutnem". Wyrok bez apelacji. Tymczasem posłuchajmy, co piszą o Asiejewie ludzie, od których prędzej spodziewalibyśmy się zacietrzewienia i krańcowego subiektywizmu w ocenie bolszewickiego poety. W n-rze 28 rosyjskiego tygodnika emigracyjnego „Miecz" znajdujemy przedruk wiersza Asiejewa „O śmierci", zaopatrzony m. in. następującą charakterystyką autora: „adin iz bolieje zamieczatielnych bolszewickich poetów". Chyba ten sąd wyszedł spod pióra kompetentniejszego... „Myśli Polskiej" poradzilibyśmy wprowadzenie jeszcze jednej specjalnej rubryki, poświęconej nierównie większemu niebezpieczeństwu hitlerowskiemu. (Dlaczego to w n-rze 9 w artykule „Polsko-niemiecki pakt o nieagresji a uroczystości powstańcze w Katowicach" czytamy: „nie chcemy się na tem miejscu zajmować artykułami ukazującymi się tu i ówdzie w prasie niemieckiej. Pominiemy też przemówienia „miarodajnych" osób, które świadczyłyby raczej o „pakcie agresji" a nie nieagresji". Właśnie trzeba chcieć się tem zająć! Skąd ta dwojaka miara w ocenie obu niebezpieczeństw? I skąd naiwna pewność: „wierzymy w dobrą wolę dotrzymania układu przez czynniki decydujące w Rzeszy"?)

...Wprowadzić rubrykę poświęconą niebezpieczeństwu hitlerowskiemu. Powierzyć ją dobremu specowi. Zatytułować „Pod lupą", a jeszcze lepiej „Gołem okiem".

W n-rze dwa linoryty Zenona Waśniewskiego: „Motyw morski" i „Nasze okno na świat".

Jerzy Łabęcki

NOC

Nie rozpalę tej nocy wierszem
nie można
nie pokażę jak noc pląsa
za trudno oświecać
rozgwieżdżone szlaki
latarnią głowy
trzeba by mistrza Ildenfonsa
on noc stworzył.

KASZTANY

Poeci modlą się do Muzy
o natchnienie
o melodyjności piano
a ja chciałbym
tylko
zapalić świeczki kasztanów.

Jerzy Łabęcki



Józef Wiesław Zięba

OTOKAROWI BRZEZINIE

Czeskiemu poecie, który nie widział nagiej kobiety

Kochałeś gwiazdy, nie dlatego, że świecą,
ale że są odległe i giną w głębinie,
dziwny poeto.

Wzgórza kochałeś, co ciche przychodzą tak blisko,
że można gładzić ich łagodne grzbiety
jak psa, lub lustro,
dziwny poeto.

Ginąłeś w śniegu zapaloną iskrą
i byłeś w chmurach marzącą planetą,
żeby z ciążącą zgryzotą nie usnąć,
dziwny poeto.

Miałeś uszy otwarte tylko na śpiewy górskiego potoku,
gdyś ważył słowa nabrzmiałe księżycem,
więc czemuś nazywał je ciągle miłością,
dziwny poeto.

Podziwiałeś we śnie kształt nocnych demonów,
mostów płomiennych
i dróg przedłużonych wysmukłością topól,
dziwny poeto.

Nie wiodły cię one do kobiecych nóg
i szeptu spadających loków,
choć nazywałeś je wiecznie tęsknotą,
o dziwny poeto.

Józef Wiesław Zięba

Stanisław Weremczuk

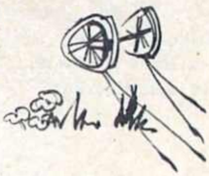
NIE POŻEGNAŁ

Nie pożegnał Cię Chopin marszem,
Trumno szara,
nie przyszedł, nie uderzył
w klawisze drzew.

Trumny sosnowej nie prowadzi marsz —
wóz toczy się bez kiru,
chłopski wóz,
za zakręty drogi bez drzew,
dzwon przywita
i odprowadzi dzwon.

Za kołami
piasek zasypuje w dwa rzędy
ślad.

Stanisław Weremczuk



Zbigniew Stawecki

ORANGE

(z cyklu: „Paleta")

Blask zachodowy tańczy,
rumieni jeziora toń...
Stoi pod drzewem pomarańczy —
pomarańczowy słoń.
Na złotolitych poduszkach
spać idzie zmęczony dzień,
wydłuża się na ścieżynce
pomarańczowy cień.
Pomarańczowy księżyc
promienie ma krwiste, to blade...
W kawiarni, na tarasie
najwyższej z białych wieżyc —
dziewczyny piją oranżadę.

Zbigniew Stawecki

Elżbieta Cichla

BAJKA O ISKIERCE

Chwytał ogromne chrabąszcze
szeleszczące w liściach magnolii,
gonił zwiewne motyle,
zawile, tajemniczo szeptał
o skarbach Króla Gór
i z chmur
robił słoneczne latawce.

Czarodziej o smukłych stopach,
oczach jak owoce granatu,
wiecznie tęskniący,
wzdychający do polarnej zorzy
albo do kwiatów mimozy
(choć czasem uchodził za Don Juana),
pan
równy weneckiemu doży.

Miał dom w kielichu tulipana,
willę w pustym orzechu,
korzystał wyłącznie
z komunikacji międzyplanetarnej:
ogonów komet i promieni gwiazd,
aż raz — — —

zapłonął wielką miłością
do kropelki z liścia nenufara,
zapomniał, że był Iskierką

i zgasł.

Elżbieta Cichla

Władysław Stróżewski

CHWILE

1.

Wskazówki zegara na wieży ratuszowej zaczęły nagle śpieszyć. Bieg, wykonywany zwykle z dostojnym zsuwaniem się z cyfry na cyfrę, nabrał pędu, wzmagał się coraz bardziej i bardziej, z furkotem wirując dookoła tarczy. W końcu drżały już tylko cyfry zasnute leciutką mgiełką kolistej smugi. I wreszcie — rozpędzone tarcze trysły, pękły z trzaskiem i gwałtownym łukiem opadły z dala od ratusza. Przysłonił je tuman kurzu. Czas stanął.

2.

Dłoń wysunęła się spod twego ramienia, a na wargach zakrzepł uśmiech, którego nie było w oku. Palce chciały coś jeszcze uchwycić, ale rozsypały się, jak gdyby złączone były bez żadnego spoidła, jak płaski domek ułożony z zapałek, pod którym usunie się stół. Upadły w nieładzie na płytę chodnika, a twoje i moje oczy patrzyły na nie, jak patrzy się na słońce, które zachodzi. Odeszliśmy dalej, pod słup ogłoszeniowy, pod plakat o walce z alkoholizmem. Rozdeptane złoto ślubnych obrączek zostało z palcami.

3.

A w aptece na starym mieście, czarne kolumny ułożyły się jak do snu i okryły drzemiącą w kąciku kobietę. Widziałem, jak kładły się na niej, jedna obok drugiej, trąc się bokami zgrzytem szklistego piasku. Lekarstwa wypełzły z rozbitych naczyń i kolorowymi wstęgami zasnuły posadzkę. Cegły spadały z pluskiem.

4.

Z blado szarych chmur wieczornego mroku spadały postrzępione plamki śniegu. Wirowały pod niebem czarnymi płatkami, a gdy spadły, tliły się siną, stłumioną barwą, tylko trochę jaśniejszą od chmur. Na

tym tle rysowały się proste i trójkątnie łamane konary drzew, czarne i poszarzone śniegiem.

I nagle, z ich najcieńszych i najwyższych gałęzi zaczęły odrywać się maleńkie ułamki drewna i opadać poczęły ze śniegiem. Spadało ich coraz więcej, z coraz niższych i niższych gałęzi. Coraz szersze i głębsze stawało się niebo. A rozsypane drzewa razem ze śniegiem ułożyły się szarą poświatą pod niebem, które nie było już ciemniejsze. I które nie było już tłem.

5.

Kawa, uwięziona w białej niecce filiżanki, zaczęła rozjaśniać się, choć nie dolewaliśmy do niej mleka. Tylko ścianki porcelany stawały się coraz cieńsze i wreszcie, całkiem rozmokłe, zupełnie zabieliły kawę. Ta zaś rozlała się na spodeczek i rozpuściła go także, tak samo zawładnęła serwetą, naszymi ciastkami, łyżeczkami i stołem, który stajał jak kostka cukru. A my, przechyleni na krzesłach do przodu, oglądaliśmy swe oczy, odbite w błyszczącej kałuży przeciekającej pod podeszwami naszych butów.

6.

Dyrygent podniósł pałeczkę, ale zwinęła się w spiralę i sama poczęła drżeć. Wypadła z dłoni i podskoczyła na ziemi, a instrumenty, które nagle zaczęły wydawać dźwięki, wypełzły z ust i rąk grajków i pozsuwały się w skrętach z estrady na widownię. Sunęły powoli, a każdy grał jeden ton, różny od tonu innych. Po chwili — wszystkie wpełzły w wąskie szczeliny między deseczkami parkietu, jak glisty, które wchodzą do swych jam przed słońcem.

7.

I nagle wtedy, właśnie wtedy, w jednej chwili rozdarły się chmury i rozbłysło gwałtowne i naprawdę przepełnione śmiechem słońce. Czarno-granatowe konary drzew zakwitły na śniegu tak białym i błękitnym, że nie przyrównasz go niczemu.

I właśnie wtedy zabił srebrny, naprawdę srebrny, dzwon zegara, a staruszka w aptece ziewnęła szeroko i przetarła zaspane oczy. Lśniące instrumenty zachłysnęły się harmonią, tak jasną i czystą, jak Mozart.

A myśmy dopijali kawę i patrzyli, jak w złocie ślubnych obrączek iskrzy się słońce *).

Władysław Stróżewski



Henryk Czarniawski

CHÓR AKADEMICKI KUL

Chór Akademicki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego istnieje stosunkowo długo: w kilka lat po powstaniu Uniwersytetu w r. 1924, pojawia się o nim pierwsza urzędowa notatka w wykazie instytucji wewnątrzuczelnianych. Powojenną działalność rozpoczął Chór w roku 1945.

Stowarzyszenie „Chór Akademicki Studentów KUL" jest instytucją kulturalno-oświatową, mającą na celu uprawianie i propagowanie śpiewu chóralnego oraz solowego treści świeckiej i religijnej.

Chór jest zespołem w zasadzie mieszanym (maksymalna liczebność sięga 150 osób). Sporadycznie jednak wyłania z siebie osobny zespół żeński i męski. Spośród członków Chóru rekrutują się także soliści — amatorzy w dziedzinie wokalistyki oraz muzyki instrumentalnej. Od 1948 r. Chór Akademicki zarejestrowany jest w Wojewódzkim Oddziale Ogólnopolskiego Związku Śpiewaczego, co upoważnia go do występów publicznych. Chór pracuje pod kierunkiem wykwalifikowanego muzyka — dyrygenta. W tej chwili jest nim p. Marian Ochalski. Mimo że pracuje dopiero od lutego br., zdołał narzucić zespołowi zdecydowaną linię artystyczną zarówno co do wyboru repertuaru, jak też strony wykonawczej utworów.

Głównym trzonem działalności ogólnej Chóru są różnego rodzaju akcje artystyczne. Chór występuje nie tylko na terenie KUL, ale i poza uczelnią a nawet poza Lublinem. Tak więc w roku 1947 Chór dał dwa występy publiczne w Olsztynie, jeden w Dobrym Mieście. Zaplanowany i zgłoszony koncert w auli Konserwatorium Poznańskiego nie doszedł do skutku z powodu przeszkód natury finansowej. Chór występował również wielokrotnie z okazji uroczystości państwowych na terenie Lublina w sali Państwowego Teatru i Towarzystwa Muzycznego. Za całokształt działalności kulturalnej, szczególnie zaś za propagowanie muzyki w jak najlepszym stylu, Chór KUL uzyskał w 1948 r. jednorazowe subsydium Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Na wiosnę tegoż roku Lubels' Wydział Kultury i Sztuki zgłosił Chórowi propozycję wzięcia udziału w Festiwalu Muzyki Ludowej. W roku następnym zespół zrealizował tzw. koncert pasyjny z udziałem orkiestry Państwowej Filharmonii w Lublinie oraz solistów Opery Warszawskiej. W tym samym czasie Stowarzyszenie nawiązało kontakty kulturalne z ośrodkami akademickimi w kraju oraz ze studentami Wy-

*) *Utwory wyróżnione w Konkursie rekrutacyjnym Koła Młodych przy ZLP w Lublinie, zorganizowanym w maju — czerwcu br.*

działu Prawa w Pradze Czeskiej. Pewnego rodzaju zastój w działalności pozauczelnianej w latach 1949—1955 został przełamany ostatnim występem Chóru dnia 16 czerwca 1956 r. w Klubie Pracowników Kultury w Lublinie. Impreza ta była dla Chóru bardzo sympatycznym spotkaniem z inteligencją lubelską, która życzliwie przyjęła dorobek śpiewaczy zespołu.

Wśród występów estradowych o charakterze wewnętrznym należy wymienić między innymi coroczny udział w uroczystej inauguracji roku akademickiego, której treść nagrywana jest przez Polskie Radio. Dużą popularność a także ustaloną tradycję ma tzw. Koncert Wiosenny, który w roku bieżącym przedstawiał szczególnie charakterystyczny repertuar. Uwzględniono mianowicie utwory z epoki renesansu i wczesnego baroku. Do muzyki dawnej sięgnięto kierując się tym, że utwory wymienianych okresów na chór a capella są niedoścignionymi dotąd przejawami czystego stylu wokalnego. Dają one śpiewającym duże możliwości doskonalenia artystycznego, wymagają przy tym znacznej precyzji wykonania. Były to następujące madrygały o tematyce ilustracyjno-programowej: „Wiosna" — Feliksa Anerio, „Chanson" — Piotra Certona, „Madrygał" — Orlanda di Lasso oraz refleksyjny 5-głosowy utwór Lully'ego — „Pieśń radości". Pozostałe punkty chórowe tej imprezy to: „Sonety krymskie" Stanisława Moniuszki i Mazur z opery „Straszny dwór".

Studenci KUL wykonali w ramach Koncertu Wiosennego utwory fortepianowe Mozarta, Beethovena i Schuberta. Śpiew solowy oparł się głównie na pieśniach kompozytorów polskich: Niewiadomskiego i Karłowicza.

Celem osiągnięcia jak najpełniejszej kultury muzycznej bierze się w Chórze pod uwagę śpiew arcydzieł liryki religijnej, dobierając najcelniejsze pozycje literatury światowej. Wymienić tu należy takie kompozycje, jak: motety Palestriny, chorały J. S. Bacha, „Alleluja" Haendla, utwory J. Haydna, fragmenty „Requiem" Mozarta, wreszcie z muzyki rodzimej — utwory religijne Stanisława Moniuszki oraz F. Nowowiejskiego.

Oprócz uprawiania śpiewu Chór Akademicki KUL prowadzi szeroką akcję popularyzacji muzyki wśród chórzystów i studentów w ogóle. W tym celu utrzymuje kontakty ze światem muzyków, angażując takich solistów, jak Ryszard Gruszczyński oraz muzyków teoretyków tej miary, co Stefan Kisielewski i in.

W zakresie własnych możliwości Chór organizuje transmisje radiowe (inauguracja Roku Mozartowskiego z Salzburga, „Missa Solemnis" Beethovena, „Requiem" Mozarta z Warszawy) oraz cykle audycji umuzykalniających ilustrowane bogato muzyką z płyt. W tym względzie bezcenną wartość przedstawia płytoteka Biblioteki Głównej KUL, posiadająca około 200 pozycji. Dzięki niej, w ramach cyklu prelekcji „Od Bacha do Chopina", można było słyszeć takie arcydzieła, jak: Toccatę D'moll Bacha na organy, Koncert A'dur na skrzypce i Symfonię Es'dur Mozarta, V Symfonię Beethovena oraz Koncert F'moll Chopina.

Innym środkiem propagowania muzyki poważnej jest udostępnianie abonamentów na koncerty Filharmonii szerokiemu gronu studentów, wreszcie wycieczki na przedstawienia operowe do większych ośrodków muzycznych w Polsce.

W każdym swym przedsięwzięciu artystycznym Chór Akademicki Studentów KUL ma wyraźnie sprecyzowany cel: wywołać w słuchaczach jak najradośniejsze doznania, płynące z przeżycia artystycznego.

Henryk Czarniawski

P I Ó R E M   S Z Y D E R C Y

Konrad Broszczyk

CHARCICA I KUNDEL

Bajka

Było to dawno.
Główną ulicą
Szła, znana w mieście,
Dama z charcicą.
Dama szła dumnie, choć bez powodu,
Lecz jeszcze dumniej szedł pies jej z przodu
Niosąc majestat władzy w swym pysku —
Grube biczysko,
Strasząc nim wszystkie psy w okolicy.
Zoczył to kundel z bocznej ulicy
I rzekł, warknąwszy, do swej kundlicy:
— Popatrz no, miła, głupie charcisko
Łeb swój zadziera, że ma biczysko,
A wszak tym samym biczem co rana
Bardzo boleśnie jest tresowana.

— Tak to się zdarza, kundelku miły,
Politykierom z pozycji siły.

Konrad Broszczyk

Marek Adam Jaworski

JAK ZOSTAŁEM PRZEMYTNIKIEM

Praga przyjęła mnie bardzo gościnnie. Obiad w reprezentacyjnej restauracji był nad wyraz smaczny, obsługa uprzejma. Ale czeskie papierosy w żaden sposób nie mogły trafić mi do gustu. Pozostała mi jeszcze w kieszeni paczka „Mew", które wziąłem z sobą zupełnie przypadkowo. Odetchnąłem z ulgą i już chciałem ją otworzyć, gdy kelner, spojrzawszy na mnie z ciepłym uśmiechem, nieśmiało poprosił:

— Może mi pan odstąpi te papierosy? Będę bardzo zobowiązany.

Cóż — nie mogłem odmówić. Zresztą uważałem, że powinienem dorzucić skromną cegiełkę do umocnienia przyjaźni między naszymi narodami.

Kelner położył na stole 6 koron. Poczułem się obrażony, ale on wcisnął mi je niemal przemocą.

W najbliższym sklepie, w którym sprzedawano materiały piśmienne, zamieniłem te 6 koron na wieczny ołówek, napełniany tuszem (długopis).

Po kilku godzinach siedziałem w pociągu. Kierunek — Sofia.

* * *

— Jaki pan ma ładny ołówek! — powiedział kelner w jednej z restauracji sofijskich. — Może mi pan go odsprzedać?

Zrobiłem przeczący ruch głową, zapominając, że w Bułgarii oznacza to właśnie odpowiedź twierdzącą. Kelner sięgnął do kieszeni i położył na stole 25 lew. Stało się to tak szybko, że nawet nie zdążyłem zareagować.

Przed odjazdem z Sofii kupiłem za te 25 lew dziesięć paczek papierosów — „Rodopów". Doskonałe. Za pozostałą resztę, jedną lewę, dostałem pół kilograma winogron.

* * *

Wracając do Polski, ponownie zatrzymałem się w Pradze. Zajrzałem do tej samej restauracji, w której byłem poprzednio. Dziwnym trafem obsługiwał ten sam kelner. Poznał mnie, mrugnął porozumiewawczo i zapytał dość poufale, jak stary znajomy:

— Nie ma pan przypadkiem jeszcze jednej paczki „Mew"?

Niestety, nie miałem. Ale odsprzedałem mu dziesięć paczek „Rodopów". Ze skruchą muszę przyznać, że nie oponowałem, gdy wręczał mi 60 koron. Przyzwyczaiłem się już do tego rodzaju transakcji, a poza tym uważałem, że dokładam jeszcze jedną cegiełkę do umocnienia — tym razem szerszej — polsko-czechosłowacko-bułgarskiej przyjaźni.

Skierowałem swoje kroki do tego samego sklepu z materiałami piśmiennymi. Wyszedłem bogatszy o dziesięć długopisów.

* * *

— Coś przywiózł zza granicy? — zarzucili mnie koledzy pytaniami, gdy znów zjawiłem się w pracy.

Nieco zażenowany pokazałem im praską zdobycz — dziesięć ołówków.

— Odsprzedaj je nam — prosili błagalnie.

Ustąpiłem. Zapłacili po 60 zł. za sztukę.

Mam teraz kłopot. Czy kupić za to sto pudełek „Mew", ponownie wybrać się do Czechosłowacji i Bułgarii i przywieźć stamtąd tysiąc długopisów, czy też uczciwie opowiedzieć o wszystkim w Wojewódzkiej Komendzie Milicji Obywatelskiej?

Ale przecież — daję słowo — nie jestem przemytnikiem. Działałem tylko z patriotycznych pobudek na rzecz umocnienia przyjaźni.

I P.S. Po napisaniu tego obawiam się, czy Komenda Wojewódzka M.O. zezwoli mi jeszcze kiedykolwiek na wyjazd za granicę.

II P.S. A swoją drogą domyślam się już, dlaczego ludzie tak chętnie jeżdżą za granicę.

Marek Adam Jaworski



Sławomir Lit

KALAMBURYMERYKI

. . .

Raz Feliks zwierzył się Anastazji,
Że na zebraniu użył perswazji.
Ona się śmiała,
Bo zrozumiała,
Że mówi, że użył Pers w Azji.

. . .

Raz szofer, co już miał kar nawał,
Tak upił się strasznie w karnawał,
Że zmylił kierunek
Tak zaćmił go trunek
I wprowadził autokar na wał.

. . .

Raz krytyk mówił o postulatach,
Że je załatwią, lecz po stu latach.
Pan jesteś w błędzie,
To złe nie będzie:
Mówimy o postu latach.

Sławomir Lit

WŚRÓD KSIĄŻEK

Czas powraca*)

Ktoś powiedział, że tylko w przyszłości jesteśmy wolni, a sprawy przeszłe, niejako zamrożone przez sam fakt ich dokonania, są ustalone tyranią losu; czas, który minął, staje się przeznaczeniem.

A jednak — przecież bardzo często nie zgadzamy się z przeszłością. I ten protest nie jest tylko protestem w imię naszej troski o przyszłość, żeby, jak to się mówi, „wyciągnąć właściwe wnioski". Przeszłość jest może czymś ustalonym, ale w psychice ludzkiej — na pewno nie na stałe. Można przecież różnie rozumieć, różnie widzieć dokonany czas.

Wydaje się, że rola literatury nie jest tu najbłachsza. Ważna jest także historia, ale jakoś inaczej. Dzięki historii powracamy do czasu minionego. Dzięki sztuce — czas powraca; literatura każe nam jeszcze raz przeżyć przeszłość. Historia jest najczęściej tylko ekshumacją czasu, sztuka — jego wskrzeszeniem.

Czasy ostatniej wojny były okresem skomplikowanym, tragicznym. Dlatego tak dużo mamy pozycji rozumienia go. Każda książka, każde nawet wspomnienie — przeżyliśmy ten czas osobiście — proponują nową koncepcję ludzkiego losu.

*

Opowieść Gascara uwita jest z drobnych zdarzeń, z mało znaczących, zdawałoby się, błahych faktów. Jest obóz jeńców francuskich na Wołyniu, jest więc i obozowy „folklor" z menażką i zupą włącznie. Ale urok, siła książki Gascara polega na jakiejś zwodniczej jedności rzeczy i myśli. Drobny fakt, jakieś małe wydarzenie Gascar umie przemienić w jednym zaledwie zdaniu w odkrywczą, niepokojącą myśl. Jego drażniące, trudne metafory zawierają — jak dyskretnie w ten sposób przemyconą! — całą filozofię. Ta wymyślna gra między małą rzeczywistością a wielką sprawą ludzkiego losu stanowi o jedyności tej książki.

Gascar sam nazywa książkę opowieścią o śmierci. W „epoce pieców" śmierć była tym odczynnikiem, który ujawniał prawdziwego człowieka. Dla hitleryzmu zabijanie było nie tylko środkiem biologicznej zagłady, ale także — moralnej. Kto potrafił oprzeć się zgniłej atmosferze śmierci, ten zdawał egzamin na człowieka. Egzamin nieraz nieludzko trudny.

**) Pierre Gascar: „Czas Umarłych", Warszawa 1945 PIW.*

„Cóż my wiemy o zmianach, zwłaszcza tych jak włos, jak pył nikłych, które dokonały się w nas w zetknięciu z faszyzmem?" — pyta Andrzejewski („Nowa Kultura" nr 41, 1955 r.).

Bohater „Czasu umarłych" wraz z innymi jeńcami pracuje przy urządzaniu obozowego cmentarza. Ta właśnie praca zapewnia im jedną menażkę zupy więcej. Dla Gascara już tutaj jest problem moralny: grzebiąc swych towarzyszy, grabarze biorą jakiś udział w ich śmierci. Można się oburzyć: jakiż to udział? Ale Gascara nie interesują tylko sprawy proste. Interesują go właśnie sprawy jak włos, jak pył nieuchwytne.

Umarli z obozu francuskiego ułożeni są równo, w osobnych grobach, na których rosną kwiaty. Ich los jest tragiczny — nie chcieli umierać — ale jakoś jednak uporządkowany, jakoś jeszcze zrozumiały, ludzki nieledwie. I nagły kontrast: kopiąc fosę, Piotr odkrywa trupy pomordowanych Żydów. Ten obraz zgniłych, rzuconych chaotycznie ciał w książce Gascara staje się oskarżeniem przeciw... umarłym z ukwieconych grobów. To oskarżenie jest dziwne, a jednak, jeśli pomyśleć o tym dłużej, zaczyna się rozumieć.

W książce Gascara nie ma bezpośrednich morderców. Gascar nie rzuca oskarżeń, sugeruje tylko, zostawia miejsce dla domysłów. Dlatego jego sąd można różnie odczytać.

„Czas umarłych" na pewno jest ukrytym, ale głębokim potępieniem faszyzmu, obrazem moralnych spustoszeń, jakie ten spowodował. A jednak jest tam chyba coś więcej. I o to trzeba się z Gascarem posprzeczać. O jego filozofię człowieka. Los człowieka w „Czasie umarłych" sugeruje jakąś bezradność człowieka wobec powszechnego procesu gnicia. A z tym nie możemy się zgodzić.

Janusz Danielak

Powieść o chłopskiej przeszłości *)

Dwie części z zaplanowanego na trzy tomy cyklu powieściowego Bogusława Koguta wybijają się dodatnio spośród współczesnej prozy o tematyce wiejskiej. Zamiar młodego pisarza jest niewątpliwie ambitny: na losach nieledwie jednej wsi unaocznić dystans, jaki dzielił współczesnego chłopa wiejskiego od życia i ludzi Polski sanacyjnej, Polski pod okupacją hitlerowską. Taki rozrachunek z przeszłością nie jest jeszcze u chłopskiego pisarza, a za takiego mamy przecież prawo Koguta uważać, niczym nowym: przypomnijmy sobie chociażby prozę Stanisława Piętaka czy Juliana Gałaja. Jednakże autor „Zbuntowanych" i „Zawiei" wprowadza sobie tylko właściwe elementy ideowe i artystyczne do tego rozrachunku, więcej: naraża się z tego tytułu na specyficzne, choć nierzadkie w dotychczasowych powieściach o wsi, niebezpieczeństwa. W interesie trzeciego tomu trylogii Koguta o wsi rzeszowskiej wypada więc owe problemy i zasadzki ideowe i artystyczne rozważyć, nie ferując jednak ostatecznego wyroku i oceny krytyczno-literackiej na „Zbuntowanych" i „Zawieję" — jeszcze bowiem nań za wcześnie.

Dotychczasowi krytycy słusznie ocenili wyżej „Zbuntowanych" od „Zawiei". W pierwszym bowiem tomie trylogii Koguta zbiegło się szczęśliwie kilka wartościowych elementów treściowych i środków artystycznych. Najpierw — nowa tematyka: „Zbuntowani" są w naszej literaturze powojennej właściwie pierwszym utworem o buncie chłopskim w Polsce sanacyjnej. Nałożyło to na pisarza obowiązki dodatkowe: widać, jak ustawicznie lawiruje on w omawianej powieści między fikcją literacką a faktami historycznymi, między metodą powieściową a kronikarską. W „Zbuntowanych" Kogut wyraźnie wytyczył sobie, a także ograniczył, pole pisarskiego widzenia i działania. Jego utwór jest więc właściwie monografią literacką jednej zbuntowanej wsi i wszystkie powołane przez pisarza elementy treściowe i środki artystyczne podporządkowane są prawom tak wybranego gatunku. Celem wzmożenia ostrości wizji pisarskiej Kogut zredagował praktycznie wszystkie związki łączące wieś Łuczanę z innymi środowiskami chłopskimi, zwłaszcza zaś z miastem, z klasą robotniczą, w ogóle z krajem i społeczeństwem nie chłopskim — do nieodzownego dla realizmu książki minimum. Co więcej: wszelkie konflikty społeczne, problemy ekonomiczne, intelektualne i uczuciowe mogące nurtować polskiego chłopa w latach międzywojennych zamknął również pisarz w granicach wybranej przez siebie wsi rzeszowskiej. Dla pełności obrazu nie zabrakło tu zatem ani konfliktów biedniaków i średniaków z kułakami, ani sporu pokoleń, ani konfliktów miłosnych w ich społecznym, specyficznie chłopskim uwarunkowaniu...

Powiedzmy otwarcie: eksperyment twórczy podjęty w „Zbuntowanych" przez Koguta był bardzo ryzykowny. Niewątpliwie, pragnienie prześledzenia całej, skomplikowanej problematyki i treści chłopskiej na przykładzie jednej wsi w latach międzywojennych miało w swych ambicjach poparcie ze strony „Chłopów" Reymonta — bez obciążeń ideologicznych tego pisarza. Z drugiej strony jednak czyhało na Koguta nader aktualne w latach powstawania „Zbuntowanych" niebezpieczeństwo wszystkoizmu, które właśnie w literackiej monografii wsi mogło doprowadzić do chybionych ideowo i artystycznie skrótów i uproszczeń problemów i ludzi. Jednakże takie niebezpieczeństwo zaczęło grozić na dobre d o p i e r o w „Zawiei"...

Nie ma w tym nic dziwnego: w „Zbuntowanych" do jedności miejsca dołączyła się nader zgrabnie i udatnie literacko jedność akcji ogniskującej się wokół re-

*) *Bogusław Kogut: Zbuntowani, Warszawa, 1953, Czytelnik; Zawieja, Warszawa, 1955. Czytelnik.*

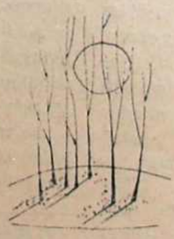
belii chłopskiej. Wszyscy powołani przez pisarza bohaterowie powieści służą właściwie tylko sprawie buntu, który dla każdego z nich, dla jego rodziny i przyjaciół, staje się punktem zwrotnym w życiu, od którego i do którego wszystkie fakty liczą się i wartościują inaczej. Bunt chłopski pozwolił również Kogutowi na ustalenie — nie budzącej większych zastrzeżeń zdrowego, czytelniczego rozsądku — hierarchii bohaterów, na utrzymanie ich bez widocznego wysiłku na bliższym i dalszym planie utworu. I tak na przykład nie mamy zastrzeżeń przeciw pasowaniu na głównego bohatera powieści naczelnika buntu chłopskiego, Bogusza, przeciw zwróceniu głównej uwagi czytelnika na ludzi z lewej strony chłopskiej barykady — słowem przeciw świadomemu i celowemu artystycznie zawężeniu punktu i zasięgu widzenia. W monografii faktu (bunt chłopski) i środowiska społecznego (wieś Łuczana) taki zabieg ideowo-artystyczny jest najzupełniej dopuszczalny, jeśli tylko pisarz nie ulega (zbędnym tu najzupełniej) ambicjom epickim, ambicjom c a ł k o w i t e g o wyczerpania tzw. tematu wiejskiego.

Niestety, nie może w tym przekonaniu utrzymać druga część powieściowego cyklu Koguta: „Zawieja". W „Zbuntowanych" słusznie wybrał Kogut fakt buntu chłopskiego za najbardziej charakteryzujący położenie międzywojennej wsi polskiej. W „Zawiei" nie znalazł pisarz faktu tak typowego dla okresu okupacji i zastąpił go przez epizującą chęć przedstawienia, literackiego wyczerpania chłopskiej treści lat 1939 — 1945. Pisarz czuł się zmuszony wybiec w tym względzie daleko poza granice jednej wsi; było to zresztą konieczne, aby przedstawić wszystkie krzyżowania się wpływów, powikłania i wynikające stąd konflikty między Gwardią Ludową, Batalionami Chłopskimi a Armią Krajową. W tym celu również musiał pisarz powołać dużo większą niż w „Zbuntowanych" liczbę bohaterów-reprezentantów poszczególnych postaw światopoglądowych. Skorzystał więc tutaj Kogut nie tylko z faktu dojrzewania zarysowanego w „Zbuntowanych" młodego pokolenia chłopskiego, stworzył on z konieczności nowe postacie, które, aby mogły być w pełni przydatne literacko, musiał obdarować chociaż skrótowo zarysowaną historią osobistą, wybiegającą w swej chronologii do „Zbuntowanych". Efekt tego jest oczywisty: na 463 stronach „Zawiei" kłębi się wprost od ludzi, faktów, problemów...

Jest rzeczą pewną, że w wypadku naruszenia kompozycji utworu zaczynają być widoczne szwy literackiej roboty. Tak jest i w „Zawiei": coraz częściej autor w oczach czytelnika wiąże rwące się nici literackich wątków i motywów. Jest na przykład w tej książce nieproporcjonalnie więcej w stosunku do „Zbuntowanych" motywów zapowiadających, sygnalizujących dalszy przebieg akcji, rozwiązywanie poszczególnych sytuacji przez pisarza. Jeśli na przykład autor „Zawiei" ze szczególną troskliwością podkreśla fakt napicia się przez syna Bogusza, Kostka, wody w domu, w którym panuje czerwonka, wiadomo, że młody oficer Batalionów Chłopskich zachoruje na nią, to zaś z kolei umożliwia Kogutowi bez naruszenia realistycznego tworzywa powieści rozegranie buntu w oddziale Batalionów Chłopskich w izolacji od innych formacji partyzanckich. Idzie mi po prostu o to, że w rozwiązywaniu dylematu między logicznym umotywowaniem a łopatologicznością sytuacji Kogut wyraźnie przechylił się w „Zawiei" na stronę tej ostatniej, jak gdyby chcąc rozrastającą się materię epicką powieści wtłoczyć na powrót w wąskie ramy literackiej monografii wsi, czyli „Zbuntowanych".

Wiadomo, że trzeci tom chłopskiej trylogii Koguta opisywać ma życie, problemy i konflikty wsi w odrodzonej Polsce, że dwa napisane tomy spełniają wobec trzeciego rolę zadokumentowania ekspozycji teraźniejszości chłopskiej. Dowodzą tego zadokumentowane już w „Zbuntowanych" i „Zawiei": ostrożność i celność widzenia spraw chłopskich, umiejętność ich językowego formułowania bez przyrostów gwarowych i — pojęciowych zwłaszcza — naleciałości inteligenckich, zdolność do podporządkowania (udatnych zresztą) opisów przyrody — sprawom ludzkim. Jednakże sądzę, że właśnie w trzecim tomie Kogut powinien nawrócić do kompozycji „Zbuntowanych", a nie „Zawiei" — do potraktowania nowego utworu jako literackiej monografii jednej, współczesnej wsi polskiej, a nie skazanego zazwyczaj na klęskę eposu na temat wiejski. Takich nieudanych eposów mamy w literaturze naszej dość dużo, przypomnę tu chociażby „Mystkowice, wioskę małą" Gałaja, natomiast nowoczesnej, bardziej słusznej ideowo i celnej artystycznie „Drogi przez wieś" Burka nie posiadamy, jak dotąd, zupełnie. Cykl Koguta — po „Zawiei" — niestety w pełni tego pragnienia nie będzie już mógł zadowolić, może się jednak do niego bardzo zbliżyć.

Zbigniew Pędziński



EUGENIUSZ PAUKSZTA: „ZNAKI OGNISTE" *)

Eugeniusz Paukszta należy obok Jana Dobraczyńskiego do najpłodniejszych pisarzy pokolenia, które weszło do literatury w pierwszym dziesięcioleciu odrodzonej Polski. Po udanym debiucie niemal rokrocznie pojawiają się nowe powieści tego autora o najróżnorodniejszej tematyce. Od współczesnej aż do historycznej. Ten pośpiech odbija się naturalnie na jakości dzieł, które są często niepogłębione i niedopracowane.

Ostatnio ukazała się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej nowa powieść Eugeniusza Paukszty pt. „Znaki ogniste", której akcja rozgrywa się przeważnie w Toruniu w połowie piętnastego stulecia, za panowania Kazimierza Jagiellończyka. Intrygom Krzyżaków, walkom o Pomorze, a wreszcie wojnie Kazimierza Jagiellończyka poświęca Paukszta większość rozdziałów swojej książki. Ten ładunek historyczny zaciężył w wielkiej mierze nad treścią dzieła, przytłaczając akcję literacką ze szkodą dla całości. Zbyt wiele miejsca poświęcił autor zjazdom, zebraniom, konferencjom Związku Jaszczurczego i mniej ważnym wydarzeniom, które hamują bieg akcji i nużą czytelnika.

Fabuła powieści jest w zasadzie dość wątła, a sytuacje podobne. Autor nie oddaje klimatu opisywanej epoki, a osoby są dość blade i anemiczne. Starzec ze „Znaków ognistych" przypomina Juranda z „Krzyżaków", Zofijka sienkiewiczowską Danusię, a Eryk — Zbyszka.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała powieść Eug. Paukszty bardzo pięknie.

JADWIGA ŻYLIŃSKA: „STIG ULSEN I ROZAMUNDA" **)

Przypadek zrządził, że w końcu dziewiętnastego wieku uczony niemiecki Prof. Ulrich Hardtman, grzebiąc w bibliotece watykańskiej, natknął się zupełnie nieoczekiwanie na modlitewnik królowej Marii Zyty Rozamundy i zapiski kanclerza księstwa Trzech Mostów, Jakuba Trachmana. To odkrycie wywarło na Hardtmanie wielkie wrażenie. W ciągu dwu lat pracował nad odtworzeniem historii zagadkowej władczyni, panującej z górą lat 20 przy boku małżonka szaleńca. Z tego też źródła wywodzi się opowieść rycerska Jadwigi Żylińskiej, zatytułowana: „Stig Ulsen i Rozamunda". W tok narracji wplata autorka umiejętnie i celowo słowa zanotowane przez Marię Zytę Rozamundę w modlitewniku oraz fragmenty z kroniki kanclerza. Całość „Stiga Ulsena i Rozamundy" jest zamknięta w siedemnastu tytułowanych rozdziałach i żywo przypomina „Trystana i Izoldę", której wpływy, zresztą szlachetne, widać nie tylko w kompozycji dzieła, ale i w ustawieniu poszczególnych postaci. Język prosty, barwny i tylko z lekka archaizowany.

Tom pt. „Stig Ulsen i Rozamunda" zawiera jeszcze jedną nowelę o tematyce historycznej: „Pani na Longthorpe" oraz drobiazgi takie, jak: „Przygoda wakacyjna" czy „Rodzina". Wszystkie te utwory odznaczają się solidną robotą literacką. „Czytelnik" wydał książkę brzydko i mało starannie.

*) *Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.*

**) *Czytelnik, Warszawa, 1956.*

JERZY PUTRAMENT: „NOTATKI POLEMICZNE" ***)

„Notatki polemiczne" Jerzego Patramenta stanowią zbiór artykułów, felietonów i essejów, drukowanych w prasie codziennej i w periodykach literackich. Z przyjemnością wracamy do tych utworów, odznaczających się zacięciem polemicznym, pasją walki z zakłamaniem, z obłudą naszej propagandy, życia literackiego i kulturalnego.

Na specjalną uwagę zasługuje felieton zatytułowany: „Sprawy do przewietrzenia", w którym J. Putrament porusza kwestię krzywdy pisarza, krzywdy polegającej na niesprawiedliwej ocenie dzieła przez wydawcę. „Szczególnie częste przemilczanie przez krytyków dotyczy pisarzy pozawarszawskich, którzy nie kręcą się po stołecznych kawiarniach", pisze autor — „nie wpadają krytykom w oczy". Zbiór felietonów pt. „Notatki polemiczne" znajdzie na pewno chętnych czytelników ze względu na odwagę i pasję, z jaką Putrament demaskuje niejedną z bolączek naszego życia współczesnego.

„TADEUSZ KULISIEWICZ" WYD. „SZTUKA"

Niedawno ukazało się na półkach księgarskich dzieło zatytułowane „Tadeusz Kulisiewicz". Jest to znakomicie zestawiony wybór prac graficznych Kulisiewicza, od cyklu pt. „Szlembark", aż do motywów przywiezionych z wędrówki do Chin. Autor jest uczniem Skoczylasa. Od niego też wziął zamiłowanie do sztuki czarnobiałej, do przeróżnych form, jakie reprezentuje grafika. W roku 1926 artysta wyjeżdża do Szlembarka i tam powstają plansze o wręcz rewelacyjnej wymowie plastycznej, takie, jak: „Kobieta z różańcem", „Karola", „Stary gazda", „Szlembark" i wiele innych. Własny styl, własne ujęcie znamionują: „Bacówkę", „Wieś w Gorcach", „Głowę" oraz „Cielątko". Wspaniałe są: „Dziewczyny w płachtach" i kapitalna „Dziewczyna" (sangwina). Z tych dzieł wyłania się już artysta w pełni dojrzały, poważny, oryginalny i rozporządzający mistrzowską techniką drzeworytniczą, świetnym rysunkiem i własnymi środkami wyrazu.

Kunszt T. Kulisiewicza stale rozwija się, wzbogaca, by dojść wreszcie do najwyższego z osiągnięć artystycznych, do cyklu „Zburzona Warszawa". To już nie tylko ruiny, nie tylko zwaliska, ale i ogromny w swych rozmiarach dramat, dramat o wymowie wszechludzkiej. Z kartonów bije taka potęga uczucia, taka rozdzierająca rozpacz i jednocześnie oskarżenie, że trudno bez głębokiego wzruszenia patrzeć na te dzieła.

Tom poświęcony twórczości T. Kulisiewicza zawiera jeszcze rysunki z podróży — „Amsterdam" oraz „Wieś słowacką". Akty i półakty.

Dzieło to wydała „Sztuka" na dobrym papierze, tak że grafika Kulisiewicza nic nie straciła w reprodukcji. Można też pochwalić krótki, bardzo rzeczowy wstęp.

jnk

***) *Czytelnik, Warszawa, 1956.*

DWUGŁOS O „SAMOTNOŚCI" I CYTATY Z WILDE'A. Więc najpierw „Przegląd Kulturalny" nr 28:... To jest sztuka człowieka, który nie ma nic do powiedzenia i żadnych zahamowań... Artystycznie „Samotność" jest prawdziwym arcydziełem złego smaku.. Po raz pierwszy w życiu gwizdałem w czasie spektaklu. Kiedy sztuka jest nieudana, nie wolno gwizdać. Ale kiedy sztuka jest obrzydliwa, trzeba gwizdać. Gwiżdżcie". I „Trybuna Ludu" w n-rze 193 (2705) zagwizdała:... „Całość jest artystycznie mocna, ideowo przekonywająca, scenicznie pasjonująca... wrażenie ogólne, spotęgowane dobrą robotą teatru, nikogo nie zostawi obojętnym, lecz wzrusza, a bywają momenty, że wstrząsa... Na zakończenie stwierdzę jeszcze raz jak najwyraźniej: „Samotność"... należy do najlepszych utworów dramatycznych naszego ludowego dwunastolecia". Wyobrażamy sobie miny Kotta i Jaszcza czytających nawzajem swe recenzje, które pikantnie ukazały się w obu pismach tego samego dnia. I dumną minę Macieja Słomczyńskiego cytującego Oskara Wilde'a: „Różnorodność zdań o dziele sztuki świadczy, że dzieło to jest nowe, złożone i żywotne. Skoro tedy krytycy różnią się między sobą, artysta ze sobą jest w zgodzie". Ale miny czytelników tych obu recenzyj?

„OBNIŻKA" KOSZTÓW PRODUKCJI. Nie ulega wątpliwości, że poziom naszych tłumaczeń przedwojennych w wielu wypadkach był bardzo niski. Słusznie więc wydawnictwa przy wznawianiu takich źle przełożonych utworów uciekają się obecnie do pomocy nowych dobrych tłumaczy. Zwłaszcza jest to bezspornie konieczne, jeśli chodzi o dzieła klasyków dawnych czy współczesnych. Ale czy nie wpadamy czasem w lekką przesadę, gdy wznawiając np. Conan Doyle'a przekreślamy pracę zasłużonej Bronisławy Neufeldówny, zamawiając nowe przekłady jego opowiadań czy powieści detektywistycznych. (A „Psa Baskerville'ów" spolszczyły na nowo aż dwie tłumaczki, skorzystano w druku tylko z jednej wersji). Kuszelewska i Sujkowska cenione były za swą pracę przekładową. Tymczasem przy wznawianiu Londona — pierwszej nie bierze się zupełnie pod uwagę. „Tony Bungay" Wellsa ukazał się w nowym tłumaczeniu, choć mamy przedwojenny przekład Sujkowskiej. Jeśli w dawniejszych wersjach trafiały się jakieś mankamenty, wystarczyłby chyba tylko retusz. A przykładów takiej „obniżki" kosztów produkcji przez nasze wydawnictwa można by przytoczyć więcej.

-kaj-

CZYTELNICY PISZĄ

Do kogo ta mowa?

W majowym numerze opublikowany został w „Kamenie" artykuł Jerzego Markiewicza pt. „Niedobre milczenie". Wzniosła intencja artykułu (będącego nb. prowincjonalną mutacją bardzo modnej tuż po XX Zjeździe, warszawskiej dyskusji o AK) jest w zasadzie zupełnie wyraźna.

J. Markiewicz apeluje do polskich twórców i naukowców: literatów, plastyków, filmowców, historyków etc., by przerwali wreszcie zaklęty krąg milczenia i ukazali Polsce i światu „nasz wspaniały ruch oporu, bohaterskie czyny partyzantów, walkę zbrojną z okupantem, męczeństwo i męstwo ludności" (chodzi tu oczywiście o ruch oporu i martyrologię ludności Ziemi Lubelskiej). Apel kończy się wezwaniem skierowanym do mieszkańców naszego województwa, by jak najaktywniej poparli i przyśpieszyli realizację wysuniętego przez autora postulatu.

W jednym z czerwcowych numerów dodatku kulturalnego „Sztandaru Ludu", w artykule omawiającym majowy numer „Kameny", autor recenzji — E. G. gorąco popiera cenną inicjatywę J. Markiewicza.

Rzecz w założeniu swym niewątpliwie superszlachetna, godna byłaby na pewno najserdeczniejszej aprobaty, gdyby nie drobny fakt, że ów publicystyczny duet reprezentuje de facto swoistą odmianę typowo polskiej operacji intelektualnej, zwanej popularnie operacją wyważania otwartych drzwi. Swoistość tej odmiany w głównej mierze polega na pomysłowym prokurowaniu s z t u c z n y c h p r o b l e m ó w i sprytnym przekształcaniu ich w publicystyczne d u d k i.

Obaj autorzy kilkoma ruchami pióra przekreślają beztrosko działalność Centralnego Archiwum Wojskowego (CAW), działalność pracowników Archiwum Wydziału Historii KC PZPR (AWHP), wyniki badań Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce oraz wieloletnie, b e z i n t e r e s o w n e wysiłki kilkusetosobowej grupy terenowych aktywistów, zbierających ofiarnie dokumentarne materiały z okresu okupacji.

W s z y s t k o, c o b y ł o ś w i a d e c t w e m, a c o s i ę d a ł o u r a t o w a ć — p r z e c h o w a ł y i z a b e z p i e c z y ł y r ę c e l u d z k i e, r e s z t ę o c a l i ł a o d z a p o m n i e n i a w i e r n a p a m i ę ć ś w i a d k ó w i u c z e s t n i k ó w.

Ponieważ, jak wiadomo, ośrodkiem antyfaszystowskiego ruchu oporu była w naszym woje-

wództwie Zamojszczyzna wraz z przylegającymi do niej bezpośrednio Lasami Janowskimi i Lipskimi pojawiające się po wojnie publikacje historyczne omawiające okres okupacji, poświęcone zostały przede wszystkim zagadnieniu podziemnej walki zbrojnej i martyrologii ludności Ziemi Zamojskiej. A oto dowody:

Pierwsza w Polsce, a bodaj czy nie pierwsza w wyzwolonej Europie praca tego typu pt. „Terror niemiecki w Zamojszczyźnie 1939—1944" [1]), opublikowana została w 1945 roku w Zamościu jako tom otwierający zakrojone na szeroką skalę „Wydawnictwo Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny w latach Wojny 1939—1944", którego redakcja spoczywała w rękach znakomitego historyka i działacza kulturalnego, dr Zygmunta Klukowskiego.

Dwa następne tomy: „Zamojszczyzna w walce z Niemcami 1939—1944" oraz „Niemcy i Zamojszczyzna 1939—1944" [2]) ukazały się w roku 1946. Tom czwarty „Dywersja w Zamojszczyźnie 1939—1944" wyszedł w roku następnym. W tym samym roku (1947) opublikowane zostało w Warszawie studium dr. Zygmunta Klukowskiego pt. „Zbrodnie niemieckie w Zamojszczyźnie" [4]) zawierające cenny materiał dokumentarny (sprawozdania, rozkazy i zarządzenia niemieckie, mapy, fotografie) ujawniający szczegóły oraz mechanizm akcji wysiedlania ludności polskiej z terenu Zamojszczyzny.

Studium dr. Z. Klukowskiego, które ukazało się jednocześnie w języku angielskim i francuskim, zawiera między innymi również dokumenty oraz fotografie obrazujące zniszczenie Pardysówki [5]), Soch i Szarajówki.

Wbrew pesymistycznym sugestiom J. Markiewicza także dwie największe w dziejach polskiego ruchu oporu bitwy partyzanckie: bitwa pod Osuchami oraz bitwa w Lasach Janowskich i Lipskich znalazły szczegółowe naświetlenie w literaturze pamiętnikarskiej i w opracowaniach historycznych.

W tomie pierwszym „Wydawnictwa Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny w Latach Wojny" ukazał się, częściowo zrekonstruowany przez dr. Klukowskiego, wstrząsający notatnik znaleziony przy zabitym partyzancie, który zginął w bitwie nad Sopotem.

W skład tomu drugiego weszła obszerna relacja o bitwie pod Osuchami pióra Marka. Relacja ta ukazała się równocześnie w osobnej odbitce [6]).

Tom trzeci zawiera cztery wspomnienia o bitwie: Tęczy [7]), Danuty Bór-Przyczynkówny [8]), Niny [9]) oraz drugą część relacji Marka [10]).

W tomie czwartym opublikowane zostały osuchowskie wspomnienia Radwana [11]) i Korabia [12]), jak również luźno związane z właściwą bitwą wspomnienia Sasa [13]) i Wita [14]).

Dodać należy, że szkic poświęcony wspomnieniom bitwy pod Osuchami pióra niżej podpisanego ukazał się dwa lata temu także w „Kamenie", w numerze specjalnym, wydanym z okazji dziesięciolecia PKWN-u [15]). Tyle jeżeli chodzi o martyrologię i walkę zbrojną na Zamojszczyźnie.

Monografię o dwutygodniowej bitwie oddziałów Armii Ludowej i partyzantów radzieckich w Lasach Janowskich, Lipskich i Puszczy Solskiej poprzedziły artykuły i wspomnienia publikowane w „Trybunie Wolności" (r. 1947 i 1948), w „Głosie Ludu" (r. 1947), „Polsce Zbrojnej" (1948), „Żołnierzu Polskim" (1948), w „Sztandarze Ludu" (1948) oraz w „Wojsku Ludowym" (1953). Publikacje te, jak również materiały z Centralnego Archiwum Wojskowego oraz z Archiwum Wydziału Historii Partii KC PZPR, wykorzystane zostały przez Waldemara Tuszyńskiego we wspomnianej monografii, która ukazała się w nakładzie dziesięciu tysięcy egzemplarzy w roku 1954 [16]). Monografia streszczona została po rosyjsku.

Obaj publicyści mają natomiast rację, jeżeli chodzi o zupełnie niewystarczające odbicie okupacyjnej martyrologii i ruchu oporu w dziełach sztuki. Zarzut, który można, niestety, na pewno uogólnić [17]). Wskazać należy jedynie palcem, kto ma się wstydzić. Literaci chyba nie. Zainteresowanych odsyłam do przedmowy najnowszej (tz. najstarszej) powieści Konwickiego — „Rojsty". W rezultacie więc — do kogo ta mowa?

Zbigniew Jakubik

PRZYPISY:

1) „Terror niemiecki w Zamojszczyźnie 1939—1944". Zamość 1945. Str. VII + 170 + 1 nlb.

2) „Zamojszczyzna w walce z Niemcami 1939—1944". Zamość 1946. Str. 196 + 1 nlb. i „Niemcy i Zamojszczyzna 1934—1944". Zamość 1946. Str. 184.

3) „Dywersja w Zamojszczyźnie 1939—1944". Zamość 1947. Str. 176. Przygotowane do druku trzy dalsze tomy (tom V, VI i VII) nie ukazały się niestety.

4) Dr Zygmunt Klukowski. „Zbrodnie niemieckie w Zamojszczyźnie". Nakładem Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. Słowo wstępne Henryka Świątkowskiego. Warszawa 1947 Str. 80 + 2 mapy i 7 ilustracji.

5) Niżej podpisany był naocznym świadkiem bestialskiego zniszczenia tej wsi.

6) St. strz. Marek: „Z wrażeń i wspomnień szeregowca partyzanta w lasach Biłgorajskich". Zamość 1946.

7) Tęcza: „W kampanii Woyny" Niemcy i Zamojszczyzna 1934—1944, str. 132—140).

8) Anna Danuta Bór-Przyczynkówna: „W Biłgorajskich lasach i w niewoli u Niemców", ibid., str. 141—156.

9) Nina: „Wspomnienia sanitariuszki z akcji pod Osuchami", ibid., str. 156—165.

10) Marek: „Na drodze do życia", ibid., str. 165—177.

11) Radwan: „Szpital leśny 665" (Dywersja w Zamojszczyźnie 1939—1944, str. 131—142).

12) Korab: „Wspomnienia z niemieckiej akcji pacyfikacyjnej w lasach Biłgorajskich w czerwcu 1944 r.", ibid., str. 143—160.

13) Sas: „Zasadzka na Niemców", ibid., str. 164—166.

14) Wit: „Zasadzka na Kałmuków pod Góreckiem Kościelnym", ibid., str. 166—168.

15) Zbigniew Jakubik: „Czterdziesty czwarty" (K a m e n a. Kwartalnik społeczno-literacki. Numer poświęcony Dziesięcioleciu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Rok XXI. Lublin, styczeń—lipiec 1954. Nr 1—3 (91—93), str. 9—14).

16) Waldemar Tuszyński. W a l k i p a r t y z a n c k i e w l a s a c h L i p s k i c h, J a n o w s k i c h i P u s z c z y S o l s k i e j (c z e r w i e c 1 9 4 4). Praca Komisji Wojskowo-Historycznej Ministerstwa Obrony Narodowej. Seria A Nr 2. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Warszawa 1954. Str. 122 + 1 nlb. + 9 map + 23 ilustracje. Nakład 10 tys. egz.

17) Widziałem tekę drzeworytów (bodaj Sopoćki). Był tam m. in. drzeworyt przedstawiający „zdobycie Józefowa przez partyzantów Armii Ludowej w roku 1943", co n i e z u p e ł n i e odpowiada prawdzie. J ó z e f ó w został zdobyty przez oddziały AK i partyzantów radzieckich. Dowódcą połączonych oddziałów był oficer radziecki, który poległ w czasie szturmu. Wypadki takiej współpracy wcale nie należały do rzadkości. Nie znam, niestety, S u i t y B i ł g o r a j s k i e j.

